

P. 9486. Chr, Arch

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/138

1959

1959

2

P. 9486



• « La Culture » • Revue mensuelle •

CHIŃSKIE NOTATKI : KOMUNY LUDOWE

W. A. ZBYSZEWSKI : **ŚLADAMI SOLSKIEGO**

"KULTURA" — QUARTERLY DIGEST

SPIS RZECZY

—	<i>Chińskie notatki</i>	3
Aleksander Hertz :	<i>O „atomizacji” w Ameryce i gdzie indziej</i>	17
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmety z dziennika</i>	41
Wacław Solski :	<i>Podróż do Europy (3)</i>	53
W.A. Zbyszewski :	<i>Śladami Solskiego</i>	61
Jan Brzękowski :	<i>Podziemne przejście</i>	73

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Miroszewski :	<i>„Mali Europejczycy” wokół Berlina</i>	83
Londyńczyk	<i>Kronika angielska</i>	90

SPRAWY I TROSKI

E. Żagiełl :	<i>Kronika australijska</i>	96
--------------	-----------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Jan Karolus :	<i>Wojskowe obozy szkolne w Szwajcarii</i>	99
---------------	--	----

WOLNA TRYBUNA

Stanisław Mackiewicz :	<i>Mise au point</i>	112
------------------------	----------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Bogdan Czaykowski :	<i>Galeria Grabowskiego (Wywiad)</i>	122
Tadeusz Sułkowski :	<i>Rzeźby Aliny Ślesieńskiej</i>	127
—	<i>Wystawa fotografii polskiej na uchodźstwie</i>	129

KSIĄŻKI

Wit Tarnawski :	<i>Przemiany Grahama Greene'a</i>	131
Michał Sambor :	<i>„Dom starej lady”</i>	137
Zbigniew Jordan :	<i>Filozofia w Ameryce</i>	141
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	144

POLEMIKI

Czesław Miłosz :	<i>Odpowiedzi</i>	145
------------------	-------------------------	-----



St. Kisielewski, A. Bregman, A. Bieszczad :	<i>Listy do Redakcji</i>	157
--	--------------------------------	-----



—	<i>Digest of „Kultura”</i>	162
---	----------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Kwiecień – Avril

1959

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPLATY NA DOM "KULTURY"

Mrs C. Fabierkiewicz, Toronto, Ont. (Kanada) 1.500 fr.

DZIĘKUJEMY

STRESZCZENIE W JĘZYKU ANGIELSKIM

W bieżącym zeszycie zamieszczamy streszczenie w języku angielskim najważniejszych artykułów z ostatnich numerów „Kultury”. Streszczenia takie będziemy zamieszczali co kwartał. Streszczenie w języku francuskim nie ukazało się ze względów technicznych.

Zwracamy się z prośbą do naszych Czytelników o zainteresowanie tym streszczeniem swoich przyjaciół i znajomych nie-Polaków.

REDAKCJA

Przypominamy, że termin przedpłaty na książkę Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago” upływa w dniu 30 kwietnia 1959 r.



P. 9486. Chr. Arch.

Imprimé en France.

Chińskie notatki

I

Zwierzanie nr 1 : Pierwszy „chiński” bałagan w głowie piszącego powstał w czasie czytania wielojęzycznej, niezwykle bogatej literatury na tematy chińskie. Nie wiele jest chyba krajów na świecie, którym poświęcono tak bogatą i ciekawą literaturę która byłaby jednocześnie tak bardzo sprzeczna w swych ocenach i sądach. Mam tu na myśli oczywiście literaturę poświęconą Chinom tak niekomunistycznym jak i komunistycznym. Piszący te słowa nie jest w stanie przedstawić czytelnikowi powodów, które jego zdaniem wpłynęły na tę wielką rozbieżność ocen. Jeden truizm wydaje się wszakże niewątpliwy. Chiny — tak przed rewolucją jak i obecnie — stanowiły wielką niewiadomą. Trudność polega m.in. na braku kryteriów ocen. Trudno mierzyć Chiny kategoriami europejskimi. Niezwykle ciekawe byłyby tu prace publicystów, socjologów, polityków, naukowców azjatyckich. Niestety, o ile piszącemu wiadomo, poza literaturą propagandową i antykomunistyczną, reprezentującą bardzo małe walory poznawcze, piśmiennictwo azjatyckie traktuje sprawę chińskie stosunkowo marginesowo. (Sprawa warta zresztą wyjaśnienia).

Tu dochodzimy do zwierzania numer dwa. W czasie pobytu w Chinach, dyskutując z kolegami-dziennikarzami europejskimi, przekonałem się, jak rozporządzając tymi samymi faktami, obserwując te same zjawiska dochodziliśmy do bardzo rozbieżnych ocen. Ciekawe, że różnice te bardzo często nie miały żadnego związku z postawą ideową i poglądami politycznymi jakie re-

Jeden z naszych przyjaciół angielskich po paromiesięcznym pobycie w Chinach zechciał podzielić się z czytelnikami „Kultury” swymi obserwacjami. Ich bezpośredniość i szczerść prawdopodobnie nie znajdą takiego uznania w oczach władz Chińskiej Republiki Ludowej, jak u czytelników „Kultury”. Projektując w niedługim czasie ponowną podróż na Daleki Wschód autor zastrzegł więc sobie anonimowość.

prezentowaliśmy. Wynikały natomiast najczęściej z tego co umownie nazywaliśmy między sobą „spojrzeniem europejskim” lub „spojrzeniem chińskim”. Przykład: Jeśli jakikolwiek rząd europejski zorganizuje masowe, przymusowe przesiedlenia ludności (nawet ekonomicznie uzasadnione), masowe zsyłki i aresztowania — żaden normalnie myślący Europejczyk nie zawaha się nazwać tego zbrodnią. Jeśli dzieje się to w Chinach, w których masowe epidemie głodu kosily miliony, w których wiekowe tradycje uniemożliwiały dokonywanie szybkiego postępu technicznego i społecznego — ferowanie wyroków staje się trudniejsze.

Okres obecny w Chinach nastęrcza jeszcze dodatkowe trudności w ocenie tego co dzieje się na wielkich obszarach tego kraju. Obromna płynność wszelkich form życia ekonomicznego, politycznego i społecznego, gwałtowność i szybkość dokonywanych przemian sprawia, że słowo pisane dziś, często już jutro traci swą wartość.

Pragnę przedstawić czytelnikowi garść faktów z niezwykle ciekawego i bujnego w życiu Chin okresu, jakim był okres powstawania tzw. komun ludowych. Jeśli będę starał się ograniczać jedynie do faktów, zachowując dla siebie minimalny margines wyjaśnień i ocen — to głównie dlatego że kilkutygodniowy czy nawet kilkumiesięczny pobyt w Chinach nie daje żadnych innych praw. Tym bardziej, że gościnni gospodarze nie są zbyt chętni do wyjaśnień, dyskusji, obrony swych poglądów w sposób racjonalny. Coś co nazywamy opinią publiczną, z czym każdy dziennikarz w krajach europejskich i ogromnej większości krajów poza europejskich styka się w tysiącach sytuacji, mogąc na tej podstawie kształtować swe poglądy i oceny — w Chinach praktycznie nie istnieje. Chyba, że jako przejaw opinii publicznej przyjąć zorganizowaną masową propagandę, robioną niemal metodami orwellowskiej wizji. Protestuje przeciw temu zdrowy rozsądek. Ale kto raz widział Chiny nie może stanowczo zdecydować, że cała ta propaganda jest tylko komunistycznym wymysłem. Zawsze uśmiechnięty, układny i miły Chińczyk, z którego twarzy trudno cokolwiek wyczytać, który jeśli nie chce — nie słyszy, jeśli nie chce — nie widzi, pozostaje zawsze równaniem z wielką ilością niewiadomych. Lecz czy ten ogromny wysiłek jakiego dokonuje w tej chwili cała i ten naród chiński te wszechogarniające poddanie się woli kierownictwa partii jest tylko wynikiem terroru i chińskiej uległości? Myślę że pytanie jest kardynalne dla wszystkich rozważań — proszę wybaczyć wielkie słowa — o powodzeniu eksperymentu chińskiego, a nawet o przyszłości świata. I jeśli kogoś razi to zestawienie — Chiny i przyszłość świata — to warto przypomnieć, że państwo, które przez wieki tkwiło w polityce separatyzmu, które jeszcze niedawno było domeną wielkich zagranicznych kapitałów, w przeciagu kilku lat twardą stopą wkroczyło w politykę światową i nie zanosi się na to, aby rola Chin w polityce światowej przestała wzrastać.

II

Związek sowiecki aby skolektywizować wieś w latach trzydziestych musiał zastosować najostrejszy terror — nie tylko na wsi ale wobec całego niemal społeczeństwa. Każdy kto zna już nie Rosję ale po prostu chłopą żyjącego we wschodniej Europie, wie, że kolektywizacja w sensie masowym bez terroru była w zasadzie niemożliwa. Jeśli Rosja nie poszła na upaństwowienie całej gospodarki rolnej, to bynajmniej nie dlatego, że jest to niezgodne z doktryną. Przeciwnie, w pismach tak Lenina jak i Stalina bez trudu można odnaleźć prace mówiące, że komunizm przyniesie z sobą podniesienie własności społecznej, jaką w pewnym sensie jest własność kołchozowa, do rangi własności ogólnonarodowej. Jest to tylko kwestią czasu, wzrostu świadomości itp. Rosja, która nie zawahała się przed użyciem najbardziej bezwzględного terroru dla skolektywizowania wsi, nie odważyła się na całkowite zlikwidowanie własności prywatnej, pozostawiając chłopom działki przyzagrodowe, ustanawiając w kołchozach płacę według wykonywanej pracy. A i to przyniosło w konsekwencji znaczną dewastację gospodarki rolnej i obniżenie lepsze zbiory. Chińczycy mogli sobie pozwolić na więcej. Po powszechnym wprowadzeniu komun ludowych, które obejmują dziś 120 milionów zagród chłopskich, a więc około 99% ludności wiejskiej — chłop chiński dysponuje zaledwie rzeczami osobistymi, przydzielonymi mu przez komunę.

Czym więc jest komuna? Komuny, choć w założeniach swych bynajmniej nie sprzeczne z doktryną, zrodziły się z konkretnych chińskich warunków anno domini 1958, z ogromnych założeń gospodarczych, z ambicji dokonania wielkiego skoku w uprzemysłowieniu kraju oraz z uzyskanego dzięki wprowadzeniu nowszych metod uprawy ziemi wzrostu produkcji rolnej.

Chińskie kołchozy stanowiły stosunkowo niewielkie obiekty rolne, obejmowały one przeciętnie około 100 zagród, ale pod względem ziemi uprawnej rzadko przekraczały 100 hektarów. Był to ekonomicznie słaby organizm. Z jednej strony uniemożliwiało to dokonywanie wielkich inwestycji, przeprowadzanie masowych prac irygacyjnych, z drugiej strony stosowanie nawozów sztucznych, głębokiej orki oraz dokonane w pewnym zakresie prace irygacyjne znacznie zwiększyły plony z ha. Groziło to, że wieś skupi w swym ręku znaczne ilości pieniędzy. Państwo koncentrując swe wysiłki na przemyśle ciężkim przy znacznie zwiększonej akumulacji (większej niż w Rosji w okresie największego wysiłku industrializacyjnego) nie byłoby w stanie zapewnić pokrycia dla tych pieniędzy w zwiększonej masie towarowej. W ten sposób powstała konieczność wyeliminowania pieniądza z

obiegu towarowego między miastem a wsią. Z drugiej strony tak szeroko zakreślone plany industrializacji wymagają maksymalnego wykorzystania siły roboczej. Duże organizmy gospodarcze znacznie bardziej sprzyjają maksymalnemu wykorzystaniu wszelkich terenowych możliwości produkcyjnych. Od powstania komun minęło zaledwie parę miesięcy i trudno już mówić w tej chwili o powszechnie obowiązujących zasadach, statutach. Tendencje rozwojowe zdają się jednak wskazywać, że przyjęta zostanie powszechnie „najwyższa” zasada „i-sy-cu-sin-syn-lao-ping-sy” (I — oznacza odzież, sy — żywność, cu — mieszkanie, sin — komunikację, syn — poród, lao — starość, ping — chorobę, ssy — śmierć, co razem w znakach chińskich tworzy wiersz klasyczny, ssy oznacza zapewnienie pogrzebu i pamięci po śmierci). Jest to przenośnia, w której chodzi po prostu o to, że komuna gwarantuje swym członkom wszystko, co potrzebne jest przeciętnemu Chińczykowi od urodzenia aż do śmierci. Z tym, że o potrzebach tych decyduje partia i kolektyw.

Jest więc niewątpliwe, że system ten, że jego zastosowanie na szerszą skalę zwiększa akumulację pieniądza, przeciwdziała inflacji. Pieniądze za zwiększoną produkcję, którymi normalnie dysponowałby chłop czy spółdzielnie, znajdują się w rękach państwa, które będzie mogło je przeznaczyć na te inwestycje, jakie uzna za celowe. Przy bardzo niskim poziomie życia chłopu chińskiego zasada ta zapewniająca każdemu bezpłatnie: wyżywienie, bawełniany drelch, pantofle, koszule, skarpetki, ręcznik, mydło — częściej oznacza poprawę bytu lub stabilizację aniżeli pogorszenie. Jeżdżąc po Chinach nie widzi się zresztą ludzi obdartych.

Komuny powstały ze zjednoczenia się kilkudziesięciu lub nawet kilkuset kolchozów i liczą przeciętnie od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy ludzi. W skład komun weszły również miasta powiatowe wraz ze znajdującymi się na ich terenie spółdzielczymi warsztatami rzemieślniczymi, przemysłem terenowym, instytucjami użyteczności publicznej. Mówiąc ogólnie — w skład komun weszły wszystkie instytucje znajdujące się na terytorium, które komuna obejmuje swym zasięgiem. Organizacja poszczególnych komun oparta została na zasadach wojskowych. Komuna stanowi pułk, dzielący się z kolei na bataliony, kompanie, plutony i drużyny. Do komitetów zarządzających komun weszli członkowie dotychczasowych władz wykonawczych, zgromadzeń przedstawicieli ludowych, partii, Związku Młodzieży Komunistycznej Chin i Związku Kobiet. W ten sposób dokonano również formalnego połączenia organów władzy administracyjnej, społeczno-politycznej i rolniczo-społdzielczej. Na czele kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowego komitetu zarządzającego, wyłonionego w wyborach przez przedstawicieli komuny stanął przewodniczący z uprawnieniami dowódcy pułku. Powołane zostały także dwie komisje: planowania i rewizyjna, a do pomocy w wykonywaniu zadań komitetu — kancelaria i kilkanaście wydziałów administracyjnych. Są to przeważnie: 1) wydział rolny, leśny

i urzędzeń nawadniających, 2) wydział przemysłu, komunikacji i łączności, 3) wydział hodowli i rybołówstwa, 4) wydział finansowy, 5) wydział pracy i opieki społecznej, 6) wydział sprawiedliwości i spraw wewnętrznych (sąd, milicja ludowa i bezpieczeństwo), 7) wydział oświaty i zdrowia, 8) spraw wojskowych (na czele z szefem sztabu), 9) kobiecy, 10) młodzieżowy i 11) wydział zaopatrzenia i usług.

Powstające komuny przejmowały od chłopów na rzecz kolektywu domy mieszkalne, ogródki, drzewa owocowe, zapasy zboża, narzędzia, srebrne monety. Przeprowadzono regulację mieszkań, przejmując domy na użytkowanie kolektywu. Masowe budowanie żłobków, stołówek dla wszystkich rodzin wchodzących w skład komuny doprowadziło do tego, że wszystkie kobiety, które dotąd zajmowały się pracą domową zostały zatrudnione w produkcji. Organizacja pracy i dnia roboczego w komunie oparta została na systemie wojskowym. Każdy członek komuny obowiązany jest całkowicie porządkować się poleceniom wydawanym przez dowództwo. W powstawaniu komun nawet bardzo baczniemu obserwatorowi trudno uchwycić wstępny okres organizacyjny. Dosłownie już od pierwszego dnia powstania komun, otrzymały one do wykonania bardzo duże zadania produkcyjne, takie jak: szeroko zakrojone prace irygacyjne, budowa niewielkich obiektów przemysłowych, budowa dróg, szkół, zakładanie pól doświadczalnych. Jednostka podporządkowana została całkowicie woli dowództwa. Mowa tu zresztą nie tylko o pracy ale również o całym życiu osobistym. W pierwszym okresie praca trwała w komunie — 18 godzin, wliczając w to czas trwania zebrań, na których przeprowadzano masowe samokrytyki oraz inne zajęcia polityczne, wojskowe i naukę. W praktyce praca trwała dzień i noc. Członkom komuny nie pozostawiono żadnego marginesu życia osobistego, nie ma dosłownie żadnych spraw o których kolektyw, zarząd komuny nie miałby prawa decydować, oczywiście z akceptacją komitetu partyjnego. Oto wypadek jeden z wielu: żona donosi na męża, że jego wypowiedzi w domu nie są zbyt prawomyślne. Mąż dowiaduje się o tym i separuje żonę od łoża małżeńskiego. Powiadomiony o tym przez żonę owego nieprawomyślnego męża sekretarz partii wzywa go, grozi mu represjami o ile ten nie wznowi współżycia z żoną. Nie jest to o tyle szokujące ponieważ w wielu oficjalnych enuncjacjach mówiono, że komuny są w tej chwili dla Chin nie tylko potężnym narzędziem rozwoju ekonomicznego, ale także instrumentem wychowawczym. Wiele oficjalnych enuncjacji stwierdzało, że komuny mają doprowadzić między innymi do tego, by rodzina przestała być podstawową komórką produkcyjną. Jej funkcje społeczne i wychowawcze stopniowo powinno przejmować państwo. Pierwsze miesiące w życiu komun były okresem nieprawdopodobnej wprost eksploatacji siły roboczej. Charakterystyczne zresztą, że w Chinach rzadko można usłyszeć takie określenie, jak np. „10.000 ludzi” natomiast powszechnie przyjęty jest zwrot „10.000 sił produkcyjnych”.

Partia doszła jednak do wniosku, że tak rabunkowa gospodarka siłą roboczą jest ekonomicznie nieopłacalna i na dłuższą metę nie do utrzymania.

W dniu 20 grudnia na łamach Zenminzhpao opublikowana została uchwała komitetu partyjnego prowincji Hupei w sprawie „organizacji pracy i polepszenia życia ludności wiejskiej”, opatrzone obszernymi uwagami Centralnego Komitetu Komunistycznej Partii Chin. Uchwała ta zaleca komitetom partyjnym całej prowincji — cytuję — „rytmiczne łączenie pracy z wypoczynkiem”. Organizacja dnia w komunie ma wyglądać w następujący sposób: 8 godzin — praca, 2 godziny — nauka, 8 godzin — sen, 4 godziny — wypoczynek. Pozostałe dwie godziny, o których uchwała nie wspomina — to prawdopodobnie czas przeznaczony na posiłki. Rzecz jasna cztery godziny przeznaczone na wypoczynek nie są bynajmniej czasem wolnym. Wypełnione one zostaną zajęciami świetlicowymi, jak próby i występy zespołów artystycznych, zespołowe pisanie wierszy (!), ćwiczeniami wojskowymi i sportowymi, zebraniem itd. Następnie uchwała zwraca uwagę na konieczność opieki nad kobietą w okresie menstruacyjnym, polepszenia warunków pracy, stałego doskonalenia narzędzi pracy co z kolei ma doprowadzić do stopniowej likwidacji najcięższej pracy fizycznej. W dziedzinie budownictwa mieszkaniowego uchwała żąda od kierownictwa komun szybkiego opracowania planów, które umożliwią w ciągu najbliższych paru lat generalną przebudowę wszystkich osiedli wiejskich. Nowe domy mieszkalne muszą być przygotowane do „wspólnego zamieszkania mężczyzn, kobiet, starców i dzieci jednej rodziny”. Jednocześnie zaleca się dalszą rozbudowę żłobków, przedszkoli, domów starców, stołówek, szpitali itd.

W swych uwagach Komitet Centralny Partii popiera powyższą uchwałę i zaleca podjęcie podobnych postanowień komitetom partyjnym innych prowincji. „Konieczne jest tak zorganizować produkcję i życie” — stwierdza komitet centralny — „aby ludzie pracy mogli dobrze się odżywiać, dobrze się wysypiać, dobrze wychowywać dzieci. Aby byli trzeźwi, aby im było lekko na duszy — tak, by mogli z jeszcze większym entuzjazmem zrealizować jeszcze większy skok w produkcji przemysłowej i rolnej”.

Czy uchwała ta oznacza początek radykalnej zmiany w życiu kilkuset milionów członków komun ludowych? Na pewno nie. Wielkie zadania produkcyjne pozostaną nadal wielkimi zadaniami, które trzeba za wszelką cenę wykonać, a ciężka praca fizyczna w kraju, w którym drogi i koleje buduje się dosłownie gołymi rękami pozostanie długo jeszcze ciężką pracą fizyczną. Jednakże znając niezwykłą wprost skrupulatność i dyscyplinowanie Chińczyków należy przypuszczać, że warunek 8 godzin snu zostanie dotrzymany.

III

Podczas mojej wędrowki po Chinach odwiedziłem kilka komun. Według wszelkiego prawdopodobieństwa gospodarze zawieźli mnie do komun najlepiej zorganizowanych i chyba najbogatszych. Tak więc nawet ten niski poziom życia, któremu mogłem się przyjrzeć trudno jest uznać za przeciętny. Na pewno natomiast można uznać za typowy tryb życia w tych komunach, we wszystkich zresztą nieomal jednakowy, a wypływający z przyjętych powszechnie z małymi niuansami założeń strukturalnych i organizacyjnych.

Komuna „Czerwony sztandar” (In-czau) w prowincji Hopei leży o około 50 km. na północ od brzegów Jangtse. Nie łatwo tu zresztą dotrzeć, gdyż prowadzone na całym odcinku prace irygacyjne i drogowe — rowy, wielokilometrowe objazdy, tyśiące biegających z „nosiłkami” Chińczyków uniemożliwiają normalną komunikację samochodową i wymagają istic chińskiej cierpliwości.

In-czau to niewielka komuna. 12400 „zagród” (włączając w to miasteczko — centrum komuny), 51 tysięcy ludności, w tym „sił roboczych” 24 tysiące. Ziemi ornej — 6500 hektarów.

Do obowiązków zarządu komuny należy: Organizacja wszystkich prac rolnych i wykonania planu produkcji rolnej, określonego przez państwo oraz przez komitet partyjny prowincji. Budowa przemysłu terenowego — częściowo dla potrzeb własnych i według uznania komuny, częściowo zgodnie z planem gospodarczym prowincji. Prace irygacyjne, drogowe, budownictwo mieszkaniowe i komunalne. Organizacja handlu i usług rzemieślniczych. Całokształt gospodarki finansowej. Oświata powszechna, organizacja wojskowa, organizacja rozrywek kulturalnych i ćwiczeń sportowych. Słowem — całokształt życia gospodarczego, społecznego i politycznego na terenie komuny.

Odwiedziłem In-czau zaledwie w dwa miesiące od chwili założenia tej komuny. W tym czasie istniało tu dwieście „fabryk”, z których 170 powstało już po założeniu komuny. Jednakże jeśli ośmielam się pisać „fabryka”, to używam tu celowo nomenklatury chińskiej i proszę bynajmniej nie rozumieć tego słowa w europejskim znaczeniu. Fabryka w komunie — to w lwiej części jakiś kocioł czy komin przy polnej drodze, gdzie kilku lub kilkunastu ludzi wytapia surówkę, pali cegłę lub tradycyjnymi chińskimi sposobami wyrabia sztuczne nawozy. Tak więc w In-czau istniało wówczas 200 fabryk. 12 z nich można by nazwać fabryczkami lub warsztatami z prawdziwego zdarzenia. 10 powstało już za czasów komuny, m.in. gipsownia, walcownia blachy, fabryka prostszych narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, mała elektrownia. Prowizoryczne obliczenia zarządu komuny wskazywały, że produkcja rolna i przemysłowa

przyniesie w roku 58 łączny dochód 7.950.000 juanów. Z tego 3.550.000 j. przeznaczają się na „bezpłatne zaopatrzenie” i pensje członków komuny, 1.250.000 j. na budownictwo mieszkaniowe i socjalne, 2.800.000 j. na akumulację, a 350.000 j. wyniesie podatek na rzecz państwa.

Od czasu założenia komuny powstało tu 198 stołówek i 12 domów starców. Liczba istniejących przedtem 58 żłobków i przedszkoli wzrosła do 495. Powstały także łaźnie, pralnie, punkty reperacji obuwia i odzieży. I znów mała uwaga. Aby móc uwierzyć w te liczby trzeba pamiętać, że stołówka to zwykła szopa i ławy, że żłobek to klepisko i pryzce, że dom starców to jedna wspólna izba. Europejczyka zwiedzającego to wszystko ogarnia przerażenie ale mieszkańcy In-czau, z których połowa nigdy nie mieszkała inaczej, prowadzą swego gościa w każdy kąt, z uśmiechem pokazują nowe drelichy i kuchnię, w której pomyślowy kucharz przygotował aż 27 różnych potraw z rzepy, aby było „smaczniej i zdrowiej”. Ryż w In-czau je się jeszcze tylko od święta. Zresztą Chińczycy powiadają, że te wszystkie pomieszczenia są tymczasowe. Prowizorium, które było konieczne, jeśli się chciało w ciągu dosłownie dwóch tygodni skierować do produkcji 12 i pół tysiąca kobiet, zajmujących się przedtem co najmniej 3-4 godziny dziennie wyłącznie pracą domową.

Jakże więc wygląda organizacja pracy w komunie? Pobudka o piątej rano, krótka poranna odprawa dowództwa. Drylu wojskowego w tym niewiele — po prostu poszczególne drużyny, stanowiące zarazem podstawowe grupy produkcyjne uzgadniają dzienne zadania. Już przed szóstą rano drużyny przystępują do pracy. Oglądałem poletka doświadczalne. Trudno mi wprawdzie, jako człowiekowi nic wspólnego z rolnictwem nie mającemu, określić, w jakim stopniu te niesłychanie pracochłonne skrawki ziemi okażą się zbawienne dla mieszkańców In-czau. Ale pomyślowość i pracowitość Chińczyków jest wprost niewyczerpana. Są więc tu pola przeorane — a raczej przekopane na metr, półtora metra głębokości. Są pola usytuowane ukośnie, ku słońcu. Są osłonięte od wiatru, są nawożone w najrozmaitszy sposób — trudno się w tym wszystkim rozeznąć. Na cienkiej żerdce, jakimi cudem wiszące nad poletkiem, zgięci, siedzący w kukki Chińczycy nie przestają grzebać w młodej ozimocie. I tak 12, 14 godzin na dobę. O zmroku ludzie snują się jak cienie, a często czeka ich jeszcze nocna praca. Jest już ich bardzo chińską sprawą — dlaczego nawet nie pytani mówią wciąż o swoim entuzjazmie? Dlaczego nie przerywają pracy, gdy zupełnie legalny gong wzywa ich na najzupełniej legalny obiad? Dlaczego, mimo zezwolenia dowództwa nie opuszczają pola podczas ulewnego deszczu? Strach przed opinią kolektywu? Skuteczność propagandy? Psychoza masowego bohaterstwa? Czy odwieczna wiedza o tym, że opuszczenie przysłówiowego już koła do nawadniania pól równa się śmierci głodowej?

Na każdym polu — sztandary, transparenty, hasła: „Nasi trzej dobrzy generałowie — to stal, maszyny i nawozy”,

„Zwalczamy cztery złe duchy — muchy, komary, szczury, wróble”, „nasza stal — jak sputnik, prześcigniemy Anglię w produkcji stali”. Tuż obok ustawione w kozły — pożał się Boże — karabiny. Każdy pracujący członek komuny, jako członek pułku, został wcielony do powszechnej organizacji wojskowej. Myślę jednak, że z prawdziwym wojskiem bardziej łączy komune dyscyplina niż ów przedpotopowy karabin. Karabinów jest zresztą mało i przynajmniej w In-czau dostają je tylko „najlepsi”, to znaczy ci, którzy zdołali podnieść nad odpowiedni poziom swoją świadomość polityczną. Cóż, każdy karabin niezależnie od roku produkcji służy jednak do strzelania. Na dany więc znak chłopcy, dziewczęta i starsze kobiety przerywają pracę i mierzą do celu. Niewątpliwie ćwiczenia takie stanowią jakieś minimalne przeszkolenie wojskowe, tym bardziej, że w Chinach nie ma powszechnego obowiązku służby wojskowej. Jednakże opowieści, które słyszałem już po wyjeździe z Chin o „wielkiej mobilizacji wojskowej”, „uzbrojonych po zęby milionach” i „nastrojach wojennych” są znaczną przesadą. To nie komuna służy celom wojskowym, ale powszechna organizacja wojskowa służy celom komuny. Podział na kompanie i plutony, codzienne rozkazy produkcyjne pozwalają zarządowi lub — jeśli kto woli — dowództwu komuny dowolnie dysponować wielką masą ludzką. Członek komuny nie jest robotnikiem tej czy innej fabryki, nie jest rolnikiem czy murarzem. Jest członkiem drużyny, która może być skierowana codziennie do innej pracy. Jest człowiekiem, który otrzymuje rozkaz — „zadanie bojowe” i nie ma żadnych podstaw do zdziwienia, gdy zakończywszy codziennie obchód oddanych mu pod opiekę prosiat — otrzyma polecenie palenia wapna. Nie oznacza to bynajmniej, że w komunach nie istnieje specjalizacja, i to nawet bardzo daleko posunięta. Pole komuny można nieomal porównać z taśmą fabryczną, gdzie do powstającej maszyny każdy wkręca swoją śrubkę. Rolnik, który kiedyś orał, siał, uprawiał kilka kultur, nawadniał pole i dbał o swą zagrodę — w komunie w zasadzie zajmuje się tylko uprawą pszenicy lub ryżu czy też stawianiem nowych dachów. Ale jednocześnie w systemie codziennych rozkazów wojskowych doskonale się mieści możliwość odrywania ludzi od ich podstawowej pracy i kierowania do najpilniejszych lub jakichś dorywczych, kilkudniowych zajęć, które wynikły z potrzeby chwili. „Potrzebny jest nam nowy most” — powiedziano mi w komunie — „więc jutro uczniowie, część oddziałów fabrycznych i część polnych skierujemy do budowy mostu. Razem 5 tysięcy sił roboczych”. Chińczycy nazywają to „przełamaniem ślepej wiary”. Członek komuny musi się uczyć i podnosić swoje kwalifikacje zawodowe w ramach wyznaczonej mu wąskiej specjalności, ale jednocześnie w razie potrzeby musi umieć wykonać każdą pracę.

To zadziwiające połączenie wąskiego praktycyzmu w szkoleniu i bardzo rozległych umiejętności produkcyjnych jest dziś zresztą w Chinach zjawiskiem powszechnym. Odwiedziłem

w In-czau szkołę podstawową. Przy szkole istniało 10 fabryk, w których wszystkie prace wykonywały wyłącznie dzieci. 4 godziny lekcji, 3 godziny pracy i 2 kolektywnej nauki. 12letni chłopcy produkowali radioodbiorniki. Radio gra, nie trzeszczy, wygląda estetycznie, jest tanie i cieszy się powodzeniem na miejscowym rynku. Ale żaden z chłopców nie umiał mi wyjaśnić działania radiowego mechanizmu. Uczniowie szóstej klasy przechodzili kurs przysposobienia rolnego. Byli podzieleni na grupy: hodowców świń, sadowników, warzywników, hodowców drobiu. Z anatomią kury musieli się zapoznać tylko hodowcy drobiu.

W komunie In-czau jest niewielu fachowców. „Przełamanie ślepej wiary” i budowanie rękoma ludzi niekompetentnych — na przekór wszystkim prawdom tego świata — domów, które się nie zawalają i fabryk, które nie wylatują w powietrze jest jeszcze jednym chińskim curiosum. Dowództwo komuny zorganizowało wielki oddział budowniczych — 1200 ludzi. Tylko 90 z nich pracowało już kiedyś na budowie. Ci ludzie mają przebudować całą komunę. Dotychczas istniały tu 462 niewielkie i oddalone od siebie osiedla. Ma się rozumieć ten stan rzeczy jest jak najbardziej sprzeczny z zasadami życia kolektywnego. Postanowiono więc wyburzyć nieomal wszystkie istniejące domy. W In-czau powstanie jedenaście nowych osiedli, zgodnie z podziałem komuny na 11 batalionów. Największe, centralne osiedle komuny będzie liczyć 10 tys. mieszkańców. Plany sporządził nauczyciel matematyki i jedyny w komunie technik budowlany. Cegłę, wapno, tynk produkowano na miejscu. Domy są piętrowe, porządnie wykończone, mieszkania obszerne, dla całych rodzin. Brak kuchni i łazienki. Ale młoda chińska gospodyni nie rozumie w ogóle mego kręcenia nosem: przecież w osiedlu będzie i łazienka i stołówka.

Często pytano mnie jak wygląda życie prywatne Chińczyka. Życie prywatne — przynajmniej w komunie nie istnieje. Jest jakiś wąski margines życia rodzinnego, zawieszony przed wścibskim Europejczykiem gęstą zasłoną. Co gorsze, zasłona jest niewidzialna, więc nie można się za nią wcisnąć. Chińczyk czasem mówi wprawdzie, że ma dużo ładnych dzieci, ale o żonie z zasady nie wspomina i jest nieprzyzwoitością zadawać mu jakiegokolwiek pytania. Poza tym — jest życie kolektywne. W In-czau żyje się w myśl hasła: „Pracować kolektywnie, uczyć się kolektywnie, jeść kolektywnie, wypoczywać kolektywnie”. Ale czy tylko tyle? — Rozmawialiśmy długo o systemie wynagrodzeń. Są to sprawy przynajmniej dla Europejczyka dość szokujące i celowo chcę mówić o nich na końcu. Rozmawialiśmy więc o systemie wynagrodzeń. Komuna In-czau zapewnia swym członkom między innymi dwa razy w miesiącu bezpłatną usługę fryzjerską. Mój Boże, trzeba wiedzieć czym jest dla Chińczyka fryzjer!

Wędrownych, ulicznych fryzjerów spotkać można w każdym mieście chińskim, nawet na statku, którego najdłuższy kurs trwa dwa dni, a przeciętny Chińczyk strzyże się przy każdej okazji,

traktując to zajęcie jak nielada przyjemność. „No dobrze” — pytam — „a jeśli ktoś w waszej komunie idzie do fryzjera 3 razy w miesiącu, to za ten trzeci raz chyba płaci, prawda?”. Mój wiecznie uśmiechnięty rozmówca nie rozumie o co mi chodzi. „No, jeśli pan na przykład zechce się ostrzyć trzeci raz w ciągu miesiąca, to co wtedy?” — powtarzam pytanie. Tak bezgraniczne zdumienie nie może być chyba nieszczerze. „Ależ to niemożliwe” — tłumaczy mi Chińczyk — „ja nie będę chciał, jeśli cały kolektyw chce chodzić do fryzjera dwa razy w miesiącu, to dlaczego ja mam chcieć inaczej?”. Wydaję mi się, że takie poglądy — nie wiem czy zawsze szczerze, ale w każdym razie jedyne z jakimi się w Chinach spotkałem — znakomicie ułatwiły przyjęcie przez komuny obowiązującego systemu wynagrodzeń, niemożliwego chyba do realizacji nigdzie poza Chinami. Wspomniałem już, że system taki przynosi ogromne korzyści państwu, że zapewnia zarazem wszystkim członkom komuny minimum potrzebne do życia. W In-czau komuna zapewnia swym członkom „bezpłatnie”: 1) jedzenie trzy razy dziennie, choć tradycyjnie chłop chiński posila się dwa razy w ciągu dnia), 2) ubranie i szycie ubrań z materiałów własnych klienta, 3) szycie butów z materiałów własnych, 4) pranie, 5) kino i teatr, 6) pomoc lekarską i lekarstwa, 7) obsługę porodu, 8) przewóz przez rzekę i 9) wspomnianego już fryzjera. Bezpłatne zaopatrzenie dotyczy wszystkich bez wyjątku członków komuny. Żłobki, przedszkola i szkoły są już od dawna w Chinach bezpłatne.

Siły produkcyjne otrzymują ponadto pensję. Pensja waha się od 8 do 15 juanów miesięcznie, przy czym średnio wynosi 12 juanów. 12 juanów — to komplet podręczników szkolnych dla dwojga dzieci lub trzy pary ubuwia tekstylnego lub 24 kawałki mydła toaletowego. Wszyscy pracownicy komuny zostali podzieleni na cztery grupy uposażeniowe, które podaję w kolejności, według wysokości zarobków: 1) „kadra” (czyli funkcjonariusze partyjni i państwowi) i administracja, 2) drużyny przemysłowe, 3) drużyny rolne i 4) drużyny rzemieślnicze i handlowe. 15 j. miesięcznie zarabia jedynie kadra, od dowódcy batalionu wzwyż. Tego rodzaju podział na grupy uposażeniowe nie jest bynajmniej powszechnie obowiązujący i każda komuna reguluje te sprawy dowolnie. Są to wprawdzie groszowe sumy, ale w żadnej komunie nie spotkałem się z całkowitym zrównaniem płac. Chcę tu jeszcze wspomnieć o najdziwniejszej bodaj siatce płac z jaką udało mi się w życiu zapoznać. W pewnej komunie, na południu Chin, podzielono pracowników na grupy uposażeniowe według następujących kryteriów: 1) Świadomość polityczna; 2) stosunek do pracy, do kolektywu i do własności społecznej; 3) wydajność pracy; 4) opanowanie zawodu. Warto dodać, że w tejże komunie, gdzie przeciętny zarobek wynosił 9 juanów miesięcznie, kadry otrzymywały jeszcze pensję państwową w wysokości średnio 45 j. miesięcznie, nie mając teoretycznie prawa do żadnych świadczeń bezpłatnych, jednakże korzystając z tych wszystkich świadczeń za groszową opłatą.

Jeśli ktoś napisze: kolchoz jest sprzeczny z naturą kozaka dońskiego — będzie to niewątpliwy skrót myślowy, ale skrót dla przeciętnego inteligenta choć trochę osłuchanego w sprawach rosyjskich, całkowicie zrozumiały. Czy komuna sprzeczna jest z naturą chłopu chińskiego? Trzeba arcy-śmiałka aby zdecydował się dać na to autorytatywną odpowiedź. Aby odpowiedź nie była pochopna należy podjąć bardzo wszechstronną analizę sytuacji chińskiej. Zbyt skomplikowana jest natura chińskiego chłopca, zbyt różne warunki życia od „norm europejskich”. Ci, którzy próbują ową powszechną chińską lojalność tłumaczyć wyłącznie terrorem znakomicie ułatwiają sobie zadanie, robiąc unik przed myśleniem i analizą polityczną tego co dzieje się w Chinach. Fakt, że blisko 500 milionów ludzi poddało się woli partii, żyje i pracuje w komunach ludowych. Fakt, że komuny zaczynają przynosić Chinom ogromne korzyści ekonomiczne, choć można w tym chińskim modelu znaleźć dziesiątki nonsensów ekonomicznych, każe zjawiska zachodzące w Chinach traktować bardzo poważnie. Można oczywiście nazywać ten powszechny kolektywizm chiński systemem, który niewątpliwie druzgoce wszelką indywidualność, zbrodniczym i ahumanistycznym. Ale należy przecież pamiętać, że wszystko to wyrasta w kraju o feudalnej niemal cywilizacji, na gruncie innej zupełnie kultury i innych zupełnie norm życia społecznego. To co napisałem nie ma być usprawiedliwieniem dla tego co dzieje się w Chinach. To po prostu apel o ostrożniejsze i bardziej przemyślane oceny przemian tam zachodzących. W przeciwnym bowiem wypadku europejska wiedza o Chinach bardzo łatwo może zostać zalana falą doktrynerskiej propagandy i frazesów. Często zauważam zbieżność między stalinowcami, którzy uważają, że wszystko załatwić można terrorem, a ich śmiertelnymi przeciwnikami, którzy nie tylko także w to wierzą, ale w ten sposób starając się tłumaczyć niezwykle skomplikowane i złożone procesy społeczne. Ten pozornie dziwny sojusz znakomicie utrudnia prawidłowe rozeznanie tendencji rozwoju społecznego, układu sił politycznych wpływów.

IV

Pytano mnie jak wygląda w Chinach praca polityczna. Pytanie oczywiście, zbyt szerokie, aby można na nie udzielić pełnej odpowiedzi, Pragnę powiedzieć przeto tylko o paru sprawach, szczególnie charakterystycznych dla Chin.

Nawet bardzo pobieżne zapoznanie się z tymi sprawami umożliwi dokonanie pewnego podziału: na to co nazwać by można umownie propagandą polityczną i „pracą wychowawczą”. Zwraca uwagę konkretność i doraźna utylitarność chińskiej propagandy. Jeśli nawet propaganda chińska operuje frazesem, to jest to najczęściej frazes konkretny, przemawiający do wyobraźni, bardziej nastawiony na emocjonalne niż na racjonalne działanie. Cały wysiłek skierowany jest ponadto na propagowanie tego

co należy zrobić dziś i jutro. Propagandy ogólnopolitycznej, z wyjątkiem propagandy antyamerykańskiej, jest stosunkowo bardzo mało. Można sądzić na podstawie całej praktyki aparatu politycznego, specjalnie w terenie, że chińskiej partii zależy na tym aby przeciętny Chińczyk nauczył się choć trochę czytać i pisać, dobrze pracował, był posłuszny, lojalny wobec partii, umiał żyć w kolektywie. Żeby był zadowolony z tego co ma, i uważał że dobrobyt w sensie europejskim jest wręcz niemoralny. Aby całe swoje życie prywatne, osobiste podporządkował wszelkim zarządzeniom i dyrektywom partii. Żadnej dążności do ideologicznego podszykalania nie daje się zauważyć. Chińczyk musi znać i powtarzać przy każdej okazji kilka podstawowych „prawd”: że komuna jest dobra, że partia ma rację, że amerykańscy imperialiści to papierowe tygrysy i że Formoza wróci do Chin. Propaganda antyczangkajszeowska jest minimalna. Problem Czang-kaj-szeka jako reprezentanta innej polityki chińskiej w ogóle nie istnieje. Gdy na scenie opery ukazują się postacie Czang-kaj-szeka — po prostu wybucha powszechny śmiech.

Zwraca uwagę fakt, że poza znikomą ilością oficjalnych enuncjacji kierownictwa partii cała propaganda chińska milczy o internacjonalizmie, przy jednocześnie bardzo popularnych, bardzo powszechnych i silnych tendencjach nacjonalistycznych. Za przechodzącym białym człowiekiem padają okrzyki „diabeł zamorski”. Zarówno przeciętny Chińczyk jak i przeciętny chiński działacz polityczny z ogromnym przekonaniem i absolutną pewnością mówią o potęgę Chin, o tym, że po raz pierwszy stają się wielkim mocarstwem całkowicie niezależnym od imperialistów. Niechęć do białych, nieufność, wyczuwalna jest w każdej niemal rozmowie pod maską uśmiechu i uprzejmości. I choć jest to wynik raczej historycznych doświadczeń narodu chińskiego i — delikatnie mówiąc — bardzo konsekwentnie niemądrej polityki europejskiej i amerykańskiej wobec Chin — to niewątpliwie aktualna propaganda w Chinach znacznie nacjonalizm ten pogłębia. To, że przeciętny działacz polityczny uważa współczesne Chiny za potęgę nie oznacza, aby Chińczycy nie zdawali sobie sprawy ze swojego zacofania i biedy. Przeciwnie — podkreślają to w rozmowach z cudzoziemcami nieomal zawsze. Ale jak o czymś, co ma się stać już jutro, pojutrze mówią o przegonięciu Anglii, dogonieniu Ameryki. Dla Europejczyka, wstrząśniętego przecież wielką biedą, szokująca jest ta powszechna wiara w szczęśliwe jutro. I znów trudno wymierzyć, jaka w tym zasługa propagandy, a jaka chińskiej cierpliwości. Formy propagandy są bardzo często dla Europejczyka absolutnie zaskakujące i niewytłumaczalne. Oto na przykład Centralny Komitet Partii zarządza pewnego dnia powszechne pisanie wierszy. I już nazajutrz setki milionów Chińczyków piszą wiersze. Miliony wierszy. Towarzysz sekretarz komuny napisał tysiąc kilkaset wierszy, a więc każdy prawowierny Chińczyk — a innych nie ma — stara się napisać jeszcze więcej. Wiersze są o życiu w komunach, ryżu, sztucznym nawozie, Formozie, sławiają partię i wodza Mao tse tunga.

Jak wygląda życie ideologiczne intelektualistów, wyższych funkcjonariuszy partyjnych — tego poza bezpośrednio zainteresowanymi nie wie nikt. Dziennikarz przybywający do jakiegokolwiek kraju europejskiego, także komunistycznego, dowie się najrozmaitszych plotek, nieoficjalnych wiadomości, będzie miał możliwość porozmawiania z działaczami i przywódcami, także w sposób nieoficjalny. W Chinach nie ma o tym mowy. Wiadomo tylko, że w tej chwili w Chinach z całą bezwzględnością, posuniętą aż do granic fizycznego terroru, zwalczą się każdą nawet najdrobniejszą herezję.

Jest wiele spraw, o których należałoby choćby pobieżnie wspomnieć. Są to sprawy polityki partii wobec inteligencji i pozycji inteligencji w życiu politycznym i gospodarczym, sprawa tzw. kadr to znaczy wyższych funkcjonariuszy partyjnych i państwowych, sprawa polityki wobec emigracji. Niestety wszystko to wymagałoby, nawet gdyby chciał potraktować sprawy bardzo pobieżnie, zbyt wielu wyjaśnień. Dlatego wymagają one osobnego omówienia. Niezależnie od wszelkich ocen tego co dzieje się w Chinach, ogromna większość opiniodawców zgadza się, że wyrasta tam wielka potęga. 40 lat temu wielu także nie wierzyło, że Rosja stanie się wielką potęgą. Są wszelkie dane ku temu, że Chiny odbędą tę drogę o wiele szybciej. Trudno oczywiście snuć hipotezy, jak olbrzym, który powstaje w Azji, gospodarować będzie swymi siłami. Istnieje jeszcze jedno zagadnienie, bardzo w sprawie chińskiej ważne, a mające pierwszorzędne znaczenie dla przyszłości naszego świata. To sprawa stosunków rosyjsko-chińskich. Na ten temat jest bardzo wiele spekulacji. Doceniając ważność i znaczenie wszelkich sprzeczności rosyjsko-chińskich, jakie niewątpliwie już w tej chwili mają miejsce między tymi dwoma mocarstwami — sądzę, że jeszcze bardzo długo sprzeczności te nie będą ważyć na światowym układzie sił politycznych.

Z angielskiego tłum. Zofia HERTZ

Copyright by „Kultura”

**PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O. — WOLNE od CŁA
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOSC**

Katalog 200 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie.

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD.**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



O “atomizacji” w Ameryce i gdzie indziej

I

Profesor Józef Chałasiński niedawno odwiedził Stany Zjednoczone. W życiu wybitnego socjologa polskiego była to druga wizyta na ziemi amerykańskiej. Pierwsza wypadła jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Był to wtedy pobyt dość długi i owocny. Wynikiem jego było duże dzieło o szkole w społeczeństwie amerykańskim oraz kilka studiów o amerykańskiej Polonii. Studia o Polonii — choć tyle lat upłynęło od ich napisania i w ciągu tych lat tyle rzeczy się zmieniło — wciąż mogą być uważane za cenne przyczynki do badań nad procesami, zachodzącymi w środowiskach emigranckich w Stanach Zjednoczonych. I choć druga wizyta Profesora Chałasińskiego była znacznie krótsza, to przecież z ciekawością czekało się na jego spostrzeżenia i wnioski. Bardziej niż kto inny z gości odwiedzających Amerykę mógł on powiedzieć coś interesującego i wnikliwego.

Wkrótce też po swoim powrocie do Polski Profesor Chałasiński dał podsumowanie swych świeżych amerykańskich wrażeń. Było to w formie wywiadu, udzielonego redaktorowi popularnego tygodnika warszawskiego „Stolica”.

Nie sądzę, by wywiad prasowy był najszcześniejszą formą, jakiej uczony może użyć dla wypowiedzenia swych obserwacji i wniosków. Wywiad prasowy jest przeznaczony dla bardzo szerokiego ogółu. Nie ma tu miejsca na precyzyjną ujęcie. Trzeba się posługiwać ogólnikami, bardziej hasłami niż ideami. W każdym warunkach — a cóż dopiero w polskich! — wywiad tego rodzaju musi być traktowany jako wypowiedź publicystyczna, daleka od naukowego obiektywizmu, od wszystkich tych kryteriów, jakimi uczony zwykł się posługiwać. I jest też zawsze niebezpieczeństwo, że myśl osoby udzielającej wywiadu może zostać spaczona w relacji dziennikarskiej. Choć — normalnie rzecz biorąc — wywiad przed pójściem do druku powinien być

autoryzowany przez głównego rozmówcę. Przypuszczać też należy, że i Profesor Chałasiński udzielił swego *placet* redaktorowi „Stolicy” przed odesłaniem tekstu do drukarni.

Zakładając, że to ostatnie miało miejsce, mamy prawo uznać wypowiedź Chałasińskiego za autorytatywne podsumowanie jego wrażeń z ostatniego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Musimy przyjąć, że stosunki amerykańskie widział tak, jak je przedstawił — w najdalej posuniętym dziennikarskim uproszczeniu — redaktorowi tygodnika „Stolica”. Niewątpliwie może tu być mowa tylko o ogólnych wrażeniach. Forma wypowiedzi dziennikarskiej nie dawała pola dla gruntowniejszej analizy, dla bardziej systematycznych rozważań. Ale wrażenia te są interesujące, choćby tylko jako wyraz postawy osoby, która je z pobytu swego w Ameryce wyniosła.

Chcę wobec Profesora Chałasińskiego zachować jak najdalej posuniętą lojalność. Chodzi tu przecież o człowieka, dla którego osiągnięć naukowych jestem pełen szacunku i z którym łączyły mnie kiedyś lata bliskiej współpracy. Zdaję sobie też doskonale sprawę z warunków, wśród których wywiad ten został ogłoszony i z ograniczeń, jakie jego forma narzuciła uczonemu. Nie chcę i nie mogę polemizować z Profesorem Chałasińskim. Zresztą nie można dyskutować z wrażeniami, z odczuwaniami, z ogólnikowymi hasłami.

Jednakże pewne z uwag Chałasińskiego wydają mi się szczególnie interesujące dlatego, że mogą posłużyć za punkt wyjściowy czy zaczepienie dla rozważań o znacznie szerszym zakresie. Chałasiński wywiadem swym dał mi bodźca do takich rozważań i za to mogę mu być wdzięczny. To, czym się teraz chcę zająć, powstało więc na marginesie tego, co przeczytałem w tygodniku „Stolica”.

Muszę jednak zacząć od przedstawienia treści samego wywiadu. Składa się on wyraźnie z dwóch części i każda z tych części jest różna zarówno pod względem samego opisu jak i klimatu emocjonalnego. Pierwsza używa barw czarnych, jest przesyciona pesymizmem, druga — raczej nieoczekiwanie — jest znacznie jaśniejsza w kolorze i optymistyczna.

Pozwolę tu sobie zacytować kilka ustępów z wywiadu Profesora Chałasińskiego. Mamy więc najpierw bardzo czarny obraz społeczeństwa amerykańskiego:

„Społeczeństwo to — powiada Chałasiński — obywa się bez przywództwa, reprezentującego jakąś myśl, ideę, która by orientowała społeczeństwo amerykańskie o roli tego kraju w świecie współczesnym. Wrogość społeczeństwa amerykańskiego w stosunku do komunizmu wynika stąd, że komunizm traktowany jest jako spiszek. Sama idea komunizmu jako kierunku rozwoju społeczeństwa jest dlań obojętna. Istnieją wielkie aparaty polityczne — partie, związki zawodowe, armia, a poza nimi społeczeństwo zatomizowane”.

„Ameryka coraz bardziej staje się społeczeństwem nomadów. Mała, szczęśliwa rodzina, mieszcząca się w samochodzie, to jest podstawowa komórka szczęśliwości w tym społeczeństwie koczowników...”.

„Istnieją tu obiektywne, materialne warunki, ułatwiające różnicowanie się i indywidualizowanie potrzeb kulturalnych człowieka, ale jednocześnie przez rozluźnienie się więzi międzyludzkich i wszelkich struktur społeczno-kulturowych znikają bodźce do pogłębiania i wzbogacania życia duchowego jednostki. Giniącej więzi przyjaźni nie odbudują podręczniki na temat, w jaki sposób zjednywać sobie przyjaciół”.

Ale po namalowaniu tak beznadziejnego obrazu Profesor Chałasiński nieoczekiwanie dla czytelnika uderza w akordy pogodne i staje się optymistą. Sytuacja nie jest beznadziejna. „W społeczeństwie amerykańskim — stwierdza Chałasiński — są zawarte wielkie siły żywotne. Jeszcze brak przywództwa intelektualnego, ale istnieją izolowane obecnie, ale silne środowiska intelektualne i zagadnienie stworzenia mechanizmu selekcyjnego umożliwiającego dopuszczenie ludzi o wysokim poziomie umysłowym do decydujących stanowisk — staje się problemem centralnym. Pewne konkretne nadzieje w tym kierunku wynikają ze zwiększenia się wpływów partii demokratycznej, mającej w swych szeregach wielu ludzi wybitnych”.

I na zakończenie Chałasiński wyraża nadzieje, że „Ameryka w swojej obecnej strukturze i przy istniejących już urządzeniach społecznych obiektywnie dojrzeje do pokojowego przejścia na socjalizm”.

Takie oto dwoiste wrażenia odebrał Chałasiński w czasie swego ostatniego pobytu w Stanach Zjednoczonych. Ale — jak to już powiedziałem — z wrażeniami trudno jest dyskutować. Mogą one jednak posłużyć za punkt wyjściowy dla pewnych rozważań ogólniejszych. I do tych rozważań przejdziemy, koncentrując się na najbardziej zasadniczej z obserwacji socjologa polskiego — na sprawie atomizacji społecznej.

II

Wyrażenie „atomizacja” społeczna może być rozumiane tylko jako metafora. Nie jest to termin naukowy, wyrażający konkretną sytuację społeczną. Zbiorowość „atomów” ludzkich nie była by społeczeństwem. W istnienie takich atomów okresu „przedsocjalnego” wierzyła szkoła epikurejska i Lucretius Carus dał nawet dokładny opis takich „atomów” i ich działania. Do koncepcji tej wracano i w epokach późniejszych, żeby tylko wymienić poglądy Hobbes’a. Ale już wiek XVIII przyjmował istnienie „atomów” okresu sprzed zawarcia umowy społecznej

jako coś hipotetycznego i „le bon sauvage” nie był tu traktowany jako jednostka izolowana i niezwiązana z innymi. Dziś doskonale wiemy, że życie ludzkie zawsze rozwijało się w warunkach współzycia zbiorowego i że „atomy” ludzkie nigdy nie istniały. Przeciwnie — „le bon sauvage” (przestaliśmy go już dawno uważać i za „bon” i za „sauvage”) był istotą wysoce społeczną.

Jeżeli używa się zwrotu „atomizacja społeczna”, to ma się na myśli sytuację historyczną, w której pewne — szczególnie dotąd ważne — tradycyjne grupy społeczne ulegają gwałtownemu rozkładowi, co pociąga za sobą słabnięcie czy zanik tych więzi społecznych, które dotąd miały szczególne znaczenie dla życia jednostki, dla jej wartościowań, postaw i całego zachowania się. Psychicznym tego wyrazem jest poczucie osamotnienia jednostki, poczucie izolacji, zagubienia się w gromadzie istot innych.

Oczywiście „atomizacja” taka nigdy nie jest i być nie może całkowita. Gdyby nią była, człowiek w ogóle istnieć by nie mógł. Zawsze jakieś więzi — choćby osłabione — zachowują się, zawsze jakieś formy związania z innymi istnieją. Co więcej w stanie „atomizacji” z reguły występują tendencje do powstawania nowych grup, które by zajęły miejsce grup rozpadających się, do tworzenia nowych więzi, które by zastąpiły dawne. Człowiek szuka dla siebie jakiegoś miejsca, nie może żyć w próżni. Jeżeli zatracił poczucie lojalności wobec dawnych grup czy instytucji, stara się w nowych grupach i instytucjach znaleźć przedmiot swego oddania, znaleźć w nich miejsce dla siebie i swoich uczuć. Jeżeli to nie powstaje lub powstaje niedość szybko, następuje rzeczywisty rozkład — jednostki i cywilizacje giną.

Są epoki, w których procesy dezintegracyjne — lepsze to wyrażenie od „atomizacji” — występują szczególnie silnie i powszechnie. Są to okresy wielkich kryzysów cywilizacyjnych, gdy całe systemy społeczne, całe kultury i wyrosłe na ich podłożu instytucje ulegają rozpadowi. Rewolucja industrialna przyniosła taki okres. Trwa on ciągle, nie słabnie — przeciwnie, zaostrza się coraz bardziej.

Nie jest to pierwszy wielki kryzys w dziejach kultury ludzkiej. Takich kryzysów w przeszłości było już bardzo wiele. I przy wszystkich swoich różnicach zewnętrznych wszystkie one miały zasadnicze cechy wspólne: poczucie osamotnienia człowieka, cynizm i pesymizm, brak wiary w te wartości moralne, jakimi żyły poprzednie pokolenia. Zanika poczucie lojalności wobec tych grup i ich instytucji, które poprzednio były absolutnym autorytetem. Ludzkość już nieraz przez takie sytuacje przechodziła i nierzadko wychodziło z nich zwycięsko.

Jesteśmy dziś w epoce takiego kryzysu. Jest on szczególnie ostry i dramatyczny. I trwa już drugie stulecie. Odbywa się on w ramach współczesnej cywilizacji industrialnej, która do stop-

nia nieznanego cywilizacjom poprzednim skomplikowała warunki współzycia ludzkiego. Jednostka dzisiejsza stała się uczestnikiem niezliczonej ilości grup i podgrup, nieraz będących w stanie rozpadu, najczęściej reprezentujących sprzeczne interesy i dążenia. Głębokie konflikty wewnętrzne, skłócone uczucia lojalności wobec ideałów, instytucji i ludzi, kolosalna instytucjonalizacja stosunków międzyludzkich, tempo i rozmiary zachodzących przemian — wszystko to ma udział w wielkim kryzysie naszej epoki.

Pociąga to za sobą to, co w formie przenośnej jest określane jako „atomizacja” społeczna. Jednostka, której dotychczasowe więzi społeczne ulegają stałemu osłabieniu czy zanikowi, czuje się coraz bardziej osamotniona, zagubiona, targana przez konflikty wewnętrzne. Ulega ona licznym neurozom, które dziś są naukową nazwą dla tego, co w epokach poprzednich kryzysów nazywało się „opętaniem”, „nawiedzeniem” przez czarta itp. Czarownic dziś się nie pławi, chodzą one do psychoanalityków. Psychoanaliza zastępuje dziś dawne egzorcyzmy. Nie potrafię powiedzieć, co jest bardziej skuteczne.

Ten kryzys dotknął dziś wszystkie kraje współczesnej cywilizacji industrialnej. Bez względu na ich organizację gospodarczą i polityczną! Przypisywanie go wyłącznie krajom „kapitalistycznym” wymagałoby dopiero udowodnienia. A było by to możliwe tylko w tym wypadku, gdybyśmy mogli przeprowadzić obiektywne badania i zebrać obiektywne dane na terenie krajów „socjalistycznych”. W tych krajach zaś względy doktrynalne nakazują zaprzeczać istnieniu takiego kryzysu i uniemożliwiają zebranie danych, które by dawały jakąś podstawę porównawczą.

Od czasu do czasu jednak dochodzą do nas pewne fakty, które wskazują, że kryzys w krajach „socjalistycznych” w istocie swej nie zbyt różni się od kryzysu w krajach „kapitalistycznych” i że w każdym razie i tam nie wszystko idzie gładko. Nawet sowiecka powieść — jakże niewierny obraz autentycznego życia! — nieoczekiwanie odkryje jakieś zakamarki duchowe człowieka radzieckiego, świadczące o tym, że i jemu nie są obce te konflikty i zmagania, jakie są właściwe jego bratu w krajach „kapitalistycznych”. Jeszcze więcej o tym mówi literatura polska, literatura kraju, w którym zakłamanie doktrynalne nie doprowadziło do ostatecznego absurdu.

O analogiach, jakie zachodzą i tu i tam, mówią i inne jeszcze dane. Niewątpliwie ruchliwość przestrzenna dzisiejszego człowieka jest jednym z elementów kryzysu. Oczywiście łącznie go z rozpowszechnieniem się auta np. w Ameryce wydaje się czymś wysoce ryzykownym. Auto jest tylko środkiem lokomocji. A w Stanach Zjednoczonych staje się ono raczej bardziej narzędziem przewycięzania izolacji niż jej powiększania. Farmer amerykański byłby nieskończenie bardziej izolowany, gdyby nie miał auta i telefonu. Auto sprawia, że w okręgach rolniczych Stanów Zjednoczonych może rozwijać się życie zbiorowe, że

jest ono nawet bardzo intensywne, że „atomizacja” ma tu poważne zapory. Auto sprawiło, że więź sąsiedzka w Ameryce nie osłabła, że rozszerzyła się i umocniła, że jednostka może tu utrzymywać całą masę ważnych, stałych i trwałych kontaktów międzyludzkich. W pewnych wypadkach samochód może wpływać na osłabienie więzi rodzinnej, gdy młodzież dzięki posiadaniu własnej maszyny „odbija się” od starszych. Jak każde narzędzie człowieka, auto może prowadzić do złego i do dobrego. Używanie go może więc mieć i następstwa antyspołeczne, żeby tylko wymienić pewne formy przestępczości, związane z samochodem. Ale w całości auto jest bardziej środkiem wiązania społecznego, niż społecznej dezintegracji.

Ale jest to tylko drobna dygresja na marginesie znacznie szerszego zagadnienia. Człowiek dzisiejszy — w Ameryce i gdzie indziej — szybko i łatwo przenosi się z miejsca na miejsce. Cywilizacja nasza jest pod znakiem powszechnej ruchliwości przestrzennej. Niewątpliwie jesteśmy „nomadami” i niewątpliwie nasz nomadyzm idzie w parze z „atomizacją”, z rozpadem dawnych więzi, z trudnością tworzenia się więzi nowych. Czy tak jest tylko w Stanach Zjednoczonych /

Z niezmiernym zainteresowaniem czytałem prace poważnego socjologa polskiego Profesora Stefana Nowakowskiego. Zwłaszcza rozprawy jego o adaptacji ludności na Śląsku oraz o hotelu robotniczym w Warszawie dały mi bardzo wiele do przemyślenia.

Powojenna Polska stała się widownią wielkich wędrówek ludzkich. To, że środkiem lokomocji nie jest tam auto, nie ma najmniejszego znaczenia. Zjawiska socjo-psychiczne towarzyszące wędrówkom do Ziemi Odzyskanych, czy migracjom ludności wiejskiej do przemysłowych miast, są najzupełniej analogiczne do zjawisk, towarzyszących wędrówkom mas ludzkich na terenie Stanów Zjednoczonych. Czytając świetne prace Stefana Nowakowskiego, nie mogłem się uwolnić od myśli, jak bardzo jego opisy były podobne do tego, co w Ameryce wiemy np. o wędrówkach Portorykańczyków. Te same procesy, te same trudności, te same załamania psychiczne, te same zagadnienia. Różnica tylko w tym, że Stany Zjednoczone — bardziej doświadczone od Polski w tej dziedzinie — umiały stworzyć znacznie sprawniejszy aparat pomocy, który ułatwia adaptację migrantów. W Polsce aparat taki jest dopiero in statu nascendi i nie wątpię, że w dalszym swym rozwoju będzie musiał korzystać z doświadczeń amerykańskich.

Nie znane są mi prace z terenu Związku Radzieckiego, które by były analogiczne do prac Nowakowskiego. Mam wątpliwości czy prace takie tam w ogóle powstawały. Po co by zresztą miały powstawać, skoro w ustroju socjalistycznym takie zagadnienia nie mogą istnieć! Ale czy nie istnieją? Jeżeli rzeczywistość nie godzi się z teorią, to tym gorzej dla rzeczywistości! Rzeczywistość może z tego powodu bardzo cierpieć, ale nie mniej nie przestaje być rzeczywistością.

Nie jest jednak tajemnicą, że Związek Radziecki nie od dziś jest sceną kolosalnych migracji wewnętrznych, dobrowolnych i niedobrowolnych. Coś nie coś o nich wiemy, choćby z relacji tych ludzi, którzy w latach wojny wędrowali do Kazachstanu i do Tadżykistanu, by nie mówić o miejscach jeszcze mniej przyjemnych. Masy ludzkie ze wszystkich stron europejskiej części Sowietów stale napływają na Syberię, element wielkorosyjski jest przesuwany na Ukrainę i na Kaukaz. A te fragmentaryczne dane, jakie na temat tych migracji otrzymujemy, świadczą, że zagadnienia, które tu powstają, są czymś nieskończenie groźniejszym dla człowieka i głębiej sięgającym, niż migracje zachodzące w Stanach Zjednoczonych. Nie możemy tu jednak głębiej wchodzić w te sprawy. Musimy się ograniczyć tylko do tych paru przykładów. Zdają się one mówić o tym, że kryzys współczesnej cywilizacji, z jego „atomizacją” i osamotnieniem jednostki, stał się zjawiskiem powszechnym, obejmującym wszystkie zakątki naszego świata, wszelkie systemy gospodarcze i polityczne.

III

Wspomnieliśmy niedobrowolne migracje na terenie Związku Radzieckiego. „Atomizacja” i „nomadyzm”, jakie im w sposób nieunikniony towarzyszą, nie są produktami jakichś żywiołowych procesów, powstałych na podłożu ogólnego kryzysu naszej cywilizacji. Są one następstwami świadomego i planowego działania pewnych zespołów ludzkich, które się nimi posługują dla osiągnięcia określonych celów. Obok „atomizacji” żywiołowej występuje jeszcze inny rodzaj „atomizacji”: atomizacja planowa.

„Atomizowanie” społeczeństwa bywa celem planowego działania pewnych grup politycznych, które drogą przewrotu oparowały aparat rządzenia w danej zbiorowości narodowej. Cel tu jest jasny: złamanie podstaw społecznych, na których mogła by się oprzeć opozycja, oraz uniemożliwienie wyłonienia się grup nonkonformistycznych, które by mogły rzucić wyzwanie zespołowi rządzącemu. Im zespół ten czuje się mniej pewnym swej władzy, im proces uznawania go przez szerszy ogół jest słabiej posunięty, tym bardziej intensywne i bezwzględne są jego zabiegi w kierunku „atomizacji” szerokich grup danej społeczności narodowej.

Stosowany jest wtedy cały szereg drastycznych zabiegów, mających na celu zniszczenie jednostek przywódczych, które mogłyby stać się centrami polaryzacyjnymi dla ewentualnej opozycji. Gnębi się i niszczy organy niezależnej opinii publicznej. Zwalcza się wszelkie te tradycyjne grupy i instytucje, w których nonkonformizm może mieć swoje środowisko czy oparcie, Proskrypcje i czystki, mordy polityczne i obozy koncentracyjne, delegalizacja opozycyjnych stronnictw politycznych, prześladowanie

instytucji kościelnych, niszczenie wszelkich niezależnych instytucji życia zbiorowego i niezliczone formy terroru indywidualnego i masowego — wszystko to jest dobrze znane ludzkości od czasów Sulli i Mariusza aż do epoki Hitlera i Stalina. Zmieniały się formy, zmieniała się technika, ale cel wszędzie i zawsze był ten sam.

Oczywiście zmieniały się i racjonalizacje, jakie przy tym były używane. Inaczej uzasadniał proskrypcje Sulla i inaczej swą walkę z opozycją uzasadniał Mussolini. Hitler mówił o czystości rasowej i o prymacie niemieckości. Lenin i Stalin powoływali się na konieczność dziejową, która prowadziła do dyktatury proletariatu i do krańcowego zaostrzenia walki klasowej po opanowaniu władzy przez proletariat. Ale racjonalizacje — choćby w praktyce życia zbiorowego były ważne — są tylko okolicznością towarzyszącą i nie zmieniają istoty rzeczy. To, co jest sprawą zasadniczą, to sam fakt celowej atomizacji życia zbiorowego, przeprowadzanej planowo przez ludzi u władzy i grupy, które z nimi stoja.

Od Sulli aż do Stalina i Hitlera ludzie u władzy dyktatorskiej zmierzali do tego, by więzi, łączące jednostkę z innymi jednostkami, więzi tradycyjnego współżycia grupowego, ulegały osłabieniu czy zerwaniu, by jednostka była osamotniona w swym zachowaniu się wobec władzy. Jeżeli zaś pewne tradycyjne grupy pozostawiano nietknięte, to starano się osłabić ich spoiwość wewnętrzną, podporządkować je zespołowi rządzącemu, zamknąć w szerszych ramach systemu rządzenia. I z reguły tworzone nowe grupy, grupy konformistyczne, co do których lojalności nie było obawy. Ale i te grupy były pod ciągłą kontrolą i władcy stale czuwali, by w obrębie ich nie rodziły się tendencje nonkonformistyczne i nie wyłaniały się ośrodki opozycji. W rezultacie grupy te nie mogły mieć tej tężyzny i mocy wewnętrznej, jaką umiały wykazywać niezależne grupy tradycyjne.

Niemniej jednak stale istniała obawa, że nawet i w takich uległych grupach mogą się wytwarzać skłonności buntownicze. Obawa taka miała swe uzasadnienie. Z historii wiemy, że nawet społeczeństwa w stanie daleko posuniętej „atomizacji” były zdolne znajdować formy namiastkowe dla swych tendencji nonkonformistycznych. Stronnictwa cyrkowe w Bizancjum mogły tu posłużyć za klasyczny przykład. Tendencje nonkonformistyczne, nie mogąc znaleźć dla siebie innego ujścia, szukały go w instytucjach i zespołach jak najdalej napozór odsuniętych od szerokiego działania politycznego. Rola, jaką w Polsce przedpaździernikowej odegrały pewne skupienia literackie, wskazuje na podobną tendencję. W bez porównania jeszcze większym stopniu podobną rolę odgrywa dziś w Polsce Kościół katolicki. Jego kolosalny autorytet wynika nie tylko z rzeczywistych potrzeb i uczuć religijnych szerokich mas społecznych. Niemniej ważny jest fakt, że uczestnictwo w życiu kościelnym stało się ujściem dla masowych postaw nonkonformizmu politycznego. Gdyby w Polsce zapanowała rzeczywista swoboda polityczna, Kościół

katolicki zapewne w oczach wielu ludzi straciłby na swej atrakcyjności, choć prawdopodobnie zyskałby na pogłębieniu się uczuć religijnych u ludzi prawdziwie wierzących.

Niebezpieczeństwo odrodzenia się sił nonkonformistycznych jest zawsze żywe dla grupy rządzącej. I dlatego stale musi ona sprzeciwiać się integracji społecznej w kierunku dla siebie niedogodnym. Inaczej — nigdy nie może wyrzec się programu „atomizacji” społeczeństwa. Wykonywanie jednak tego programu zależy od różnych okoliczności historycznych.

Od samego momentu objęcia władzy tempo i rozmiary akcji „atomizacyjnej” zależą i od siły grupy, która zdobyła władzę, i od siły grup, które trzeba ujarzmić lub zniszczyć. W Rosji grupa, która w roku 1917 opanowała aparat rządzenia, była bardzo nieliczna. Była jednak bardzo zwarta i sprężysta. Natomiast grupy i instytucje, które miała przeciwko sobie, były bardzo słabe, choć liczebnie potężne, były zdemoralizowane, w stanie dezintegracji. Carat prowadził własną politykę „atomizacyjną” i nią przygotował grunt dla bolszewików. System państwowy był w stanie pełnego rozkładu, spowodowanego zarówno przez przedwojenną politykę caratu jak i przez przegraną wojnę. Kościół prawosławny, od czasów Piotra podporządkowany władzy państwowej, nie był zdolny odgrywać samodzielnej roli i nie był groźnym przeciwnikiem. Inne siły społeczne były skłócone, zdeorganizowane, w stanie rozkładu. Armie białe przegrały nie tyle z racji siły bolszewików, ile z winy własnego bezhołwia, korupcji, demoralizacji, bezideowości. W tych warunkach zwycięski bolszewizm mógł nie cofać się przed najbardziej drastycznymi środkami, by zniszczyć istniejącą i potencjalną nonkonformistyczną opozycję.

Sytuacja Hitlera była niezbyt różna. Miał on za sobą bardzo silną i oddaną sobie grupę, a siły nonkonformistyczne, choć obiektywnie potężniejsze od tych sił, które w roku 1917 i w następnych sprzeciwiały się bolszewikom, wykazały daleko posunięte niedołęstwo, brak charakteru, brak zrozumienia sytuacji. Z pomocą Hitlerowi przyszła żywiołowa dezintegracja społeczeństwa niemieckiego, która była produktem wielkiego kryzysu naszej cywilizacji industrialnej. W Niemczech tego okresu kryzys ten był szczególnie ostry i wszechstronny. W rezultacie Hitler mógł z powodzeniem wykonywać swój program niszczenia przeciwnika przez „atomizację” narodu niemieckiego.

W roku 1945 w Polsce sytuacja była zgoła odmienna. Grupa, która doszła do władzy, nie była ani silna ani nawet zwarta i sprężysta. Nie miała wybitniejszych przywódców i nie miała oparcia w masach społecznych. Sukces swój zawdzięczała ona interwencji obcej armii. Z drugiej strony miała ona przeciwko sobie społeczeństwo, które — choć znużone i zdemoralizowane latami niemieckiej okupacji — wykazywało jednak znaczną żywotność i miało swe ważne ośrodki polaryzacyjne. Kościół był nadal instytucją niezależną i potężną; partie polityczne, zaprawione w walce podziemnej, nie łatwo mogły być złamane; utrzy-

mały się takie instytucje, jak rodzina, gromada wsiowa, wszelkiego rodzaju zespoły społeczne i kulturalne. I dlatego to nawet w okresie stalinowskiego terroru w Polsce nie dochodziło do tak brutalnych wystąpień, jakie cechowały Rosję czy hitlerowskie Niemcy. Nowi władcy musieli działać ostrożnie. Oczywiście i ich celem była „atomizacja” społeczeństwa, ale w doborze środków musieli zachowywać przeczność. Październik najlepiej odsonił, ile zdolności regeneracyjnych społeczeństwo polskie umiało jeszcze zachować i jak potężne w nim były dążenia nonkonformistyczne.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że grupa rządząca w Związku Radzieckim osiągnęła najlepsze wyniki w wykonywaniu programu „atomizacji” społeczeństwa. Czy jednak może być ona pewna, że cel ten został całkowicie osiągnięty, że wszystkie elementy nonkonformizmu zostały usunięte z życia sowieckiego, że nie ma żadnych możliwości wytworzenia się nowych? Takiej pewności kierownictwo partii nie ma i mieć nie może.

To, co w czasie najazdu niemieckiego działo się w wielu miejscach Związku Radzieckiego, było niewątpliwie groźnym ostrzeżeniem dla ludzi na Kremlu. Na szczęście dla nich Hitler był ideologiem, który swe obłąkane idee traktował jak najbardziej poważnie i wprowadzał w życie. W każdym razie fakt istnienia w społeczeństwie sowieckim tendencji nonkonformistycznych zaprzeczyc się nie dał. Po wojnie Stalin przy pomocy swych starych metod próbował wytępić resztki tych tendencji. Ale po śmierci Stalina metody te nie mogły już być stosowane. Nowi władcy nie mieli tego autorytetu, co Stalin. Autorytet ten musieli sobie dopiero zdobywać. Ciągły terror w ich rękach dawał jeszcze mniej gwarancji niż za czasów Stalina, że zabezpieczy władzę przed wytwarzaniem się postaw niezadowolenia i utajonego nonkonformizmu. Naturalnie, idąc na złagodzenie kursu, Chruszczow bynajmniej nie dąży do integracji społeczeństwa w kierunku jego politycznej niezależności. Nastąpiła rewizja metod — cel jest ten sam.

Specjalną wymowę ma tu sprawa Pasternaka. Dopóki Pasternak ograniczał się do roli tłumacza, dopóty był postacią bez znaczenia. Nie był niebezpieczny, był tolerowany i nawet wyróżniany. Ale nawet gdy napisał swą powieść, nie stał się postacią groźną. „Doktor Żiwago” był ogłoszony poza Związkiem Radzieckim. W Sowietach był doskonale przemilczany, dla szerokiego ogółu nie istniał. Jeśli by nawet jakieś egzemplarze książki przedostały się do rąk czytelników radzieckich, to znaczenie tego byłoby nieduże. Nie sądzę zaś, by Chruszczow bardzo wzruszało, co opinia światowa myśli sobie o stosunkach sowieckich. Protesty i deklaracje, jakie na całym świecie są stale ogłaszane na tematy sowieckie, do mas radzieckich nie trafiają, a jeżeli przypadkowo trafiają, to wpływ ich na przeciętnego obywatela Związku Radzieckiego jest za-

pewne minimalny. Dla Chruszczowa i jego grupy nie jest ważne, co o Sowietach myśli Amerykanin czy Francuz, ale co myśli człowiek sowiecki.

Obdarzenie Pasternaka nagrodą Nobla i początkowe przyjęcie przez niego tej nagrody stworzyło nową sytuację. Wiadomość o takim wydarzeniu musiała trafić do obywatela Związku Radzieckiego i musiała na nim wyrzucić jakieś wrażenie. Zwłaszcza gdy chodzi o środowiska inteligenckie.

Pasternak jest pisarzem. Jest — o ile wiadomo — człowiekiem wypranym z ambicji politycznych czy w ogóle przywódzczych. Nie chce — znów o ile wiadomo — odgrywać większej roli w życiu zbiorowym. Jest człowiekiem bardzo skromnym, nawet — pokornym. Ale Pasternak nagle stał się symbolem. I symbol ten może stać się ośrodkiem polaryzacyjnym dla jakichś tendencji nonkonformistycznych, które istnieją lub mogą się wytworzyć w świecie inteligencji sowieckiej.

Jest to niebezpieczeństwo bardziej potencjalne niż aktualne. Ale system dyktatorski nie może sobie lekceważyć nawet niebezpieczeństw potencjalnych. Skoro raz ktoś głośno powiedział, że „król jest nagi”, to nie można mieć żadnej gwarancji, że słowa te nie będą miały echa.

Nie trzeba przeceniać znaczenia sprawy Pasternaka. Ani jako człowieka, ani nawet jako symbol nie stanie się on punktem wyjściowym dla rewolucji antysowieckiej. Konsekwencje polityczne sprawy Pasternaka nie mogą sięgać zbyt daleko. Dalej może sięgnąć konsekwencje moralne, ale i one nie wyjdą poza krąg inteligencji i studiującej młodzieży. I jeżeli Kreml aż tak ostro zareagował na sprawę Pasternaka, to dla innych — niemniej bardzo ważkich — racji.

We wszystkich epokach dziejów człowieka spotykamy jakieś „sprawy Pasternaka”. Każdy system dyktatorsko-despotyczny miał swoich Pasternaków, których tępił. Niekiedy tyle tylko w pamięci naszej zachowało się po jakimś władcy, ile trzeba było powiedzieć w biografii jakiegoś „Pasternaka”, który był ofiarą tyranii.

Kreml — jak każdy inny system tego rodzaju — nie może dopuścić, by w jakimkolwiek punkcie mogła się krystalizować jakaś tendencja nonkonformistyczna. System totalny musi być monolitem i system totalny nie może w żadnym punkcie wycofać się ze swej polityki atomizowania społeczeństwa. Pasternak jako Pasternak nie jest groźny, ale Pasternak jako symptom, ba, jako precedens — nie może być zlekceważony. Albowiem jest to znów rysa w budynku, który się tak pracowicie wznosi i ciągle reparauje. Trzeba więc było wszystko zrobić, by Pasternak przestał być symbolem czy precedensem i, przestając nim być, by nie mógł stać się bodźcem w kierunku jakiejś polaryzacji społecznej. Idea zmuszenia go do opuszczenia kraju była bardzo sprytnie pomyślana. Była by to najlepsza metoda rozbrojenia potencjalnego przeciwnika i łagodnego załatwienia rysy.

IV

Jeżeli można mówić o celowo i planowo przeprowadzanej „atomizacji” społeczeństwa, to tylko w odniesieniu do systemów dyktatorskich, despotycznych, mniej lub więcej totalnych. W naszych czasach polityka taka na olbrzymią skalę jest przeprowadzana przez faszyzm i komunizm. Niewątpliwie ideologicznie i strukturalnie oba te systemy są różne od siebie. Inne są ich struktury społeczne, odmienne są racjonalizacje. Komunizm — jako koncepcja filozoficzna — ma ten szeroki aspekt ogólnoludzki, który odziedziczył po socjalizmie, tym z kolei spadkobiercy wielkich tradycji chrześcijańsko-humanistycznych. Faszyzm — zwłaszcza w swej formie hitlerowskiej — był tego zaprzeczeniem. Ale na terenie praktyki życiowej, jako metody rządzenia, komunizm i faszyzm są do siebie bliźniaczo podobne. Wyrażenie „czerwony faszyzm” nie jest tylko zwrotem propagandowym, ale mieści w sobie i głębszą treść.

Jeżeli jednak każdy system totalny dąży do „atomizacji” społecznej, to równocześnie stara się przeprowadzić i jakąś integralizację społeczeństwa. Obie te akcje idą równocześnie, ale na dwóch różnych płaszczyznach. „Atomizacja” odnosi się do tych dziedzin życia, w których najswobodniej może się ujawnić nonkonformizm jednostek i grup; integralizacja ma na celu włączenie „atomów” ludzkich w ramy szerszej organizacji społecznej, konformistycznej i lojalnej wobec zespołu rządzącego.

Ta integralizacja odbywa się przez partię polityczną, przez związki zawodowe, przez grupy gospodarcze jak kołchozy i zespoły fabryczne, przez różnorodne stowarzyszenia, przez szkołę i rozrywkę. Jednostka jest tu włączana w różne zespoły organizacyjne, które łącznie mają prowadzić do powstania monolitu społecznego, jednorodnego w swych dążeniach i działaniach, kierowanego od góry, przyjmującego bez wahania przywództwo zespołu rządzącego i utożsamiającego się z nim.

Aby taka integralizacja mogła być osiągnięta, jednostka musi bez zastrzeżeń i wątpliwości przyjąć swe miejsce w obrębie konformistycznej całości i musi w tym znajdować swe szczęście osobiste, drogę wyżywiania się, musi być z całością zespolona psychicznie. Jeżeli nie może, nie umie czy nie chce tego uczynić, to ma przed sobą dwie możliwości. Jedną z nich jest znalezienie się na marginesie życia, kompletne osamotnienie i — w wypadku ujawnienia swego nonkonformizmu — zagłada fizyczna w więzieniu, obozie koncentracyjnym, czy przed plutonem egzekucyjnym. Druga możliwość — jednostka przyjmuje podwójną postawę: na zewnątrz postępuje tak, jak tego wymaga oportunizm życiowy, na wewnątrz zachowuje swe wątpliwości i konflikty, chowając je głęboko pod maską lojalności. Jest to ta sytuacja, którą tak przejmująco opisali Orwell i Miłosz, sytuacja podwójnego życia i myślenia, sytuacja, w której jednostka posługuje się „dretwą mową” i w sztuce posługują-

nia się nią dochodzi do doskonałości. Jednostka taka utrzymuje wszystkie pozory pełnego zespolenia się z całością, ale w rzeczywistości jest samotna, jest „atomem”, moralnie zdeprawowanym, psychicznie złamanym. Brak widoków na zmianę takiej sytuacji czyni ten „atom” ludzki tym bardziej tragicznie opuszczonym i osamotnionym.

Jest rzeczą wysoce prawdopodobną, że w systemach totalnych — zwłaszcza w tych, które istnieją dawno i które potrafiły rozwinąć ugruntowaną swe metody wychowawcze — ogromna ilość ludzi osiągnęła stan integracji społecznej, do jakiej dąży system. Choć jest znów rzeczą prawdopodobną, że jakaś część tych ludzi w jakimś stopniu, nie zawsze nawet zdając sobie z tego sprawę, żyje życiem podwójnym, równocześnie szczerze przyjmując obowiązujące reguły i zostawiając w swym życiu intymnym coś, co nie jest zgodne z obowiązującymi regułami. Nie zawsze i nie koniecznie musi to być odczuwane jako konflikt wewnętrzny, choć — sądząc np. z pewnych powieści sowieckich — nieraz bywa odczuwane jako taki konflikt i prowadzi do głębokich rozterek duchowych.

Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że istnieje znaczna ilość ludzi, którzy przyjęli postawę podwójną — żyjąc równocześnie w świecie zewnętrznym obowiązującego konformizmu i w świecie osobistym, indywidualnym — „emigracji wewnętrznej”. Tu konflikty wewnętrzne mogą być bardzo głębokie, wstrząsy moralne bardzo istotne. Od czasu do czasu powieść Pasternaka czy Dudincewa, opowiadania Hłaski czy głębokie analizy Miłosza wykazują całą moc tragedii wewnętrznych, jakie tu się kryją, i mówią o bolesnym osamotnieniu istot ludzkich, pozornie żyjących w świecie doskonałej integracji.

Taki stan rzeczy jest nieunikniony wtedy, gdy jednostka jest wiązana w zespół przymusowo, gdy jej możliwości życia zbiorowego są ograniczone do określonej kategorii schematów organizacyjnych. A do tego są to organizacje wybitnie zinstytucjonalizowane, potężne maszyny biurokratyczne, zdyscyplinowane, domagające się ślepego posłuchu. Dla jednostki twórczej, dla jednostki myślącej, zostawiają one bardzo mało pola dla prawdziwego wyżywiania się. Jednostka taka, jeżeli do nich wchodzi, musi ślepo przyjmować reguły obowiązującej gry. W praktyce przyjmuje je „na niby”, w postaci maski, w swych najintymniejszych przeżyciach udając się na emigrację wewnętrzną. Maski taka nieraz tak przyrasta do twarzy, że staje się częścią integralną człowieka. Ale nie zawsze ma to miejsce i konieczność stałego noszenia maski nie koniecznie prowadzi musi do nawyku.

W tym jest pięta achillesowa systemów totalnych i to sprawa, że nawet gdy starają się integrować społeczeństwo, nie mogą zejść z drogi atomizowania tego społeczeństwa. Im konformizm jest pełniejszy, im integralizacja organizacyjna dalej posunięta, tym „atomizacja” sięga głębiej, pociągając za sobą pełniejsze osamotnienie człowieka. Iluz to ludzi samotnych

i tragicznie obolałych musi być wśród członków partii komunistycznych! Na zewnątrz muszą oni wykazywać gregaryzm i optymizm, ale pod roześmianymi maskami mogą się kryć bardzo smutne twarze. I stale trzeba pilnować, by maska choćby na moment nie obsunęła się z twarzy. Dba zresztą o to i sam system.

Nie łatwo jest stale nosić maskę. Byłoby rzeczą wysoce interesującą, gdybyśmy się mogli coś więcej dowiedzieć o neurozach, jakim ulegają obywatele Związku Radzieckiego. Ale — jak wiadomo — freudyzm jest w tej części świata uważany za doktrynę burżuazyjną i psychoanaliza jest na indeksie. Taki stosunek do współczesnych teorii i metod psychologicznych zdaje się świadczyć o dużej przezorności politycznych kierowników Związku Radzieckiego.

Jest oczywiście, że nie każdy obowiązujący konformizm świadczy o dezintegracji społecznej. Społeczność wsiowa jest jak najbardziej daleka od atomizacji, a jednak jest wybitnie konformistyczna. W ogromnej ilości wypadków właśnie konformizm jest świadectwem zwartości i siły grupy. Konformizm ten jednak nie jest narzucony z góry, nie jest sztywnym wzorem, którego trzymać się musi każdy bez względu na to, jak patrzy na obowiązujące wartości i reguły postępowania. Konformizm jest tu czymś żywym, wynikającym z potrzeb i doświadczeń każdego — czy prawie każdego — uczestnika grupy i grupy jako całości.

Taki konformizm często bywa bardzo bezwzględny. Może brutalnie i nieubłagane obchodzić się z buntownikami. Ale jeżeli liczba buntowników rośnie — dowód niechybny głębokich przemian w całej grupie — konformizm zaczyna słabnąć, ustępować, zamieniać się w tolerancję. Walki młodych ze starymi, postępowców z konserwatystami, idealistów z oportunistami — wszystko to są zjawiska powszechne, świadczące o tym, że konformizm tego typu — jak każdy przejaw żywiołowego rozwoju społecznego — może ulegać daleko posuniętym przeobrażeniom.

I dlatego to społeczeństwa zdrowe, rozwijające się żywiołowo, społeczeństwa twórcze — nawet tak w swej całości konformistyczne jak Stany Zjednoczone — zostawiają miejsce dla prądów i dążeń nonkonformistycznych, dają im jakieś ujścia, pozwalają im się wypowiedzieć. Na tym między innymi polega sens demokracji. Daje ona rozległe pole dla wypowiedzania się postaw nonkonformistycznych, dla żywiołowego wytwarzania się nowych form organizacyjnych i treści ideologicznych. W ten sposób jednostka może znaleźć dla siebie jakieś miejsce w życiu zbiorowym, może związać się z innymi jednostkami, może — jeżeli czuje się osamotniona — jakoś wyzwolić się od ciężaru izolacji. Wolność nie jest złą przeciwwagą dla atomizacji społecznej.

Systemy totalne wykazują w tym bezsilę. Ich rewolucyjne początki były pod znakiem planowej „atomizacji” społeczeństwa. Atomizację tę starały się następnie zatrzymać i przetwo-

rzyć w integrację przy pomocy przymusowego i selektywnego organizowania. Ale właśnie przymusowość, właśnie kolosalne zwięźnienie rodzajów i ilości form organizacyjnych oraz związana z tym biurokratyzacja sprawiły, że rzeczywistej integracji nie udało się osiągnąć, że faktycznie proces „atomizacji” posunął się jeszcze dalej. Nonkonformizm nie mógł znaleźć dla siebie kanałów swobodnego ujścia, był niszczone czy tłoczony w sztywne i wąskie ramy oficjalnych zespołów i idei. Systemy totalne, aby rozwiązać to wielkie zagadnienie, aby naprawdę zatrzymać atomizację, musiałyby przestać być totalnymi, czyli musiałyby popełnić samobójstwo. I dlatego rozwiązania tam nie ma.

V

Nie byłoby słuszne twierdzić, że w Stanach Zjednoczonych nigdy nie było prób planowej „atomizacji” życia społecznego. W naszych czasach próby takie znalazły dla siebie wyraz w tym, co amerykański język potoczny nazywa „mccarthyizmem”. Ale „mccarthyizm” okazał się zjawiskiem przejściowym i znacznie mniej poważnym niż to się początkowo wydawało. Kiedy Senator McCarthy umierał, było rzeczą jasną, że politycznie i moralnie był człowiekiem przegrany, że rola jego była skończona. „Mccarthyizm” okazał się objawem przejściowej hysterii okresu powojennego i nie znalazł dla siebie gruntu w szerszych środowiskach narodowej społeczności Stanów Zjednoczonych.

Trudno jest też powiedzieć, by w Ameryce istniała jakaś grupa polityczna, która by chciała i — co ważniejsze — mogła wprowadzić w życie program rewolucyjnej „atomizacji” w stylu Hitlera czy Stalina. Do takiego programu nie przynajmniej nawet amerykańscy komuniści, grupa zresztą marginesowa i bez znaczenia. Konstytucja Stanów Zjednoczonych, konstytucje stanowe, cały system prawny wielkiego kraju — wszystko to jest jak najbardziej dalekie od tych zasad i praktyk, jakie charakteryzują systemy totalne — obojętne czy czarne, czy brunatne, czy czerwone.

Jeżeli więc w Stanach Zjednoczonych zachodzą procesy dezintegracji społecznej — a niewątpliwie one zachodzą — to nie jako wynik planowego działania określonych grup politycznych i nie jako wynik obowiązującego ustawodawstwa. Konformizm w społeczeństwie amerykańskim jest bardzo silny. Ale równocześnie obok niego istnieje tu tradycyjny nurt protestu i nonkonformizmu, i cała organizacja życia zbiorowego daje jakieś ujście dla tego nurtu.

Wynik wyborów roku 1958 był poza Ameryką interpretowany jako votum nieufności obywateli przede wszystkim dla polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych. Widziano w kłesce Republikanów dowód odrzucenia i potępienia przez obywateli polityki i osoby Sekretarza Stanu Dulles'a.

Nie twierdę, by niezadowolenie z działalności Dulles'a nie odegrało żadnej roli w decyzji wyborców amerykańskich. Była to jednak rola stosunkowo niewielka i zasięgiem swym objęła niezbyt liczne środowiska intelektualistów. A i wśród nich była ona fragmentem czegoś znacznie szerszego i wspólnego dla szerokich mas narodu amerykańskiego. W wyniku wyborów należy widzieć wyraz rozczarowania wyborców do działalności Prezydenta Eisenhowera i jego administracji. Momenty polityki ogólnonarodowej i wewnętrznej miały tu znacznie większe znaczenie, niż krytyka działalności Dulles'a.

Ścisłej należałoby powiedzieć, że decyzja wyborców była następstwem odczuwanego przez nich zawodu, że Eisenhower jako Prezydent Unii nie spełnił tego, czego od niego oczekiwano — że nie stał się przywódcą narodowego życia amerykańskiego.

Jednym z najważniejszych zadań Prezydenta Stanów Zjednoczonych jest objęcie przez niego roli kierowniczej w życiu amerykańskiej społeczności narodowej. Tego Amerykanin wymaga od swego Prezydenta i to bez względu na to, czy godzi się z partią, której Prezydent przewodzi, czy też nie. Harold Laski słusznie kiedyś podniósł, że wielkim wychowawczym zadaniem Prezydenta jest zwracanie uwagi ogółu na najważniejsze zagadnienia chwili i prowadzenie go po drodze do ich rozwiązania. Zdolność tego rodzaju była zawsze zasadniczym kryterium w ocenianiu wielkości prezydentów. W szczególnym stopniu miał ją Franklin Delano Roosevelt i dzięki niej przeszedł do historii jako jeden z największych prezydentów amerykańskich.

Zdolności takiej jest pozbawiony Dwight Eisenhower. Ten dzielny generał, miły i przyzwoity człowiek, nie ma tych właściwości, jakie w przekonaniu ogółu powinien posiadać Prezydent Unii. I to coraz bardziej staje się oczywiste. Ludzie, którzy z całą w niego wiarą oddawali mu głosy, którzy dotąd jeszcze zachowują ciepło uczuć wobec niego i chcą być wobec niego lojalni, ci ludzie są rozczarowani, gdy chodzi o kwalifikacje prezydenckalne ich bohatera. I dlatego to ludzie ci w roku 1958 masowo oddawali swe głosy na partię opozycyjną, na kandydatów, którzy się *nie utożsamiali* z osobą i polityką Eisenhowera. Były to głosy protestu.

Protest ten mógł w warunkach amerykańskich znaleźć dla siebie ujście i wyraz. I to, że mógł znaleźć dla siebie ujście i wyraz, świadczy, że naród amerykański nie uległ „atomizacji”, że w momencie zasadniczym umie zespolić się dobrowolnie w wypowiedaniu swej opinii. W Stanach Zjednoczonych opinia publiczna wciąż nie jest pustym słowem.

W wyborach poprzednich głosowałem przeciwko Eisenhowerowi i jego partii. Nie miałem bowiem wiary w to, by Eisenhower był zdolny do wykonywania tych zadań, jakie od Prezydenta są oczekiwane. W roku 1958 znów głosowałem na Demokratów, albowiem widziałem, że nieufność moja była uzasad-

niona, albowiem uważam Eisenhowera za bardzo złego Prezydenta.

Opinię tę wypowiadam głośno i otwarcie. Nie grożą mi z tego powodu żadne represje. Jako obywatel mam prawo do wypowiedzenia takiej opinii i cały system ustawodawczy Ameryki stoi na straży tego mego prawa. I w opinii tej nie jestem osamotniony. To samo głośno i otwarcie mówią miliony moich współobywateli. I wiedzą, że nikt i nic nie może ich pozbawić tego prawa.

W tym nikt z obywateli tego kraju nie czuje się atomem społecznym. I nikt z nich nie ma potrzeby nakładania na siebie maski, nikt z nich nie jest w stanie konfliktu wewnętrznego, że musi na zewnątrz mówić i robić coś zupełnie innego, niż to, co czuje w swym sercu. Każdy z nich wie, że nie jest osamotniony, że jest związany z milionami innych ludzi, którzy czują i robią to samo. Taki jest sens demokracji, demokracji, która jest żywa i żywotna.

Jest prawdą, że amerykańskie stronnictwa polityczne nie są narzędziami szeroko pojętej integracji społecznej. Ale też to nie jest ich celem. Amerykański system partyjny jest różny nie tylko od tych systemów, jakie wytworzyły się w ustrojach komunistycznych, ale i od tych, jakie są znane z doświadczeń historycznych demokracji zachodnich. Amerykańskie stronnictwo polityczne jest instrumentem technicznym, jest narzędziem organizowania wyborów, nie jest zespołem ideotwórczym czy w ogóle ideologicznym. I Amerykanin nie oczekuje tego od niego. Tak samo, jak nie oczekuje tego od związku zawodowego, który ceni bardzo wysoko jako narzędzie walki o wyższy poziom życia ekonomicznego.

Ale Amerykanin znajduje inne ujścia ideologiczne i inne formy wiązania się z ludźmi i przewycięzania swego osamotnienia. O Amerykaninie mówi się, że jest „a big joiner”, że zawsze lubi łączyć się z innymi. Każdy Amerykanin należy też do masy organizacji wszelkiego typu, w których stara się wyżywać w sposób na jaki go stać, w których znajduje ludzi sobie bliskich, w których nie czuje się samotnym.

Ilość zespołów ideologicznych, głoszących wszelkie — nawet najbardziej heretyckie i nonkonformistyczne — idee jest olbrzymia. Przy każdej sposobności, jak grzyby po deszczu, powstają tu komitety, stowarzyszenia, loże, zespoły — trudno jest wyliczyć ich nazwy i formy działania — które dążą do zespolenia ludzi dokoła jakiejś idei i jej realizacji. Najczęściej w parze idą tu — protest przeciwko czemuś, co w życiu zbiorowym ocenia się ujemnie, i program działania pozytywnego, reformowania, przebudowania czegoś w tym życiu. Znaczenie tych grup jest wciąż kolosalne. One to — w stopniu nieskończenie większym niż prasa i partie — są tym kanałem, jakim może się posługiwać opinia publiczna, one ją wytwarzają i nią kierują.

Zespoły te powstają spontanicznie i są dobrowolne. Jednostka ma tu olbrzymie możliwości wyboru i ma swobodę wy-

bierania. I w tym na straży stoi prawo, które chroni jednostkę i cały zespół przed wrogią postawą innych jednostek i grup.

Ta wroga postawa społeczna jest czymś nieskończenie dotkliwszym od przepisu prawa. Nie każda idea jest popularna i grupa nonkonformistyczna może natrafić na repulsję społeczną. Partia komunistyczna w Ameryce jest słaba i niepopularna nie dlatego, że złośliwa propaganda zrobiła z niej spisek. Złośliwa propaganda kiedyś i z Partii Demokratycznej robiła zło wrogię sprzysiężenie. Amerykańska Partia Komunistyczna jest dlatego niepopularna, że Amerykanin w jej ideach, w metodzie działania, w technice organizacyjnej widzi rzeczy, których przyjąć nie może. Robotnik amerykański nie jest komunistą dlatego, że w komunizmie widzi niebezpieczeństwo dla swych interesów *klasowych*. Jest to bowiem inny robotnik niż robotnik większości krajów świata, i cały jego rozwój historyczny szedł po innej drodze.

Niepopularnych spraw, idei i grup jest w Ameryce bardzo dużo. Na Południu bardzo źle są widziane białe zespoły ideologiczne, walczące o równouprawnienie Murzynów. A jednak zespoły takie istnieją, działają, nie rezygnują, ba — zyskują na sile i znaczeniu. Pod pewnym kątem oglądana, historia Ameryki może być widziana jako dzieje niepopularnych spraw, idei i ugrupowań. Niektóre z nich przegrywały, wiele innych — wygrywało. Istotne jest to, że ugrupowania takie zawsze mogły powstawać i wciąż powstają, że mogły wysuwać pewne zagadnienia i walczyć o ich rozwiązanie. Z pomocą szło im prawo — ostatecznie i Amerykańska Partia Komunistyczna ma w nim osłonę! — oraz cała atmosfera demokracji, która pozwala pogodzić konformizm z postulatami tolerancji i szacunku dla cudzych przekonań.

To też sprawia, że nawet w warunkach życia dzisiejszego dobrowolność zrzeszania się nie jest w Stanach Zjednoczonych pustym frazesem. Niewątpliwie są tu grupy, do których jednostka musi przystępować, zmuszona do tego przez konieczności życiowe, czy też przez nacisk opinii. Tam, gdzie obowiązuje „closed shop”, robotnik musi wstąpić do związku zawodowego, gdyż inaczej nie znajdzie pracy. W małej miejscowości obywatel musi być członkiem grupy wyznaniowej, łożu masonskiej, masy różnych stowarzyszeń, gdyż inaczej natrafi na surową dezaprobatę swych sąsiadów, będzie źle widziany i osamotniony. Ale nacisk ten nie idzie tak daleko, aby czynić z jednostki „atom”, by zmuszać ją do dwoistości myślenia i działania. Te przymusowe organizacje mają najczęściej charakter instrumentalny — jak związki zawodowe — czy towarzyski — jak łoża i stowarzyszenia klubowe. Nie wchłaniają one jednostki, nie krepują jej, nie podporządkowują sobie całej jej osobowości.

Jestem przekonany, że obywatel Stanów Zjednoczonych ma znacznie więcej, niż obywatel systemów totalnych, szans naleźienia dla siebie miejsca w zespole, który pozwala mu swobod-

nie wypowiedzieć się, daje mu możliwość wyźycia się, i który jednoczy go z innymi obywatelami. Łatwiej jest też tu uniknąć dwoistości postaw, obowiązku noszenia oficjalnej maski, niż w innych systemach, które w sposób nieunikniony zmuszają jednostkę nonkonformistyczną do emigracji wewnętrznej.

VI

A jednak nie można zaprzeczyć, że procesy dezintegracyjne zachodzą i w Stanach Zjednoczonych. To, że Amerykanin jest takim „big joiner”, może być uważane za zjawisko symptomatyczne. Amerykanin szuka nowych grup, bo gubi swój związek ze starymi.

Nawet w społecznościach najbardziej ustabilizowanych dają się zauważyć jakieś procesy dezintegracyjne. Była ich widownią i tradycyjna wieś chłopska minionych okresów, można je dostrzec i w tzw. cywilizacjach pierwotnych. Co jednak cechuje czasy dzisiejsze, to tempo, rozmiary i nasilenie tych procesów. Są one potężne i wszechstronne, są tak skomplikowane jak skomplikowane jest całe życie współczesnego człowieka. W społeczeństwie amerykańskim dają się one zauważyć na każdym kroku. Widzimy je w gwałtownym rozpadzie więzi rodzinnych, więzi wyznaniowych, więzi sąsiedzkich, w bezwzględnej instytucjonalizacji stosunków międzyludzkich, w oschłości jednostki wobec bliźniego. Można by bez końca wyliczać objawy „atomizacji” społecznej w życiu dzisiejszej Ameryki. Odbywa się ona żywiolowo, w następstwie zachodzących przemian gospodarczych i społecznych, w związku z postępami współczesnej technologii, niezależnie od panującego systemu politycznego.

Jest ona bez porównania potężniejsza w środowiskach wielkomijskich niż wiejskich i małomiasteczkowych. W świecie farmera amerykańskiego więź rodzinna — a bodaj jeszcze bardziej sąsiedzka — jest bardzo potężna. Sąsiad jest tu osobą bliską i ważną, z którą jednostkę łączą wielokrotne związki lojalności i współdziałania. Nie zawsze łatwo jest tu być uznanym za sąsiada. Samo fizyczne sąsiedztwo jeszcze nie wystarcza. Może ono nawet oznaczać, że ma się do czynienia z „intruzem”. Trzeba być „przyjętym”, trzeba być uznanym. Ale skoro się jest przyjętym, skoro zaczyna się „przynależać” (*to belong*), więź wykazuje siłę i trwałość. Opierając się na tych nielicznych i fragmentarycznych materiałach, jakich ostatnio zaczęli nam dostarczać socjologowie polscy, śmiem twierdzić, że więź rodzinno-sąsiedzka wśród farmerów amerykańskich nie jest słabsza — jest raczej silniejsza — niż w świecie dzisiejszej wsi polskiej.

Nie w każdej cywilizacji dzisiejsze „to belong” — „przynależać” ma takie znaczenie jak w Ameryce, przede wszystkim

— w Ameryce farmerskiej. Przy całej swej ruchliwości przestrzennej Amerykanin stara się wszędzie, gdzie osiada, szybko zapuścić korzenie i naogół mu się to udaje. Niewątpliwie uniformizm — zresztą dość zewnętrzny — cywilizacji amerykańskiej idzie mu z pomocą. Warunki życia są wszędzie mniej więcej takie same. Wszędzie się mniej więcej jednakowo mieszka, jednakowo ubiera, odżywia, pracuje. Wszędzie jest ten sam aparat dystrybucji dóbr gospodarczych, uosobiony w „łańcuchowym” systemie sprzedaży. Wszędzie też wytworzyły się te same lub bardzo podobne instytucje życia zbiorowego. To niezmiernie ułatwia zapuszczanie korzeni. I to sprawia, że ruchliwość przestrzenna Amerykanina niekoniecznie prowadzi do jego „atomizacji”. Automobil zmniejszył przestrzeń, rozszerzył sąsiedztwo. Człowiek w samochodzie wcale nie musi być nomadem. Tak samo jak nie jest nomadem chłop polski, który w obrębie tej samej wsi czy paru wsi okolicznych odwiedza swych sąsiadów. Ma nogi zamiast auta. Dla Amerykanina auto stało się nogami. To zaś, że zmianie uległo pojęcie tego co bliskie i co dalekie, nie koniecznie musi mieć wpływ na charakter stosunków społecznych. I niekoniecznie musi to być wpływ destrukcyjny.

Inaczej wygląda sytuacja w wielkich ośrodkach przemysłowo-miejskich. Tu bez kwestii zachodzą wielkie procesy dezintegracyjne, tu można mówić o „atomizacji”. Socjopsychiczne następstwa jej dają się zauważyć na każdym kroku. Upadek życia rodzinnego, przestępczość małoletnich, zubożenie, bezideowość i ciasny egoizm — są to objawy, które muszą narzucić się każdemu. Objawy te dzięki łatwości komunikowania się z wielkimi miastami zaczynają też przenikać i do środowisk farmerskich oraz małomiasteczkowych.

Jest rzeczą wysoce prawdopodobną — jeżeli nie pewną — że specyficzne warunki historyczne, wśród których kształtowała się amerykańska cywilizacja wielkomijska, szczególnie sprzyjały masowej dezintegracji społecznej. Wystarczy tu tylko wskazać na rolę masowej emigracji ludności wiejskiej z Europy do miast amerykańskich. Na naszych oczach zachodzą takie zjawiska wśród tysięcy przybyszów z Puerto-Rico, wśród czarnych migrantów z Południa i wśród Meksykańczyków. Rozpad tradycyjnych więzi społecznych następuje tu w błyskawicznym tempie. Następstwem jego jest wzrost przestępczości, zagubienie się jednostek, neurozy. Powstawanie nowych więzi idzie powoli, a nowe więzi nie mają tej mocy i świeżości, jakie cechowały dawne.

Ale kryzys cywilizacji amerykańskiej jest tylko częścią wielkiego kryzysu, jaki na całym świecie przeżywa dzisiejsza cywilizacja przemysłowo-wielkomijska. Kryzys ten występuje zarówno w krajach „kapitalistycznych” jak i „socjalistycznych”. I jeżeli formy kapitalistyczne są odpowiedzialne za ostrość pewnych aspektów tego kryzysu, to nie mniejszą odpowiedzialność ponoszą formy socjalistyczne za inne jego aspekty. W zasad-

niczych jednak rzeczach proces wszędzie przebiega w analogicznym sposób.

Przestępczość małoletnich jest w Ameryce wielkim zagadnieniem i jest szczegółowo badana. Jest ona tak samo wielkim zagadnieniem w krajach „socjalistycznych”, tylko że jest znacznie mniej szczegółowo badana. Ale i tam się mówi o tzw. chuliganizmie małoletnich. A co my tu o tym chuliganizmie słyszymy, nie wydaje się zbyt zasadniczo różnym od dobrze nam znanych form tutejszego chuliganizmu.

Niewątpliwie są pewne różnice zewnętrzne. Tak typowa dla Stanów Zjednoczonych postać przestępczości małoletnich — kradzież samochodów nie jest znana we Wschodniej Europie. Nie ma tam samochodów, które można by kraść. Jest to jednak tylko różnica w formie przestępczości, treści są bardzo zbliżone. To, co np. wiem o przestępczości małoletnich w Polsce, nasuwa mi przypuszczenie, że — podobnie jak w Ameryce — bardzo ważnym motywem jest uczucie nudy, brak nowych bodźców działania i środków wyżywiania się. W Ameryce płynie to głównie z przesytu, z łatwości, z jaką można zaspokoić wszelkie zachcianki i pragnienia. W Polsce — z niedosytu, ze świadomości, że zachcianki i pragnienia nie mogą być zaspokojone, że wybór środków jest tu bardzo ograniczony. W obu krajach są podobne potrzeby, podobne pragnienia, które obce były poprzednim pokoleniom. W Ameryce zaspokajanie ich jest tak łatwe, że życie staje się jałowe, niewymagające wysiłku, pozbawione uroku dążenia do nieosiągalnego. I dlatego to szuka się dróg odbiegających od obowiązujących reguł. W Polsce zaspokojenie jest tak trudne, że rodzi się cynizm, krańcowy sceptycyzm, niewiara w możliwość dojścia do czegoś po uznanych drogach. I tu życie staje się jałowe, nudne, pozbawione uroku oczekiwania i zdobywania. W praktyce następstwa są analogiczne.

Przykładów takich można by przytoczyć bardzo wiele. Nie mówią one ani o wyższości systemu „kapitalistycznego” nad „socjalistycznym”, ani o wyższości „socjalistycznego” nad „kapitalistycznym”. Mówią jedynie o kryzysie, jaki istnieje w obu systemach jako elementach współczesnej cywilizacji industrialnej.

Przypuszczam jednak, że systemy totalne są gorzej niż demokratyczne przygotowane do przetrwania tego kryzysu. Albowiem — niezależnie od kryzysu ogólnego cywilizacji przemysłowo-wielkomijskiej — dodają od siebie swój polityczny wkład planowej dezintegracji społecznej. Celowe przetasowywanie człowieka, idące w parze z jego żywiołowym przetasowywaniem się, pogłębia tragizm tego człowieka, „atomizuje” go w stopniu, w jakim sam tylko kryzys ogólny, rozwijający się w ramach swobody politycznej, „zatomizować” go nie potrafi. A brak wolności, ograniczenia w swobodzie wytworzenia nowych więzi społecznych, nie ulegających reglamentacji odgórnej sił biurokratycznych, stają się wielką przeszkodą na drodze

prawdziwej integracji życia zbiorowego. Można stwarzać fikcję monolitu i szczęścia, fikcję radości i swobodnej twórczości, ale zawsze będzie to tylko fikcja.

VII

Takie oto uwagi nasunęły mi się na marginesie wywiadu, jakiego Profesor Józef Chałasiński udzielił redaktorowi warszawskiego tygodnika. Wywiad ten poruszył bardzo szerokie sprawy, choć jasno nie postawił — i ze względu na swą formę postawić nie mógł — żadnego zagadnienia.

Jednakże w jego zakończeniu Profesor Chałasiński wysunął interesującą hipotezę odnośnie wyjścia z kryzysu w Stanach Zjednoczonych. O ile można go zrozumieć, sądzi on, że rozwiązanie przyniesie tu dojście do głosu elity intelektualnej, która porwie społeczeństwo nowymi ideami i tą drogą potrafi je scementować. Zaprowadzi to Amerykę do socjalizmu, który zostanie osiągnięty pokojowo, ewolucyjnie.

Refleksje nad tymi uwagami musiałyby nas zaprowadzić do nowych i bardzo istotnych zagadnień: do sprawy elity intelektualnej w ogóle i w Ameryce w szczególności; do sprawy integracji społeczeństwa przez idee; do zagadnienia rozwoju Ameryki w kierunku socjalistycznym.

Nad tymi sprawami tu rozwodzić się nie możemy. Krótko tylko zaznaczę, że bardzo sceptycznie oceniam znaczenie funkcji przywódczych intelektualistów w Ameryce i poza Ameryką. Mam przy tym na myśli przywództwo moralne, a nie polityczne. Bo jeżeli chodzi o polityczne, to na temat platońskiego ideału rządów przez filozofów mówiło się już bardzo dużo, a to co zostało powiedziane, nie wykazało, by sprawa była bardzo prosta i jasna. I ja sądzę, że Ameryka idzie po drodze, którą można by nazwać socjalistyczną, tylko że ten socjalizm całkowicie różni się od tego, co pod tą nazwą rozumie się w krajach „socjalistycznych” tego świata. Przypuszczam, że i w tym różnice między mną a Profesorem Chałasińskim były by znaczne.

Ale jest jeden moment końcowej części wywiadu, nad którym chciałbym się jeszcze przez chwilę zatrzymać. Czy społeczeństwo amerykańskie jest rzeczywiście politycznie tak „zatomizowane”, że nie łączy go żadne wspólne idee, żadne ogólne ideały? Twierdzenie takie wydaje mi się arcyryzykowne.

Przyjmujemy, że społeczeństwo to nie nosi maski monolitu ideowego, takiej maski, jaką na swych obywateli nakładają systemy totalne. Są w tym społeczeństwie różne prądy i tendencje, jest walka ideologiczna, ścierają się różne koncepcje. Bez wątpienia duża część Amerykanów wykazuje obojętność wobec tych prądów i tendencji, tak jak ją wykazuje wobec własnych prądów i tendencji duża ilość obywateli innych krajów. Nie odrzu-

cam też z góry przypuszczenia, że ilość takich obojętnych obywateli jest w Ameryce szczególnie duża. Czy jest ona większa niż w niejednym kraju, w którym obywatel musi nosić maskę oficjalnego entuzjazmu ideologicznego — tego nie wiem!

Zdaje mi się jednak rzeczą pewną, że liczba takich obywateli nie jest wielkością stałą. Zmniejsza się ona w pewnych okresach, rośnie — w innych. W Stanach Zjednoczonych zmniejszyła się ona w latach wojny, gdy Roosevelt umiał zagrzać swój naród do działania. Zwiększyła się ona w latach administracji Eisenhowera, kiedy Prezydent zawiódł jako wychowawca swego narodu.

Przyszły jednak wybory roku 1958, które wykazały, że Amerykanin szuka jakichś wyraźnych wskazań, jakiegoś jasnego stawiania zagadnień, że jest niezadowolony z pustki, jaką mu daje Waszyngton. Były to wybory protestu przeciwko nicości politycznej i ideowej rządów Eisenhowera. I tym samym Amerykanin dowiódł, że nie jest „atomem” i że być nim nie chce. Umiał wykazać swą wolę, umiał skupić się przy jakiejś idei narodowej, choćby mającej postać protestu.

I nie po raz pierwszy to zrobił. Bez względu na różnice, jakie go dzielą, naród amerykański ma wyraźne wspólne ideały i dążenia, które czynią z niego społeczność narodową, zespoloną i zdolną do działania. W pierwszym rzędzie jest tu wiara w Amerykę, duma z jej rozwoju, przekonanie o wielkości jej losów. A zwłaszcza gdy Ameryka jest zagrożona, Amerykanin potrafi wykazać jedność swych uczuć i wysiłków. Wykazał to w latach Wielkiego Kryzysu i w latach wielkiej wojny. W takich też chwilach umie znaleźć sobie przywódców na miarę Washingtona, Jeffersona, Lincolna, Wilsona i Franklina Delano Roosevelta.

Ameryka jest dla cudzoziemca krajem niezmiernie trudnym do poznania. I to nie dlatego, by społeczeństwo amerykańskie było ekskluzywne, zamykające się przed cudzoziemcami. Tak jest np. z Anglikami czy Francuzami. Ale w żadnym wypadku nie z Amerykanami! Są to przecie ekstroverci, ludzie, którzy z radością przyjmują każdego, otwierają przed nim serca i domy, z całą otwartością mówią z nim o najgorszych stronach swego życia.

To jest źródłem złudzenia, że Ameryka jest tak łatwa do rozgryzienia. W rzeczywistości jest wyjątkowo trudna. Albowiem jest tak bardzo odmienna od innych narodów świata.

Jest prawdą, że najgłębszymi znawcami Ameryki byli nie Amerykanie, by wymienić tu takie nazwiska, jak Alexis de Tocqueville, Bryce i Myrdal. Olbrzymia jednak ilość tego, co cudzoziemcy napisali o Ameryce, była wielkim nieporozumieniem. Zwłaszcza gdy pobyt ich w Ameryce był krótki i ograniczał się do przelotnych kontaktów. A iluż to rzeczy nie zrozumiał taki André Siegfried, choć badaniu Ameryki na miejscu poświęcił nie jeden rok swego życia! Jakże łatwo jest, mówiąc o Ameryce,

wpaść w banał, zadowolić się tanią generalizacją, przeocząc całą swoistość, złożoność, różnorodność życia tego kolosalnego kraju!

Staram się patrzeć na kraj, w którym od tylu lat żyję, z całym obiektywizmem człowieka, który jest na uboczu. Wiem, że — razem z innymi narodami świata — przeżywa on głęboki kryzys społeczny i psychiczny. O kryzysie tym możemy tu mówić otwarcie i śmiało. I szukać uczciwych dróg wyjścia z niego. I coraz lepiej rozumiemy, że może to nastąpić w postaci wielkiego wysiłku międzynarodowego. Albowiem kryzys nasz nie ogranicza się tylko do jednego kraju, czy do jednego systemu gospodarczego i politycznego. Gdzieindziej jest on nawet jeszcze wszechstronniejszy i tragiczniejszy. Potrzebne jest więc współdziałanie międzynarodowe. Aby jednak do niego doszło, niezbędne jest, by nastąpiło powszechne i uczciwe przyznanie, że od kryzysu nie jest wolny żaden kraj współczesnej cywilizacji. Dopóki w wielu krajach obowiązuje zakłamanie ideologiczne, dopóty szanse takiego porozumienia i uzgodnionego działania są zaiste bardzo nikłe.

Aleksander HERTZ

AMERYKA-ECHO

Niezależne Pismo Tygodniowe
Pod Nowym Zarządem i Kierownictwem

Daje poważne i wnikliwe artykuły o Polsce i o pracy dla Polski zagranicą. Dział dla Kobiety, Pogadanki z Czytelnikami, Kącik dla Wszystkich, informacje naukowe, powieści, poezje, humor. Czternaście stron doskonałej lektury. Roczna prenumerata w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie \$7.00, w Europie \$7.50, w Ameryce Południowej \$6.50, w Australii \$7.50.

Wysyłamy bezpłatnie egzemplarze okazowe.

Największa Księgarnia polska w Stanach Zjednoczonych
— Na składzie ponad 270 tysięcy tomów książek.

P-siadamy także przedstawicielstwo książek „Kultury”.

Po informacje pisać:
AMERYKA-ECHO, INC.

1154 Nebraska Avenue
Toledo 7, Ohio
U. S. A.

Fragmenty z dziennika

Santiago

Piątek

(„Witold Gombrowicz, przyjechawszy do Santiago, uległ fali spóźnionego erotyzmu, tego samego może co przed laty... ale teraz wzmoczonego wyziewami miasta o krwi indyjskiej, łatwej urodzie i gorącym słońcu. I fala ta, tym skandaliczniejsza, im bardziej spóźniona, porwała go znowu w odmęty śmieszności i wstydu! Lecz mistrzostwo jego w tego rodzaju sytuacjach (które stały się jego specjalnością — bo przecież artysta musi zawsze działać na samym pograniczu wstydu i śmieszności) jeszcze raz zajaśniało... gdy, mianowicie, zamiast oddać się biernie szalowi jak pierwszy lepszy pijak, wziął go w ręce i zabrał się do kształtowania go — i pijaństwo w dramat przetworzył. To zaś stało się za pomocą oświadczenia, że on, Gombrowicz, on, doktor Faust, przybył do Santiago celem dokonania wielkiego odkrycia że postanowił znaleźć na koniec sposób żeby wiek podeszły mógł nawiązać z młodością, żeby pokolenie na ukończeniu mogło u schyłku zaczerpnąć z młodzieży treści zaczynających się, doznać jeszcze raz początku... i kto wie, przyjaciele, czy nie jest w mocy naszej znaleźć ten klucz tajemniczy, który by pozwolił konaniu naszemu zaznać na odchodnym smaku nowego życia, zespolić się z narodzinami! Pomyślcież — przecie na pierwszy rzut oka widać, że jeśli istnieje możliwość zbawienia, to tylko w tym może się zawierać!”

„Oświadczenie — chyba — nieco kłamliwe... bo, między nami mówiąc, ani on w tym celu przyjechał do Santiago, ani ta fanfaronada faustowska mogła przez pięć minut wydać się czymś realnym jego śmiertelnie ogołoconej ze złudzeń trzeźwości. A jednak bez wahania wznosił do góry to kłamstwo i rozwinął je nad sobą jak sztandar — opierając się na następującej kalkulacji: że, przede wszystkim, kłamstwo to przestaje być kłamstwem wskutek naiwnej i rozbrającej oczywistości swojej; że, powtóre,

choć kłamiwe, zawiera w sobie jednak coś tak prawdziwego i zgodnego z naturą, iż trudniej będzie oprzeć się tej mistyfikacji niż wielu niewątpliwym prawdom. Dlatego z krzykiem „Na młodość! Do młodości! Dobrać się do niej, zasnać, zniszczyć tę zapórę wieku!” jeszcze raz rzucił się do szalonego i starzejącego się ataku!”).

Sobota

...Ale może ja przesadzam! Ja przesadziłem dopatrując się tutaj w Santiago zgróź, perwersji, których nie ma... Wyolbrzymałem coś przypadkowo zasłyszanego, ujrzanego... moja fantazja zatruta, zakaziła to schłudne miasto.

Waham się do tej chwili — po dwóch tygodniach pobytu nie jestem w stanie z całą pewnością powiedzieć jakie jest Santiago: czyste, czy zepsute... zwyczajne, czy niesamowite...

Niedziela

Tandil! Ach — Tandil! Ta obsesja! Santiago jest jak Tandil — ten sam plac czworokątny w środku, podobne ulice — i ta sama cukiernia, ten sam kościół, ten sam bank, tyle tylko że inaczej poumieszczane. Gdzie w Tandilu był Banco de la Provincia, tutaj Hotel Palace. Idę prawie nie patrząc do banku i rozbijam się nosem o hotel — jakbym był w Tandilu, który nie jest Tandilem, a czymś zjadliwie pogmatwanym, pułapką...

O, Tandilu, z twoim chłodnym, oceanicznym wiatrem, z twoimi kamiennymi amfiteatrami!... i tam ja znalazłem w końcu kilku uczniów nie przykutych do zwyczajności i dających się porwać w moje rejony... z których mogłem wydobyć błysk... i głos...

(„Tandil dla autora „Pornografii” staje się obsesją — i ucieczką przed natarczywymi i kuszącymi grozami nazbyt cielesnego Santiago”).

Moi nieletni przyjaciele z Tandilu! Wczoraj nadszedł list od Dipi i trudno wyrazić, jak nim oddycham... w Santiago!... Zamieszczam go żeby dać wam pewną tonację mego obcowania z nimi — jedną z tonacji... i to co pisze, że Gize (inaczej „Quilombo”) „te adora” (uwielbia) jest dla mnie cenne. Ten Dipi (alias „Asno”) ma lat 16 — autor niewydanej powieści, oraz sztuki (którą wystawia teatr w La Plata), tudzież kilku opowiadań.

„Trupie!

Byłem w La Plata, rozmawiałem z reżyserem mojej sztuki. Nic ci o niej nie mówiłem — to farsa, jak twierdzą, dobrze zbudowana pod względem teatralnym. Jako literatura wg. mnie jest

za prosta, za łatwa. Jako teatr jest może przyjemna, ale obecnie wyczuwam, że jest wątpliwa... pochlebia mi jej wystawienie, ale nie cieszę się nią. Poznałem się tu z jedną Młodziakową, która zakochała mnie w sobie. Myślę ją zgwałcić za następnym przyjazdem do La Platy, ale chyba ona mnie zgwałci — dość mięsista, choć nie słoniowata, z uwłosieniem jasno-kasztanowatym, z wargami tłusto różowymi i zmysłowa że aż mnie zbiega dreszcz. Ale nie chcę cię podniecać, stary draniu.

Twój list epileptyczno-eliptyczny skrzył nam wszystkim szyje w korkociąg. Quilombo poprzysiął zemstę.

Gize produkuje, opętany Ferdurdurką. Jeśli mu to wyskoczy genialnie, tym lepiej! Ale obawiam się, żebyś go nie przekabacił w Gombrowicza. Wiesz, że Quilombo jest gorączkowo namiętny i że cię uwielbia. Oddał się bez reszty twemu — ha, ha! — „geniuszowi”. Nie przerażaj się tym cudzysłowem, przyznaję ci geniusz; ale znasz mój cynizm, moją właściwość wątplenia, negowania, wyśmiewania... Z ciebie także się naśmiewam (wyobrażając sobie twoje ze mnie chichy) — ale to tak jakimś naśmiewałem się z siebie. Czy pamiętasz, jakieśmy się niespodziewanie zrozumieli w tym na moment, gdy nawiedziła cię chwila słabości, wtedy gdy szedłeś zbolany z powodu aresztowania Gize. Teraz nie kręć i nie wycofuj się z tego! Co do Gize, to rusza się po polsku, myśli po polsku, prawie mówi po polsku. On jest rzeczywiście bardzo „artystyczny” — może nawet bardziej niż twierdzisz. Chce podzielić czas tutaj na epokę „przedwitoldową” i „powitoldową”, no, to przesada, choć przyznaję, że wiele skorzystałem z tej epoki witoldowej. Twoja krytyka trzeźwa, żywiołowa, gwałtowna i nieco kłamiwa (nie denerwuj się!) sporo mnie nauczyła.

Napisz, chcę wiedzieć co z tobą, jestem brutalnie ciekawy. Ale też staję się bardziej rozsądny — w mym dzieciństwie, z którego wolę nie abdykować jeszcze — dlatego chcę wiedzieć, co się wyrabia z twoim zdychającym życiem. Tak, z rozsądku pytam, choć ci się to wyda dziwne... ale chodzi o to, że rozsądek poddaje mnie konwenansowi i zniewala do zapytania, co u ciebie... bo tak naprawdę, sam rozumiesz, to zbytnio mnie nie interesuje, bo szanuję cię, ale nie uwielbiam, daleki jestem od uwielbienia à la Gize. Widzę, że ten ustęp zawile wypadł, to ze zmęczenia. Czy wciąż kocha cię tyle kobiet? Mógłbyś odstąpić mi którą, cierpię na brak kobiet pomimo Fuchi, Puchi i Tuchi.

Smutne to, że WIELKI PISARZ pisze „holla” zamiast „olla”. To wstyd, hańba i powinieneś po tym ZAMKNAĆ BUZIE — leżeliśmy ze śmiechu, my i dziesiątki osób, które ten list czytały. Czau! Twój

Osioł”.

Osioł ten nazywa się Jorge Di Paola. Osłem ja go ochrzciłem w przystępie sarkazmu i odtąd stał się „asno” dla swoich przyjaciół, szczerze tym uradowanych.

Nie wiem, czy dobrze zrobiłem zamieszczając ten list...

(„Dlaczego go zamieścił? Czyż tylko aby się pochwalić, że miał powodzenie w Tandilu? Ależ istnieje tu bardziej wyrafinowana intencja wywyższenia się, wyodrębnienia, którą tak daloby się sformułować: — A kuku! Widzicie teraz, wy, starsi, o ile bardziej poufale są moje stosunki z młodzieżą, niż z wami! I o ile taki list, w którym przecież nic nadzwyczajnego nie ma, ważniejszy dla mnie od waszych najbardziej wyszukanych epistol...”).

„Znów więc Gombrowicz ukazuje się nam jako ten, kto za nic nie chce zająć swego miejsca w społeczeństwie, a zawsze spiskuje z innymi żywiołami, środowiskami i fazami rozwoju”).

Środa

Ten list wiele razy czytałem. I wątpię, czy zostanie zrozumiane, że wraz z kilkoma innymi z Tandilu, stał się dla mnie ucieczką i ochroną przed Santiago. „Wiesz, że Quilombo cię uwielbia”. Te słowa brzmiały mi jak preludium nadziei, to było ukazanie się młodości w innej roli, mniej okrutnej... i nawet przyjaznej... A więc — mówiłem sobie — „uwielbienie” nie jest niemożliwe między mną a nim?

Quilombo, alias Giże, zwany także Colimba (oznacza to w gwarze ludowej tyleż służbę wojskową, co rekruta) czyli Mariano Betelu. Zbliżenie pomiędzy mną, a tym Colimbą, było wynikiem okoliczności nikłych, a jednak głęboko i przejmująco artystycznych. Naprzód — osłabienie. Kiedy go poznałem w Tandilu, w café Rex, byłem nieco osłabiony wykluwającą się anginą i wrażliwość moja była drżąca, boleśnie napięta. Powtóre — jęk. Rzecz w tym, że jękał się... nie wiedziałem z początku, co czyni go sympatycznym, dopiero na drugi dzień zrozumiałem, że wskutek jękania musi zdobywać się na specjalną staranność w mówieniu, i to — w połączeniu z twarzą hiszpańską, żywą jak film o tysiącu przygód — darzyło go szczególną towarzyskością.

Wybuch anginy z gorączką, sięgającą 40 stopni, wpakował mnie do łóżka. Mieszkałem sam w małym domku, w pobliżu Calvario, za miastem, i nie pamiętam bardziej rozpaczliwych dni jak te, które towarzyszyły mej rekonwalescencji. Nie było ratunku. Wiedziałem, że ratunku nie ma. Były to dni deszczowe i wietrzne, z okna widać było szczyt górski rozszarpany chmurami, czy też chmury rozszarpane szczytem. A jeden dzień był szczególnie straszny — nastał po całonocnej ulewie, niepodobny prawie do dnia, przemieniony w wodę, zimno, mgłę, wiatry i białą, wilgotną ciemność — ciągle widziałem przez okno jedno drzewo, które ociekało, zasnute, zamazane, niewyraźne, a wciąż tak samo ociekające i nudne... Tego dnia nerasteniczna rozpacz moja osiągnęła takie natężenie, że gdybym miał pod ręką

jakiś sposób na śmierć gładką, kto wie czy bym siebie nie zlikwidował. Wiedziałem, że choroba jest poza mną — ale wiedziałem, że zdrowie moje jest okropniejsze od choroby — doszedłem do stanu, w którym zdrowie jest niemniej wstrętne, wstrętniejsze nawet, bo potwierdza istnienie już zakażone śmiercią i skazane.

W tym walenie pięścią we drzwi — i włądzi do kuchni Colimba — ociekający! Przedostał się przez wody lejące z nieba i te, gorsze jeszcze, szorujące ulicami, przebrnął przez błota chlupiące i oblepiające, dotarł w końcu tutaj, pod wiatr, deszcz i ziąb — towarzyszy! Witoldo, che, como estas? — Twarz jego bogata w przygody, jak film, przerzucająca się akrobaticznie z dramatu w dowcip, z jęku w radość, z poezji w grandę, z rozrzwienia w złość, wypełniła od razu całe wnętrze i nigdy chyba nie doznałem silniejszego wrażenia, że *potencjał cudzej radości nie jest niedostępny, że można przedostać się do cudzej radości, jeżeli jest młoda!* Ze młodość jest czymś dającym się osiągnąć (ach, nie róbicie na ten temat głupich dowcipów!) Jak gdyby jakaś Mechanika Falowa uzupełniła i rozszerzyła moje samopoczucie, poczułem się nie tylko konkretnym indywiduum, skazanym na zagładę, ale falą... prądem, rozpiętym między wschodzącym i schodzącym pokoleniem. Czasem nawiedza moją beznadziejność iskra przeświadczenia, zupełnie namacalnej pewności, że *zbowienie nie jest niemożliwe*. To właśnie poczułem, gdy Giże przygotowywał jedzenie i otwierał przyniesioną butelkę.

Choć ani słowem o tym nie wspomniał... i ja także... wiedziałem, że przybycie jego wynikało z gorącego przejęcia się mną, a nawet z zachwyty... Z oczarowania! Z urzeczenia! Co więcej, wiedziałem, że swoją skąpą ilość czasu wolnego mnie poświęcając, odbiera ją dziewczynie, która wcale jeszcze mu się nie znużyła... Jakież śmieszne tedy: ja, pan w pewnym wieku, byłem dla tego młodego silniejszym magnesem od pięknej dziewczyny, i czar mój przeważał miłość! Cóż takiego we mnie mogło się równać powabom dziewczęcym?

Obrzydliwy i szyderczy komizm tego zestawienia był przyczyną, że ja wolałem myśleć o tym tylko kąciakiem mózgu — ale i to wystarczyło abym zdał sobie sprawę, iż obrzydliwość ta jest właśnie źródłem najgłębszej mojej radości. Albowiem, gdy starszy patrzy na młodszego, na ogół trudno mu pojąć, że tamten może mieć własny smak i własne potrzeby — zupełnie niezależne od tego co w nim, dla starszego, jest najważniejsze i najbardziej charakterystyczne. Wydaje się, że na przykład, tej osobie w starszym wieku, że młodemu tylko młody, ładnemu tylko ładna może odpowiadać... aż tu nagle okazuje się, że młodości podobna się właśnie starość... albo jakiś specjalny gatunek brzydoty... że, słowem, upodobala sobie coś zupełnie nieprzewidzianego i nawet niezgodnego ze swoją istotą (taką, jak ją starszy widzi). Otóż to w pierwszej chwili razi nas i obraża, jakby to zdrada była i, co więcej, skażenie jakiegoś i spaczenie ideału — ale niezadługo ogarnia nas dzika radość i zaczynamy rozumieć, że w takim razie nie wszystko stracone! Tak więc, jednocześnie od-

pychamy to ze wstrętem i przyjmujemy z radością jako cud i łaskę.

Ażeby dobrze wymierzyć pewien obrzydliwie świński aspekt tej radości, należy uprzytomnić sobie, że byłem wobec Giże trochę jak stara kobieta, uradowana, że głód młodzika więcej może niż jego wstręt... bo, ostatecznie, w stosunku do mnie też grały w nim siły przyciągające i odpychające... A, z drugiej strony, żeby odważyć całą hojną wspaniałość takiego urzędzenia w naturze trzeba pojąć, że nikt nie decyduje o własnej atrakcyjności i że to wyłącznie jest sprawą cudzego podniebienia. Jeśli więc ja dla niego byłem atrakcyjny, no to byłem i kwita... byłem, bo posiadałem technikę, styl, poziom, horyzont, gatunek, o których on w swoich latach ani marzyć nie mógł, bo napisałem dzieła, które go olśniły, bo każdym akcentem, miną, żartem, gierką, wprowadzałem go w niezasłyszana dotychczas, ani oglądana, wyższość. Cóż z tego, że ja znałem moją nędzę? Jego czarowałem! Jeszcze jeden przykład z dziedziny fizycznej, aby uplastyczyć piekielną śliskość tego wywodu: wyobraźcie sobie, że jesteście obdarzeni jakimś defektem, np. macie ośle uszy. No do brze, lecz jeśli te uszy zachwyca królową i ona zakocha się w was z powodu uszu? Cóż wtedy? Jeśli odetniecie sobie uszy, które wam się nie podobają, przestaniecie podobać się komuś, kto wam się podoba — co wybrać? Czy nie jest ważniejsze żebyście podobali się temu, kto wam się podoba, niż sobie?

I jeśli naprawdę istniała w nim — dla mnie — jakaś możliwość zbawienia... czyż nie na tym polegała?

Zrozumiałem: jego fascynowała moja „egzystencja”, gdy mnie zachwycało w nim życie *in crudo*. Ja wielbiłem w nim świeżość i naturalność, on we mnie — to co z siebie zrobiłem, jakim stałem się na drodze rozwoju; i, im bliższy byłem śmierci, tym on bardziej wielbił, bo tym więcej odsłaniało mu się z tej mojej, dokonywanej się już, egzystencji. A więc porozumienie nasze byłoby możliwe pod warunkiem, aby to właściwe młodości, gorące, niecierpliwe, pragnienie egzystencji wymienić na głód życia, właściwy starzeniu się... Wymienić życie na egzystencję?... Stój, w tym coś jest, może od tej strony coś zdziałasz, zastanów się, nie dozwól aby ci się wymknęła ta myśl...

Czwartek

(„Tak więc, w końcu, nasunęła mu się zbawcza idea — wymiany egzystencji (tj. życia urobionego, takiego, jakim człowiek go zrobił) na owo życie biernie naturalne, w stanie wstępnym, młodym”.

„Ta myśl poruszyła go bardzo istotnie. Czyż byłoby przesadą ująć całą jego twórczość jako poszukiwanie eliksiru młodości? W „Ferdydurke” (gdy nie przekroczył jeszcze lat 30) rozkoszuje się już zakazaną rozkoszą — że człowiek może być stwa-

rzany przez człowieka... młodszego, nieprawdaż? Oto już sposób na odmłodzenie. W „Słubie” wyszukuje do dna tę specyficzną hojność, która młodszemu nakazuje oddać się... zabić się dla starszego. W „Pornografii” podnieca się tym, że młodość jest dla starszości — i na odwrót”.

„Gdyż żaden ze światów nie potrzebuje młodości w tym stopniu, co świat gombrowiczowski... i można by powiedzieć, że jest to świat budowany „z uwzględnieniem młodości”. I jeśli dotąd szukał ratunku w gwałcie zadany przez młodszego (Ferdydurke), lub, na odwrót, w gwałcie zadany przez starszego (Słub), lub wreszcie we współrzędności tych dwóch gwałtów (Pornografia), to teraz widzimy go, w Santiago, opanowanego myślą, rodem z Tandilu, o możliwości zorganizowania wymiany życie-egzystencja, co po prostu znaczy, że istnieją dwa odmienne gatunki istnienia ludzkiego i że one wzajem siebie pożądamy...”.

Czwartek

Tak... ale to zbliżenie nasze było, jak się rzekło, w pierwszym rzędzie sprawą zbiegu okoliczności... drobnych... Gdyby nie jękanie i owo przedarcie się przez słotę... gdyby mnie nie przytapał w chorobie...

Do tego dołączyła się magia nazw. „Giże” — to zdrobnienie podobało mi się, nadawało się do patetycznej apostrofy, lubiłem zawołać dramatycznie: Giże!

Przysparzało to naszym rozmowom dystynkcji i blasku. A kiedyś język mi się skręcił i z „Colimba” zrobiłem „Quilombo”. Co po hiszpańsku znaczy „burdel”. Ale nie brzmi tak ordynarnie, daje się użyć jako żart, ma także sens metaforyczny: bałagan, zamęt, dom wariatów. Użyte, jako imię własne, staje się wysoce zabawne i przekornie poetyczne — *Che, Quilombo, como estas?* — mawiałem z wyrafinowaną uprzejmością i to ustalało między nami dystans — który ułatwiał zbliżenie.

Nie mógłbym zbliżyć się do niego bez Formy, nie w ramach Formy. I on (będąc także artystą; mając pasję do rysunku; ale w jego wieku nie było jeszcze wiadomo, czy to talent, czy talencik) także domagał się ode mnie Formy.

Jakież wzruszający dla mnie ten ustęp z jego listu, z Tandilu: „Wierz mi... Za każdym razem, gdy wspominam lato... ten domek, dziewczynki... twoją smętną anginę, kiedy to pewien anielski „Quilombo” cię pielęgnował... robi mi się smutno od wspomnień”.

„A potem twoje przenosiny na Górę Parkową i moja „imaginacyjna”, jak mówisz, angina... i rekonwalescencja... twoje rozmowy... spaceru w słońcu... moje rysunki... To było lato, którego nigdy nie zapomnę. Nigdy!”

Odpisałem mu: „Ach, niezapomniany Quilombo! Potrafiłeś te drobne zdarzenia wznieść na wyżynę mitu i legendy...”.

Wtorek

Mój dyskurs „O problematyce współczesnej” odbył się wczoraj. Wygłosiłem tę pogadankę z nudów i żeby wejść w styczność z santiageńską inteligencją — nie przewidziałem, że to skończy się demonicznie.

Próbowałem dać charakterystykę teraźniejszego myślenia mówiąc, na przykład, że jest „zredukowane”, że powoli oswaja się z „podwójną interpretacją”, że odczuwamy je jako coś „działającego nie tylko na zewnątrz, ale i na wewnątrz, stwarzającego tego kto myśli”, powoływałem się na naukę, na kwanty, na Heisenberga i mechanikę falową, na Husserla i Marcela — Boże, zmiłuj się, mówiłem, jak zawsze się mówi, jak mówią nawet najznakomitsi tj. udając, że jestem u siebie w domu i że to dla mnie chleb z masłem, gdy pierwszy lepszy niedyskretny kwestionariusz położyłby mnie na łopatkach. Ale już tak przyzwyczaiłem się do mistyfikacji! I tak mi wiadomo, że mistyfikacją w tym rodzaju najznakomitsi nie gardzą! Odwalałem tedy moją rolę i nawet nieźle mi to wychodziło. Naraz ujrzałem, nieco w głębi, za pierwszym rzędem osób, spoczywającą na kolanie rękę...

Druga ręka, w pobliżu, należąca do innej osoby, oparta była, czy też zahaczona palcami, o poręcz krzesła... i nagle te dwie dłonie jakby mnie uchwyciły, aż przeraziłem się, aż zachłysnąłem się... i znów odezwało się we mnie ciało. Ale przyjrzałem się lepiej: ręce należały do studentów, przybyłych z Tucumanu, i to uspokoiło mnie od razu, Tandil mi się zamajaczył, wiedziałem, że nie ma powodu do obaw, przychylnie, przyjazne ręce — znów spojrzałem po sali, wszystkie ręce były przyjacielskie — i, powiedzmy, będąc cielesne, były jednak na służbie Ducha, były to ręce należące do inteligencji... Ten gąszcz rąk uduchowionych dokonał ze mną cudu. Chyba po raz pierwszy w życiu zgubiłem gdzieś tę porcję aktorstwa, blagi, efektu, która przysłała się do mego ducha. Nagle powaga i istotność mojego działania, jako nauczyciela, przeważyła wszystkie moje nierzetelności. Zrozumiałem sens mego zadania: coś o wiele ważniejszego, niż wykład profesorski, niż „praca kulturalna”, niż artystyczny, literacki popis, ja tu walczyłem o siebie samego usiłując wydobyć ich z ciała i przetrworzyć w egzystencję, mój los zależał od tego jak dalece ich podbiję i zmuszę do ducha, wszak to jedynie mogło mnie uratować! I zacząłem mówić z namiętnością, której przysłuchiwałem się z niedowierzaniem, tak bardzo była prawdziwa...

Potem dyskusja — ale nieśmiało i wzruszone ich głosy były tylko odskocznią dla mego — transcendentalnego. Byłem tak silny, iż po raz pierwszy w życiu pojąłem, jaką byłbym siłą, gdybym mógł w siebie uwierzyć, jak wierzyli święci i prorocy. Wreszcie powstał jakiś młodzieniec i wyraził głośno swoją wdzięczność, a także inni do mnie podeszli. Było jasne, że nie za intelekt mnie spotyka to podziękowanie, a za coś ważniejszego

— za zwalczenie ciała, cielesności, fizyczności... Poprosiłem o szklankę wody. Natychmiast rzucono się aby zaspokoić moją prośbę. Po chwili wszedł czango z karafką na tacy. Ja, przeżarty, ucichłem. Ten czango...

Ależ to ciało analfabety było tak uczciwe... ależ ono było samą uczciwością... ależ to ciało zwykle, spokojne, swobodnie żyjące, ruszające się łatwo, ciche, było rzetelnością, moralnością... i tak bardzo, tak doskonale, że w porównaniu z tym owo zebranie „duchowe” wypadło jakoś za wysoko, jak pisk wysiłony... Nie wiem... Święta prostota klatki piersiowej — a może szczerłość wzruszająca szyi — i ręce zaledwie umiejące stawiać litery, szorstkie, a prawdziwe, od fizycznej roboty... Mój duch wyzionął ducha. Zupełna plałta. Poczulem smak szminki na ustach.

Tymczasem Indianin (bo sporo miał z tej krwi) nalewał mi wody starannym ruchem niewolnika, rękami swymi, powołanymi do służenia i pozbawionymi dumy, pozbawionymi też znaczenia. Eksplodzja tych rąk cichych była tym straszniejsza, im bardziej były ciche — bo ten czango, jak każdy służący, był *quantité négligeable*, był „powietrzem” — ale wskutek tego właśnie, z powodu nieznacznosci swojej, stawał się zjawiskiem z innego rejestru i przytłaczającym na tym swoim marginesie! Nieważność jego, wyrzucona za nawias, tam, za nawiasem, stawała się ważna! Pożegnałem się i wyszedłem. Nie chciałem przedłużać tego sam na sam z tym czango. Na ulicy było już ciemno, kolorowy zachód Santiago zgasł i gwałtowny chłód zimy, pojawiającej się natychmiast po zniknięciu słońca, zmusił mnie do nałożenia palta. Jeszcze zamieniałem ostatnie grzeczności z osobami, które mnie odprowadzały, gdy czango... przeszedł o kilka kroków ode mnie.

Byłże to ten sam czango? Byłże to on? Wszyscy oni byli podobni... że aż prawie każdy był do zastąpienia innym, prawie identycznym... więc byłem skłonny przypuszczać, że to inny, brat, kolega, towarzysz... ale czyż nie było to obojętne? Szedł wolno w stronę rzeki, Rio Dulce. Poszedłem za nim. Poszedłem za nim dlatego, że było absurdalne i nie do pomyślenia iżbym ja, Gombrowicz, szedł za jakimś czango dlatego jedynie, że był podobny do czango, który nalewał mi wody. Ale znów doskonała nieważność jego wybuchnęła, jak grom, na marginesie wszystkiego co uchodzi za ważne. I poszedłem za nim, jakby to było moim najświętszym obowiązkiem!

Szedłem zaniepokojony... Bo już od dość dawna zarzuciłem był te spacery w Retiro i po Leandro Alem (o których kiedyś pisałem) — a teraz, w Santiago, znów niespodziewanie powracała ta sytuacja, najgłębsza, najistotniejsza i najboleśnieszka ze wszystkich moich: ja idący za chłopcem z gminu. Jednakże tym razem pojawiła się pewna nowa cecha tej sytuacji, mianowicie, że w grze była nie piękność i młodość, a moralność — ja szedłem uwiedziony tą *inną* uczciwością, rzetelnością, czystością,

która podkopała i zniszczyła moje uduchowanie. Szedłem za tymi jego prostymi plecami, jawnym karkiem, spokojnymi rękami! A mój niedawny triumf ulotnił się, pyf, nie ma!... Ale, witając z rozpaczą ten ponowny marsz mój w kłęskę, postanowiłem, zacisnąwszy zęby, że teraz doprowadzę do rozstrzygnięcia... jakiegokolwiek... Tak dłużej być nie mogło! Trzeba z tym skończyć. I uwierzyłem, nie wiem dobrze dlaczego, może wskutek intensywności, z jaką ciało mi się narzucało, że jeśli zdołam rozwiązać fizyczny kształt zdarzenia, jeśli znajdę fizyczne rozwiązanie sytuacji, to doprowadzi mnie także do duchownego rozwiązania. Póki co szedłem za tym czango w mroku, świadom, że to moje posuwanie się za nim jest przede wszystkim formułowaniem sytuacji: ja i on, ja idący za nim, ja z nim jako problem do rozwiązania...

Jakoż problem olbrzymiał... tą szczególną potęgą, jaką nabrzmiewają czasem rzeczy bez znaczenia. Już w uszach mi dudnił, w skroniach walił, ten pochód mój niespodziewany! Wiedziałem teoretycznie dlaczego ciało przede mną jest tak rzetelne, w przeciwieństwie do pokrętności, która nas, inteligentów, cechowała. Przejrzystość ciała! Rzetelność ciała! Albowiem ciało stwarzało grę potrzeb i wartości prostą, jasną, dla tego czanga wartością było to co zaspokajało jego potrzeby cielesne, zwykle potrzeby zdrowego ciała, więc on był właściwie biernym terenem gry sił naturalnych, nie był niczym więcej jak tylko naturą — i dlatego jaśniał przede mną w mroku czysty, prosty i przejrzysty. Moralny, jak pies, jak koń! Moralny jak zwykłe zdrowie! A ja? A mnie podobni? O, my zerwaliśmy z logiką ciała i byliśmy wytworem skomplikowanych czynników, wywodzących się już nie z natury w ogóle, a ze specyficznej natury ludzkiej, my, wytwór ludzkości, produkt tej „drugiej natury”, jaką jest natura człowieczeństwa. Byliśmy perwersją, wyrafinowaniem, komplikacją, byliśmy Duchem, o, nieszczęśliwi!... ale przecież nie mogłem zgodzić się na tę sytuację, że niby ja idący za nim, ja, wielbiący... to byłoby równoznaczne z plajtą... więc, odrywając się siłą, skręciłem w pierwszą uliczkę na prawo. Zerwałem łączność i teraz szedłem sam... I mówiłem sobie, roztrzęsiony: — Do diabła! Nie zapominaj kim jesteś! On jest tylko ciałem, nic nie znaczący, jeden z wielu, mierzwa! Ty — niepowtarzalny, jedyny, oryginalny, niezastąpiony!

A jednak to, że ja cielesnie nie byłem ani tak rzetelny, ani tak przejrzysty, jak on, miało wagę do tyła decydującą, iż nadaremnie wyśpiewywałem hymny na własną cześć. One goryczą były zaprawione i woń zgnilizny unosila się wokół. Poczułem na tej pustej ulicy, że nie da rady, że będę musiał coś zamordować, szedłem już zdecydowany na morderstwo. Musiałem zepchnąć go do rzędu zwierząt i zostać sam, w człowieczeństwie moim, nie było dopuszczalne dalsze tolerowanie podwójnej ludzkości, jego i mojej, albo ja musiałem stać się potworem, albo on — zwierzęciem, nie było innego wyjścia... Tej oczywistości towarzyszyła inna — że nie powinienem był odchodzić od niego i po-

zwać, aby on był sam, tajemnie. Postanowiłem przeto dogonić go i rozprawić się z nim. Czy nie odszedł już za daleko? Nie, było prawie pewne, że doszedłszy do parku skręcił na prawo, szedł więc ulicą równoległą do mojej — ale wyobraziłem sobie, że go doganiam i znów za nim idę... Nie, za nic! I tak samo dopadnięcie go z boku, zza rogu, nie byłoby zadawalające... wobec czego zdecydowałem, przyspieszając kroku, że wyprzedzę go i wyjdę mu naprzeciw z następnej przecznicy, twarzą w twarz... I to mnie olśniło! ani z tyłu, ani z boku, ale naprzeciw i twarzą w twarz!

Nie za nim.

Nie z boku.

Ale naprzeciw i twarzą w twarz!

Taka była fizyczna formuła zwycięstwa. To pozwalało na atak. A mnie wojna z nim była potrzebna, bo czyniła go moim wrogiem, wyrzucała na zewnątrz. — Ruszyłem prawie biegiem i już sam ten bieg, mający jego na widoku, zmieniał sytuację na moją korzyść. Gwałtownie skręciłem. Zwolniłem kroku. Teraz szedłem ulicą o rzadkich latarniach, której jedną ścianę tworzyły wielkie, czarne, ciche drzewa parku — a on nadchodził, w sporej odległości rozpuszczony w blaskach chyboczących się świateł. Zbliżał się, a moja wrogość wyrzucała go ze mnie jak wysypkę, tam był, przede mną. Zabić. Szczerze chciałem go zabić. I zabijałem go w sobie tym, że chciałem go zabić. W pewności, że bez tego zabójstwa nigdy nie będę mógł być moralny. Moralność moja stała się agresywna i mordercza. Szybko malała odległość między nami, ja naturalnie nie zamierzałem „na zewnątrz” zabijać, w sobie tylko pragnąłem dokonać morderstwa na nim i byłem pewny że, jak jego zabiję to nawet w Boga uwierzę — a w każdym razie będę po stronie Boga... Była to jedna z chwil mojego życia, w której najwyraźniej zrozumiiałem, że moralność jest dzika... dzika... W tym... Kiedy zrównaliśmy się, pozdrowił mnie, uśmiechnięty:

— *Que tal?*

Znałem go! To był jeden z pucybutów, kręcących się po placu — nieraz czyścił mi obuwie. Znajomy! Na to ja nie byłem przygotowany! Starcie tak mordercze zawałiło się... kiwnąłem mu głową, odkrzyknąłem *adonde vas?*, minęliśmy się i z całej tej pasji nic nie pozostało, tylko zwykłość — zwykłość — jak ton najwyższy, jak król całego zdarzenia!

(„Więc znowu doznał katastrofy. Znowu wdarła się przeklęta zwykłość, gdy on miał już dramat zorganizowany — i jeszcze raz wszystko rozplynęło mu się w rękach, jakgdyby „tamta strona” nie chciała po prostu grać w żadnym dramacie... i nasz Faust ugrzązł w dniu powszednim. Wystrychnięto go na dudka! Dramat mu odebrano, dramat, który był mu jedyną ozdobą w tej walce z młodszymi...”

„Ale z tego niedosłego starcia pozostanie mu już, aż do końca chyba, rosnące przeświadczenie, że cnota ma szpony i umie mordować, że świat moralny i duchowy podlega powszechnemu prawu okrucieństwa. Wbrew wszystkim jego wysiłkom rozpięcie pomiędzy duchem a ciałem coraz się zmniejsza, przenikają się, sprzęgają, te światy...

„Oto co wyniósł z roslonecznionego Santiago”.

Witold GOMBROWICZ

Nowe wydawnictwa „Libelli”

FLORIAN CZARNYSZEWICZ

LOS Y PASIERBÓW

Z przedmową Józefa CZAPSKIEGO

Cena : franków 850. — sh. 17/.— — dolarów 2.50.

Warunki sprzedaży :

Jeżeli ktoś mieszka we : Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w : Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak : Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Zamówienia wraz z należnością przysyłać do :

“LIBELLA”

12, rue St. Louis-en-l'Île, Paris IV
France

Podróż do Europy (3)

2 sierpnia

W Meranie w kinie wyświetlają włoski film. Tylko dlatego postanawiamy zostać i zobaczyć go, bo Meran, dawniej austriacki, a teraz włoski kurort, wygląda nudnawo. Włoski film we Włoszech jest rzadkością. Robią tam już od wielu lat najładniejsze filmy na świecie, ale dla Włochów są one zbyt realistyczne. Zanadto przypominają im codzienne troski. Wolą najgorsze amerykańskie szmiry. Chciałem zobaczyć kilka włoskich filmów, których jeszcze nie było w Ameryce, szukałem ich w Mediolanie, w Parmie, w Rzymie, w małych miasteczkach po drodze. W Wenecji też. Nigdzie nie było. Ani tych, których szukałem — na przykład „Dachu” Vittorio de Sica — ani innych.

Film, który grają w Meranie, jest komedią, w głównej roli występuje Vittorio de Sica. Wkrótce się okazuje, że jego główny komizm polega na tym, iż Vittorio de Sica, zanim włoży spodnie, spaceruje po mieszkaniu w kalesonach. Nie mogłem nigdy zrozumieć i do dziś dnia nie rozumiem, dlaczego mężczyzna w kalesonach, krótkich albo długich, wywołuje śmiech na sali, niezawodnie i wszędzie na świecie. Jest to jednak śmiech specjalnego rodzaju, piskliwy i krzykliwy. Zawodzi zawsze tak samo początkowo jedna pani. Dusi się z radości, że zobaczyła jego mościa w kalesonach. Wyje prowokująco, dając do zrozumienia, iż od razu spostrzegła, o co chodzi, że to są kalesony, nic innego, autentyczne kalesony, rzecz niezmiernie zabawna i pełna aluzji, więc wszyscy powinno się śmiać, nie tylko ona. Czeka chwilę, a kiedy nikt jej nie wtóruje, piszczy jeszcze raz. Podejrzewam czasami, że to jest ta sama pani, jedna i ta sama pani, która jeździ za mną po świecie. Bo straciłbym sympatię do ludzkości, gdybym był pewien, że te panie są wszędzie, w każdym kraju i w każdym kinie.

IV. AUSTRIA I LICHTENSTEIN

3 sierpnia

Jedziemy do Szwajcarii, przez Austrię i Lichtenstein. Austria ma teraz świetne szosy, żyje, sądząc z tego, co się widzi z samochodu, w dostatku, wszędzie jest czysto, wszystko sprawnie działa — i mnóstwo turystów, z Ameryki i z całej Europy. W Innsbrucku trudno o pokój w hotelu. Wspinamy się nad Innsbruck, do Idels, bo tam są podobno sosnowe lasy. Szukaliśmy ich już w innych krajach, bardzo trudno w Europie o sosnowe lasy, jeszcze o wiele trudniej niż o pokój w hotelu. Lasy w Idels są, nie bardzo duże, ale są, i hotele też, ale przepelnione, ledwo dostajemy pokoje, pod warunkiem, że tylko na jedną noc. Idziemy na kolację do wielkiej restauracji, orkiestra znowu gra „Na falach Dunaju”. I *Wien, Wien, nur du allein*, i cały repertuar sprzed pierwszej wojny. Francuskie melodie z tego okresu są ładne, często wzruszające, ponieważ mają w sobie autentyczne uczucia. Wiedeńskie mają tylko lepki sentymentalizm i tanie muzyczne ozdóbki. Jeśli ktoś nie zgadza się z tym absolutnie indywidualnym poglądem, niech sobie przypomni i niech sobie uprzytomni, jaki rodzaj ludzi przepada za Straussami. Komu się przy tych dźwiękach nie świecą oczy. W restauracji w Innsbrucku nie tylko pałały oczy, lecz również poklepywali się po tłustych kolanach potworni panowie ze starych karykatur Georga Grosza, podczas gdy ich małżonki kiwały karkami do taktu. Nie jest to zresztą sprawa narodowości ani wieku. Widziałem młodych i starych Polaków, jak również Polki — te ostatnie wprawdzie tylko starsze — z tą samą błogością na obliczu przy tych samych dźwiękach. Zauważyłem także, że ludzie których pociąga pewnego rodzaju muzyka — a wiedeńskie walce należą do tego rodzaju — lubują się zwykle również w ordynarnych ale niezabawnych dowcipach oraz bardzo długich anegdotach, w których trudno znaleźć coś śmiesznego. Proszę sprawdzić.

4 sierpnia

W miasteczku Vaduz, stolicy księstwa Lichtenstein, widziałem na ulicy automaty, sprzedające używane znaczki pocztowe tegoż księstwa. Są widocznie filatelisci, którzy kupują je w nocy, przejeżdżając przez miasteczko. Józef Szwejk, kiedy go pewnego razu zapytano czy nie ma przypadkiem do sprzedania składanego ołtarza polowego, odpowiedział z ubolewaniem że nie, dodając że człowiek nie zawsze może o wszystkim pomyśleć zawczasu. Księstwo Lichtenstein, żyjące głównie ze znaczków pocztowych, pomyślało o wszystkim zawczasu.

V. SZWAJCARIA

8 sierpnia

Nigdy, ale to nigdy nie należy usiłować przywrócić przeszłości. Dobrze to wiem, a jednak wciąż próbuję. W Brunen, nad jeziorem Czterech Kantonów, jest hotel, w którym mieszkałem, kiedy byłem dzieckiem. Zapamiętałem jego nazwę, i to że zaraz obok, na łące, rosły różowo-białe stokrotki, i że z jednej strony wchodziło się do hotelu od razu na drugie piętro, a z drugiej zwyczajnie, na parter, co było niezmiernie zajmujące. Nade wszystko jednak pamiętałem, że wyjeżdżałem wtedy z Brunen z uczuciem utraconego szczęścia, że kwiaty na łące były ze mną mocno związane, a ranna mgła nad jeziorem też opadała dla mnie.

Odnalazłem ten hotel. Był tak ponury, że zamieszkałem w innym. Z jeziora wystawał po dawnemu szyllerowski kamień, tylko że dawniej się wznosił, a teraz sterczał. I żadnych, absolutnie żadnych wzruszeń, wszystko cudze, wszystko obce. Ładne? Może i ładne, ale obiektywnie ładne, bez subiektywnych uczuć. W pewnym okresie życia grałem za dużo w szachy. Doprowadziło to do tego, że siedząc w przedziale kolejowym nie widziałem ludzi, a tylko szachowe figury. Gdyby pani przy oknie była koniem, mogłaby zabrać młodzieńca, siedzącego w rogu na przeciwległej ławce. W Brunen też nie widziałem całosci, nic się w całość nie łączyło, tylko oddzielnie wisiwały nad miasteczkiem góry, oddzielnie w jeziorze kąpali się muskularni Niemcy i oddzielnie stały sobie drzewa. Czechow napisał, że natura sama przez się właściwie nie istnieje, jest tylko ekranem, na który ludzie rzucają swoje uczucia.

W innych zapamiętanych miejscowościach było tak samo, w Interlaken jeszcze gorzej. Tam już po prostu miałem pretensję do dawnego siebie, że mi się kiedyś tak podobało. Co mi się tu mogło podobać? Tłumy na głównej ulicy? Sztuczne klomby w parku? W dodatku, żeby podkreślić że wszystko się zmieniło, mżył deszcz i chmury zakrywały Jungfrau.

9 sierpnia

Mieszkamy w Lozannie, a właściwie w Ouchy, w dolnej części Lozanny nad jeziorem genewskim. Nigdy tu przedtem nie byłem, pewnie dlatego lepiej się czuję.

Porządkuję szwajcarskie notatki. Objechałem kawał tego kraju i nie widziałem nigdzie ani jednego biednie ubranego człowieka i żadnej ubogiej dzielnicy. W Nowym Jorku są, nazywają się *slums*. W Szwajcarii nie ma. Zburzyli je i wybudowali nowe domy. Szukałem w Zürichu, w Genewie, w Bernie. Przed wojną były, teraz nie ma. Zniknęły. Wszystkim się dobrze powodzi,

Szwajcaria ma najwyższy poziom życia w Europie i najwyższe zarobki, tylko Szwecja może się z nią porównać. W Lozannie, w środku miasta, niedaleko stacji, widziałem eleganckie biuro w nowym, wspaniałym gmachu. Niebieskie neony informują wieczorem przechodniów, że to jest biuro opieki społecznej. Gdyby w Lozannie byli bezrobotni, wypłacano by im tam zapomogi. Ale bezrobotnych w Szwajcarii nie ma. Sprowadza się już masowo robotników z Włoch. „Za dobrze nam się dzieje”, powiedział mi w Genewie pewien miejscowy obywatel. „Nie chce już się nam wykonywać cięższej albo brudnej pracy. Wynajmujemy Włochów, oni to za nas robią”.

Trudno tak od razu powiedzieć, czy to jest chwalebne czy nie. Zbyt skomplikowana sprawa. W południowych Włoszech dwa miliony ludzi nie mają pracy. Muszą w Szwajcarii pracować ciężiej niż Szwajcarzy, ale pracują. Nie jest sprawiedliwe, że im dają cięższą pracę, ale lepsze to jak nic. Poza tym w Szwajcarii jest demokratyczne prawodawstwo robotnicze i rzetelna, prawdziwa demokracja. Szwajcarzy podkreślają to chętnie przy każdej okazji. Wstąpiliśmy późnym wieczorem do oberży w maleńkiej wsi, gdzie nie było nawet stacji benzynowej. Jakość potraw była taka sama jak w dużych restauracjach w Genewie albo Zürichu, tylko wybór mniejszy. Siedziało tam przy winie kilka osób: oberżysta, jego żona, lokalny rezoner-dowcipniś, dwóch czy trzech chłopów, i razem z nimi wyraźny inteligent, może nauczyciel, może aptekarz albo lekarz. Oberżysta wstał, podał nam rękę, później wszyscy inni też. Kelnerki i kelnerzy w małych restauracjach prawie zawsze podają na pożegnanie rękę. Demokracja nie jest tylko na pokaz. W lipcu w kantonie genewskim było referendum w sprawie płatnych urlopów. Większość wypowiedziała się za tym, że każdy kto pracuje ma prawo do trzytygodniowego urlopu, niezależnie od wieku ani od tego, czy pracuje gdzieś dziesięć lat, czy dopiero od wczoraj. I odpowiednio prawo od razu weszło w życie. Gdzie indziej, prawie wszędzie, pracodawcy dodają łaskawie do urlopu dzień albo dwa za każdy przepracowany rok, albo za każde pięć. I decyduje o takich sprawach w najlepszym razie parlament, zawodowi politycy, a w Szwajcarii nawet takie zagadnienia jak to, czy zrobić jakąś nową szosę rozstrzyga nie władza, nie rząd i nie zawodowi politycy-kombinatorzy, tylko ludność, której dana rzecz dotyczy: urządza się od razu referendum.

To jest jedna strona szwajcarskiego medalu. Druga polega na tym, że w Zürichu, ślicznym, czystym i beztróskim, w mieście, na którego głównej ulicy, Bahnhofstrasse, nie widzi się ani jednej zmęczonej lub niezadowolonej twarzy i wszystko jest tak doskonale zorganizowane, że w wygodnych niebieskich tramwajach każdy siedzi, nie stoi, nawet w godzinach największego natężenia ruchu, jest procentowo najwięcej samobójców na świecie. I najwięcej rozwodów. Wszystko w Szwajcarii jest urzędowane, wszyscy mieszkańcy zapisani i wydrukowani. Chciałem w Genewie odnaleźć znajomą, której nie widziałem od wielu lat.

Nie było jej w książce telefonicznej, dzwoniłem do kogoś, który, jak sądziłem, powinien wiedzieć, gdzie ta pani mieszka. Nie wiedział. Portier w hotelu przysłuchiwał się tej telefonicznej rozmowie z rosnącym zdziwieniem.

— Po co pan telefonuje? Proszę mi powiedzieć, jak się ta pani nazywa, imię i nazwisko...

Wyciągnął grubą książkę, poślinił palec i po kilku sekundach miałem już adres. Bo każdy mieszkaniec Szwajcarii jest zamieszczony w księdze, żeby każdego łatwo było znaleźć, a jednak Szwajcarzy, choć nie ma w tym kraju dużych miast, a w mniejszych mieszkańcy powinni lepiej się znać, szukają żon przez ogłoszenia w gazetach. A Szwajcarki mężów. We wszystkich gazetach jest codziennie mnóstwo ogłoszeń matrymonialnych osób wszystkich stanów. Oto 50-ci letni wdowiec, *vendeur de journaux* (sprzedawca gazet), oto właściciel ziemski, doskonale usytuowany, który jeszcze nie przekroczył czterdziestki, i pani, *très fortunée* — bardzo bogata — i w dodatku *affectueuse*, z temperamentem, i inna, protestantka z doskonałej rodziny, dwudziestoletnia, *ayant avoir à prétendre* (oczekująca spadku).

I jeszcze jedno. Czy może ktoś wymienić, choćby po dłuższym namyśle, wielu szwajcarskich pisarzy, kompozytorów, malarzy o zasługach i sławie, przekraczających granice tego kraju? Biorąc, powiedzmy, okres ostatnich 50 lat i wyłączając tych, którzy się urodzili w Genewie, ale mieszkają we Francji? Oprócz jednego, Fryderyka Duerrenmatt, wspaniałego dramaturga, autora „Wizyty starszej pani”, z którego, słusznie, wszyscy Szwajcarzy są teraz dumni? (Jest on nie tylko dramaturgiem, lecz i świetnym pisarzem. Czytałem kilka jego rzeczy w „Neue Züricher Zeitung”. W każdej widać lwie szpony).

Wsiewołod Meyerhold, jeden z najpotężniejszych reżyserów, jakich zna historia teatru, głosił kiedyś teorię, według której sztuka nie jest niczym innym jak mechanizmem obronnym ludzi nieszczęśliwych, wywołującym oddźwięk również w duszach nieszczęśliwców. Każde upiększenie życia, pisał Meyerhold, jest dziełem sztuki, i dlatego też potrzeba sztuki odpadnie, kiedy każdy człowiek osiągnie wolność gospodarczą i szczęście. A z tego wynika, że w przyszłości, w ustroju socjalistycznym, kiedy już wszyscy będą szczęśliwi, żadnej sztuki w ogóle nie będzie.

Teoria jest niewątpliwie mylna, tak samo jak mylnym jest pojęcie, że szczęście ludzkie zależy wyłącznie od sprawiedliwego rozwiązania problemów ekonomicznych. Bardzo chciałbym wiedzieć, od czego zależy, ale nie wiem. Ale podróżując po Szwajcarii często myślałem o tym, że Meyerhold miał trochę racji.

10 sierpnia

W Thun, niewielkim miasteczku gdzie jest bardzo mało turystów, widziałem, jak się odbywa próbna lokalna mobilizacja armii szwajcarskiej. Ulice wypełniły się naraz ludźmi w mundu-

rach, którzy szybko gdzieś szli pojedynczo i grupami w pełnym rynsztunku bojowym. Jest to jedyna armia na świecie, której żołnierze mają u siebie w domu nie tylko mundury, lecz również i broń. Co jakiś czas odbywają się ćwiczenia, potem mundury chowa się do szafy a broń do jakichś domowych skrytek. Cała armia może być zmobilizowana w przeciągu kilku godzin. Żaden inny kraj nie może sobie oczywiście pozwolić na powszechne uzbrojenie ludności. Czytałem w pismach amerykańskich, że zmobilizowana armia szwajcarska liczy pół miliona ludzi i jest jedną z najlepszych w Europie.

Wieczorem żołnierze i oficerowie zapełnili wszystkie kawiarnie i restauracje. Żołnierzy trudno odróżnić od oficerów, i jedni i drudzy mają mundury z tego samego szarego materiału i tak samo uszyte na miarę, tylko inne odznaki na kołnierzu. Siedzieli razem, przy tych samych stolikach. Kelnerka w restauracji trochę się zdziwiła, kiedy ją zapytałem, czy zawsze tak jest. Powtórzyła wojskowym przy jednym ze stolików o co ją pytałem. Jeden z żołnierzy obrócił się do mnie i powiedział z lekkim naciskiem:

— *Bei uns in der Schweiz es ist verboten, sich wie ein Offizier zu benehmen.* (U nas w Szwajcarii nie wolno zachowywać się po oficersku).

11 sierpnia

W Vevey, w restauracji nad jeziorem, siedział Francuz z potężniejszą od niego żoną. Był chudy, drobniutki, ale z marsowym wyrazem twarzy. Miał podstrzyżony siwy wąsik i lekki tik w lewym oku. Gniewało go, że musi długo czekać na jedzenie, poprawił mu się humor dopiero kiedy kelnerka je przyniosła. Rozluźniły mu się rysy, ale zaraz je ściągnął, zachowując surową godność. Każde zdanie żony przyjmował tak, jakby chodziło o propozycję handlową: podejrzliwie, podnosząc z lekka brwi i marszcząc czoło. I jakby miał zaraz odmówić. Później chwilę myślał, przestając jeść i kiwnięciem głowy odpowiadał, że się zgadza. Zanim przeszedł na emeryturę, musiał być właścicielem bistro albo może nawet większego przedsiębiorstwa. Przyzwyczał się do wydawania rozkazów i odrzucania niedogodnych propozycji. Żona mówiła tylko o tym, że statek zaraz przybije do brzegu, bo już jest niedaleko i że przyjemnie jest jeść na świeżym powietrzu. Nalała mu później do filiżanki kawę i włożyła cukier. Tylko tyle czarnej kawy i tylko tyle cukru. Znowu zmarszczył czoło i ruszył groźnie wąsem, ale zaraz wypogodniał. Widocznie mu się przypomniało, że żona wypełnia dokładnie zalecenia doktora.

Przy ścianie stała kelnerka, której nie podobało się, że go nieprzychylnie obserwuję. Uśmiechnęła się do niego, zapytała, czy smakowała mu ryba, poprawiła talerz na stole i miękko po-

wiedziała coś o pogodzie. Wszystko demonstracyjnie, pod moim adresem, z odpowiednim spojrzeniem w moim kierunku, że niby ma prawo po przepracowanych latach i że trzeba ludziom współczuć, a nie wydziwiać i krytykować. Zgodziłem się z nią całkowicie, wrzuciła mnie nawet jej interwencja, tylko pomyślałem sobie, że bardzo trudno jest kochać ludzkość, nie nienawidząc ludzi.

(Dokończenie nastąpi)

Wacław SOLSKI

NAJNOWSZE MODELE WARSZTATÓW DZIEWIARSKICH DO POLSKI

Dzięki swoim zaletom szczególnie popularne w Kraju :
Dwułożyskowe :

GIROTEX „400”	£ 58.15.0
TRICOLETTE SUPER	£ 51. 0.0
TRICOLETTE T 2 E	£ 46. 0.0
BUSCH	£ 46. 0.0

Jednołożyskowe :

ASK (AUTO-KNITTER)	£ 22. 0.0.
--------------------------	------------

Do wszystkich powyższych maszyn posiadamy obszernie instrukcje polskie. Zapewniamy również stałą rzetelną obsługę maszyn wysłanych przez nas do Polski.

ŻĄDAJCIE NASZYCH PROSPEKTÓW
I NOWYCH OBSZERNYCH CENNIKÓW

NAJWIĘKSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

TAZAB

& CO LIMITED

Oddział w St. Zjedn. 36, Third Avenue, NEW YORK, 3, N.Y. Tel. ALgonquin 4-4160/1	Centrala TAZAB HOUSE 22, Roland Gdns., LONDON, S.W.7. Tel. FRE 3175, 3176, 5676	Oddział w Australii 327, Collins Str., MELBOURNE, C.1. Vic. Tel. Melbourne 1314
--	--	--

BOGATO ILUSTROWANY TYGODNIK DLA KAŻDEGO
WYDAWANY ŁĄCZNIE Z „DZIENNIKIEM POLSKIM”

“ TYDZIEŃ POLSKI ”

Co tydzień przynosi artykuły polityczne i naukowe, wiadomości z całego świata, sprawozdania i reportaże z życia Polaków w Kraju i na obczyźnie, opracowania nieznanymi rozdziałów najnowszej historii Polski, dwie powieści (Józefa Łobodowskiego i Zofii Guzowskiej), opowiadania humerystyczne i rozrywki umysłowe.

Posiada dział pięknej Pani, Gospodyni, Matki; porady lekarskie, kulinarne i techniczne; kącik angielski, dodatek dla dzieci i dział sportowy.

16 stron interesującej żywej, barwnej, aktualnej i pożytecznej lektury

„TYDZIEŃ POLSKI” można zamawiać:
Przedstawicielstwa — prenumeraty — wpłaty:

POCZTĄ ZWYKŁĄ

BELGIA: J. Korab-Brzozowska Csaky, 19, Sq. Saintelette, app. 2, Bruxelles; C.C.P. 7315.20.

Kwartalnie frs. b. 73.

FRANCJA: „Libella”, 12, rue St. Louis-en-l’Ile, Paris (4) — C.C.P. Paris 5651-50.

Librairie Polonaise, 123, Bd St-Germain, Paris (6).

Kwartalnie frs. 520.

ITALIA: Antoni Grzybowski, Via M. Amari 52, Roma.

Kwartalnie 10s.

NIEMCY ZACH.: St. Mikiciuk, (13 b) München 45, Gablonzerstrasse 7/1.

Kwartalnie DM 6.

SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève.

Kwartalnie 10s.

POCZTĄ LOTNICZĄ

U.S.A.: H. Opalińska, Polish Book Importing Co., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.

Polish American Book Co., 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.

Zdzisław Dziekoński, 572 Stanley, Birmingham, Mich.

Mieczysław Tarłowski, 104 Broad St., New Britain, Conn.

Zbigniew Kliszewski, 527 N. Kilkea Dr., Los Angeles 48, Cal.

Kwartalnie \$ 4.00.

KANADA: Michał Kinczel, 1574, Queen Street. West Toronto, Ont.

Kwartalnie \$ 4.00.

ARGENTYNA: Zarema Bau, Calle Ramon Freire 1269,

Buenos Aires. Tel. 73-7481. Wpłaty „Giro Postal” na Zarema de Bau.

Kwartalnie \$ 4,40 lub 300 pesos.

BRAZYLIA: F. Rokicki, rua Republica de Peru 305, Apt. 18,

Rio de Janeiro.

Kwartalnie \$ 4,40.

AUSTRALIA: Vistula (Australia) Pty Ltd, Daking House, Rawson Place, Sydney.

Kwartalnie £ A 2.2.3.

Śladami Solskiego

O czym Giedroyc zamówił u mnie artykuł do kwietniowego zeszytu „Kultury”? O losie pisarzy? O pasie neutralnym? O stosunkach polsko-niemieckich? Sam już nie wiem. Lecz oto dzisiaj otrzymałem marcową „Kulturę”, w niej artykuł Solskiego. Opisuje swą pierwszą w życiu podróż do Włoch. Byłem we Włoszech może czterdzieści, może sześćdziesiąt razy. Od najmłodszego dzieciństwa. Przed rokiem czy dwoma odbyłem tę samą trasę — przez Simplon, Lago Maggiore, Mediolan, Parmę do Rzymu. Potem do Wenecji, także pociągami. Więc chce mi się zrobić pastiche Solskiego. Pal diabli Giedroycia, jeśli będzie się dąsał. Już nie mam zdrowia na humory tych wszystkich redaktorów i chlebobawców, przy których można tylko zdechnąć z głodu...

To starość: coraz mniej rzeczy mi się podoba. Solski mnie zabawił, i jestem mu wdzięczny: gdy coś czytam z przyjemnością, czuję się odmłodzony. Jego felieton jest szczerzy — to takie rzadkie. Jest świeży, wspaniałej, królewskiej, imperialnej Europy. Wieje tęsknotą, wieje unізonością. Nienawidzę renegatów. Europejczyk, który udał się do Ameryki w pogoni za kawałkiem chleba, którego, nasza Europa, skrwawiona idiotycznymi wojnami, zbrodnictwami nacjonalizmami dać mu nie mogła, jest istotą żalonną, ale zasługującą na współczucie, na litość. Europejczyk, który wyrzeka się glorii naszego kontynentu, który śmie mówić, że jest „homesick” za swą Oklahomą czy Indianą, który pindaczy się „We, Americans”, który — to już jest zbrodnia — ma czelność nam, Europejczykom, przeciw nauki, dawać wskazówki, wytykać błędy, w ogóle zabierać głos, zamiast kornie, w pokłonach, w kurbetkach, wsłuchiwać się w głos starej mądrej, świat-

tej, kulturodajnej i cywilizacjotwórczej Europy — taki renegat powinien mieć wstęp do Europy wzbронiony, powinien być dożywno skazany na drugstore, na Coca-Colę, na comics i na bezgraniczną nudę, która hula od Cape Canaveral do Olympic Mountains, od Portland, Maine do San Diego, Cal., po wszystkich Main streets, po wszystkich motelach, po wszystkich *drive-in* kinach, po pin ups'ach, po tych wszystkich babach w okularach, i po playboyach, i pastorach czy Sunday Preacher'ach z przedziwnych zborów of the Church of Christ Scientist...

Solski pisze: „Samochodzik świetnie wspina się na góry, bierze Simplon — przeszło dwa tysiące metrów — na drugiej szybkości bez zagrzaną motoru. Wieczorem przejeżdżamy włoską granicę w pobliżu Domodossola”.

Mało wrażeń! Mój brat — zawodowy „Kilometerfresser” — pewno by się zainteresował tym drugim biegiem i tym niezagrzanym motorem. Na marszrutę Solskiego trafiłem w Brigue, gdzie droga z Lucerny zbiega się z drogą z Lemanu. Byłem już piekielnie zmęczony przebyciem Grimsel Pass, prawie dwa i pół tysiąca metrów; moje biedne serce ledwo wytrzymało. Ale zjazd w dół do siedmuset metrów stawia mnie na nogi: z każdym zakrętem zdawało mi się, że zrzucam tonę żelastwa z piersi, puls stawał się normalniejszy, krew przestawała mi uderzać do głowy. Wiedziałem: za parę godzin czeka mnie druga taka przeprawa, Simplon, ale starałem się o tym nie myśleć. Z rozczuleniem patrzyłem, jak z każdym kilometrem przybywało zieleni i miękkości, skały wycofywały się w bok i w dal, poczciwe krowy zastępowały górskie kozły, kołyszające się na turniach i skałach. Miłe ciepło laskało po ziąbie i śniegach przełęczą. Smukłe wieże katolickich kościołów łudząco przypominały Tyrol. Valais — to znaczy dolina (La Vallée, tylko inna pisownia). Kanton przeważnie francuski, ale ostatnie wioski, Gletsch i inne, na drodze do Furki, do Grimsel są niemieckie. Jak one się tu utrzymały, gdy nie było szos, gdy przedostanie się do pobratymczych Lucerny czy Andermatt było zadaniem szaleńczym, a w zimie w ogóle niemożliwym? (w zimie zresztą po dziś dzień nie ma tej komunikacji, bo przełęcz są zamknięte, a kolej przez Furkę przez osiem miesięcy w roku nie funkcjonuje). Tajemnice szczytów górskich, tych najbardziej konserwatywnych społeczności na świecie!

Brigue, po niemiecku Brig; tutaj zaczyna się tunel Simplonu, tutaj droga Simplonu. Miasto francuskie czy niemieckie? A może włoskie? Bo już Lombardia pachną ogrody, już Veronę czy Como przypominają krużganki pałacu. Co to za pałac? To rezydencja rodu Stockalperów, magnatów szwajcarskich z okresu Renesansu, takich lokalnych Fuggerów (naszych Fukierów). Do

nich pono należały niemal wszystkie włości od Mediolanu aż po Bern, i tutaj, w kluczowym punkcie tego latyfundium, w niewralgicznym punkcie tej drogi handlowej, z której zrobili swój monopol, Stockalperowie zbudowali sobie rezydencję. Dzisiaj znajdują się w niej biura władz kantonalnych. Obok muzeum: w podwórzu znajduje się stary dyliżans, którym przez cały wiek XIX podróżni przedostawali się przez Simplon. Trwało to długo, bo tunel kolejowy przez Simplon zbudowano dopiero w 1906 r. Dyliżans jest żółty, świetnie utrzymany, kozioł strasznie wysoki; gdy pasażerowie go obsiedli, musiał ten dyliżans wyglądać, jak wiązanka bananów czy winogron. Biedne koniki: jak one mogły ciągnąć ten straszliwy ciężar, i to pod taką górę! Ale ten pojazd naprawdę wygląda malowniczo! Nawet mój brat, równie niewrażliwy co Solski na muzea i zabytki, poświęca coś koło dziesięciu minut swego cennego czasu (bo on jest szoferem!) na oglądanie tej relikwii z czasów przedpotopowych (przed motoryzacją!).

Restauracja w Brigue jest wyborna. Beaujolais świetne, na pewne nie fałszowane, jak to często bywa w Anglii. Piję z rozkoszą, bo we Włoszech wino francuskie jest niedostępne: cło, Ach, jakżeż ten Wspólny Rynek jest pilną, jest nagłą koniecznością! Mój brat nawet dobroci Beaujolais nie zauważył. Jest zajęty obliczaniem, ile benzyny jego bak może jeszcze pomieścić, bo benzyna jest w Szwajcarii tańsza niż we Włoszech. Na ten temat jest wymowny. Mnie ta sprawa bezgranicznie nudzi. Kelnerka jest prześliczna, trochę za wielka, no ale góralka... Mówi cudownie po francusku. Zawsze jestem na dobrą francuszczyznę wrażliwy. Innymi językami mogą ludzie mówić, jak chcą — jest to mi doskonale obojętne. *C'est pas une langue — ce sont des patois!*

Nie ma rady: musimy ruszać w dalszą drogę. Gdy podróżuję z mym bratem, myślę zawsze tylko o jednym: po co ten pośpiech? Można by myśleć, że co najmniej czeka nas audyencja u Chruszczowa. Tymczasem nikt i nic na nas nie czeka. Przypomina mi się, jak Knoll, daleki jakiś mój kuzyn z Ukrainy, mówił jakiemuś referentowi, który wywodził, że jakaś sprawa jest bardzo pilna: „Panie, wstąpiłem do MSZ-etu, a nie do straży pożarnej po to, by się nigdy nie spieszyć!” Dzisiaj i to się zmieniło (to znaczy MZS-ety, które wszystkie mają *le feu au derrière*). A automobiliści są gorsi od strażaków.

Wyjeżdżamy. Cudne widoki, słońce ciepłe, miękkie, delikatne, już południowe, a jeszcze pachnące rosą i listowiem. Zakos po zakosie. Serce mi zaczyna opadać, już czuję wysokość, już

ogarnia mnie ten strach typowy dla sercowników: a nuż serce mi nie wytrzyma? Zaciskam zęby, nic nie mówię, staram się myśleć o czymś innym. Powiadam sobie, że przecież ta przełęcz — to parę kwadransów, że potem zaraz zjazd, że już rano jedną taką przełęcz odrobiłem, i nic mi się nie stało... Rzeczywiście Simplon jest łagodniejsze, niższe od tego przekłętą Grimsel. Zaczynamy zjeżdżać. Po prawej stronie wioska Simplon. Miałem zamiar zbadać, jakim językiem mówi tamtejsza ludność: po francusku, po niemiecku, czy już po włosku. Ale nie, serce za mocno mi wali, krew bije wciąż do głowy, żyły na szyi mam naprężone tak, że mnie fizycznie bolą. Byle niżej, byle prędzej w dół...

Gondo, granica szwajcarska, Sławny wąż. Potem jeszcze kilka kilometrów i Isella, granica włoska, obok szyny kolei wychodzą z tunelu Simplon. Włoska straż graniczna, zawsze brudasy, i zawsze mają czegoś nieodprasowane spodnie. Kontrola paszportów — głupia formalność. Mój brat i moja bratowa wysiadają by napić się espresso. Lubię espresso, ale po przełęczu czuję się, jakbym wstawał po trzytygodniowej grypie i wysokiej gorączce. Serce mnie wciąż boli, czuję każdą żyłę, każdy staw, każdy mięsień. Chciałbym się położyć, wyciągnąć. Jestem zmęczony, jakbym całą tę drogę odbył piechotą. Nic nie mówię, bo boję się humorów mego brata. Chciałbym by ktoś mi współczuł i mnie pożałował. Co to za ofiara jechać do Włoch autem a nie koleją! Chwała Bogu przynajmniej, że nie samolotem. Tego już zupełnie znieść nie mogę.

Solski pisze: „To co widzę jest brzydkie i smutne... Przeludnienie widać tu gołym okiem”. Co do przeludnienia, to ma oczywiście rację. Ten wrzód hańbi Włochy, i jest u źródła wszystkich ich nieszczęść i katastrof, jako narodu i jako państwa (tak samo i Polski zresztą). W roku 1870 Włochy miały 18 milionów mieszkańców. Dość. Nie powinno być ich więcej nigdy więcej. Gdyby trzymały się tego poziomu, to byłyby dzisiaj równie bogate, jak Szwajcaria. A potęgę i wpływ państw mierzy się dzisiaj zamożnością.

Ale Solski nie ma racji pisząc, że trasa Isella — Domo-dossola jest „brzydka i smutna”. Dolina Ossoli nie jest równie malownicza, jak dolina Isarco czy Alto Adige, którymi się jedzie z Brenneru do Verony, ale jest też piękna: w Włoszech nic brzydkiego nie ma. A co do smutku? Włochy mają nieraz fragmenty smutne, smutkiem rzeczy wielkich i zmarłych. Jakżeż smutna jest Kampania rzymska, i ile by utraciła uroku bez tego smutku! Smutku nie odczuwało się nigdy w przedwojennej Rumunii — i może dlatego ten pejzaż był wulgarny, płaski. Całkowity brak melancholii, jak i całkowity brak uśmiechu jest dowo-

dem bezduszości: albowiem i smutek i radość muszą istnieć w naturze.

Solski pisze: „...najprzyjemniej jest jechać i patrzeć, patrzeć, patrzeć. Jest to dla mnie jedna z największych przyjemności w życiu, ale tylko wtedy, kiedy widzę coś po raz pierwszy, kiedy wszystko jest nowe”. Jak różni są ludzie! Mnie mężczy zawsze, gdy widzę coś nowego. Wówczas to jest pensum. Zachowuję się jak na lekcji. Chcę wszystko zapamiętać. Zaglądam do Bedekera. Niczego sobie nie daruję. Pocę się. Studiuję. Notuję w pamięci. Dopiero gdy widzę ten sam kościół, ten sam obraz, tę samą ulicę, ten sam pejzaż po raz drugi, trzeci, dwudziesty, odprężam się: biegnę jak na spotkanie starych znajomych. Za każdym razem światło, ten największy czarodziej świata, przyobleka wiernego przyjaciela w nowe szaty. Nawet przy takim ponownym spotkaniu potrzebuję nieraz dnia czy dwóch, by się żyć ponownie z tymi starymi znajomymi, a jak jakiegoś miasta, nie lubię, jak Londynu, to dopiero po paru miesiącach zaczynam dostrzegać jakiś miły zakątek, jakiś fragment czy szczegół, który mi coś mówi. Nie nęci mnie Majorka, której nie znam: raczej się jej boję: taki wysiłek, takie zmęczenie! Czy jeszcze stać mnie na to, czy moja wrażliwość jest jeszcze na tyle świeża, by móc sobie PRAWDZIWAJ Majorkę, nie tę pocztówkową, zdawkową, dla turystów przyswoić? Ale za to, jak tęsknię do tych starych kamieni, do zakątków, do zaułków, do drobiazgów, które są „moje”, bo ja tylko o nich pamiętam! Ta kawiarnia w Berchtesgaden o czterosylabowej nazwie z okrągłym wykuszem-balkonem z widokiem na śnieżny Watzman, na Frau Watzman i ich siedmioro dzieci — cała rodzina zamieniona przez czarnoksiężnika w skały za karę za chciwość i wyszukiwanie biednych górali — te dziewięć wierchołków, tonących w różowym zachodzie słońca... Czy też ta stara kamienica w Innsbrucku, z nędznym szewckim zakładem, na pierwszym piętrze której ulany jest z żelaza posąg Olbrzyma, faworyta któregoś z książąt Tyrolskich, co nosił uroczę przewżisko Friedrich mit der Leeren Tasche! Czy trattoria Nicco na weneckiej Fezzeria? Czy avenue de Longueuil w Maisons Laffitte, która powinaby znaleźć swego Balzaca? Czy pachnący bzem i benzyną plac przed St. Germain-des-Près i romańska wieża tego starego opactwa? Ależ to pół Europy chciałbym tak z powrotem odwiedzić, chciałem powiedzieć — ucałować: i tylko wówczas można się odprężyć, tylko wówczas się Europę zna, rozumie i kocha!

Solski dalej notuje: „Zatrzymujemy się w miejscowości, która się nazywa Pallanza. Nikt tu nie mówi po francusku ani po angielsku... W kawiarni kolacji nie ma. Są tylko gelati i wi-

no... O wpół do jedenastej kawiarnię zamykają. Bulwar nad jeziorem jest całkowicie pusty..." Przecieram oczy. Patrzę na datę: 21 lipca. No, no, Solski miał szczęście! Żeby po francusku nie mówiono nad Lago Maggiore, „nad jeziora włoskim brzegiem”!? To mi się nie zdarzyło. Żeby w kawiarni włoskiej nie było kolacji? Nie do wiary? Żeby kawiarnię we Włoszech zamykano o wpół do jedenastej wieczorem? To chyba trzeba było zwołać reporterów, by to dziwo opisali: a *scoop*, jak mówią Amerykanie. No a wreszcie bulwar pusty?! Gdzie? W Pallanzy? Kiedy? W lipcu? Nie, nie mogę sobie tego wyobrazić!

Byłem kilkakrotnie nad Lago Maggiore, które mniej lubię niż Gardę czy Como, ale które ma też szczegóły przepiękne, jak np. Eremo di Santa Caterina, wykuty w skale klasztor, z prześliczną renesansową loggią, do którego dojechać można tylko łódką. Ale w czasie mej podróży „śladami Solskiego” (choć na rok czy dwa przed nim) dojechalibyśmy do Stresy też nocą: w pewnym miejscu mój brat, z niewiadomych powodów, postanowił zawrócić. Bulwar niestety nie był pusty: zatarasował ruch w obie strony na dobry kwadrans. Na szczęście na samochodzie figurowały litery „G.B.”, więc dostało się nie nam, tułaczom, ale Anglikom. Ale jak! *Cornichon, salaud d'Anglais, porco d'Inghilterra*, pomijam bardziej soczyste. Ale mój brat, normalnie złoźnik, awanturujący się o byle głupstwo, w tej „potrzebie” odzyskał spokój i opanowanie Mohortów kresowych: i z rozmyślną powolnością manewrował swoim Austinem z równie zimną krwią, jak nasi przodkowie, gdy strzelali do „czerni” w czasie rzezi humańskiej (notabene, jeszcze za mego dzieciństwa okoliczni chłopcy śpiewali dumki „o panu Stempowskim”, regimentarzu koronnym, który stłumił rzeź w sposób ludzki i humanitarny, ograniczając się tylko do obcinania prawej ręki i lewej nogi wszystkim chłopom podejrzanym o korszachty z „rizunami”). Po tych uczonych manewrach taktyczno-strategicznych na bulwarze dotarliśmy do jakiegoś hotelu, gdzie na skutek dyplomatycznych talentów mego brata i konferencji, która trwała godzinę, „pension” nam obniżono o sto lirów od ryła: byłem głodny, jak pies, ale nie śmiałem protestować w czasie tych harców. Wreszcie dostaliśmy wybraną kolację, choć było po północy. Portier mówił po francusku, jak członek Akademii, ale rotwornie mnie ograbił przy zmianie franków francuskich, bo w Paryżu było przesilenie. De Gaulle się teraz na coś przydaje! Rano, była znowu kraksa, bo w nocy zajęchała jakaś dama z Paryża, i postawiła samochód tuż za „pierdziwózkim” mego brata: wszelkie poszukiwania okazały się daremne, baba widocznie pływała po jeziorze. Mój brat postanowił wyjechać: pasaż między płotem a samochodem był tak wąski, że cały hotel zleciał się oglądać te wyczyny, a gdy wreszcie po godzinie się tu udało, podziw był tak ogólny, że nawet widzowie zapomnieli

o wyciągnięciu łapy po napiwek: musiało się im to zdarzyć po raz pierwszy w życiu.

Solski dalej zauważa: „Mediolan nie ma żadnego swobodnego charakteru, żadnej własnej duszy... Katedra wygląda na zdjęciach ładniej i potężniej, niż w rzeczywistości”. Wszystko nieprawda. Ale pan sam zaznacza, panie Solski, że był pan w Mediolanie tylko dwie godziny. To tłumaczy, nie usprawiedliwia.

A więc po pierwsze, nigdzie na świecie nie widziałem tylu i to tak piekielnie ładnych kobiet, co w Mediolanie. Proszę się przejść wieczorem po Corso Vittorio Emanuele, za Duomo, pod arkadami! Jest na co się obracać! I jakie szykowne! I jakie figury! I ile gracji, ile wdzięku, jakie ruchy, jakie uśmiechy! No i co za kawalerowie u boku tych piękności: też jak z igły, smagli, czarni, szczupli, uśmiechnięci, z zębami jak u rekina, i wyglądający na milionerów, aktorów filmowych i książąt rzymskich w jednej osobie! Wiem, panie Solski: w naszym wieku... Ale popatrzeć zawsze warto, nieprawda?

Po wtóre Mediolan jest najbardziej zamerykanizowanym, najbardziej nowoczesnym miastem nie tylko we Włoszech, ale w całej Europie, i dla badania, jak bardzo Włochy potrafiły zasymilować, i ucywilizować amerykańskiego *sky-scraper* — nie ma jak Mediolan. Proszę obejrzeć np. drapacz Pirelli koło dworca głównego: ależ to poemat ze stali i betonu, to arcydzieło gustu, proporcji, lekkości, smaku. Właśnie dla przybyścia z Ameryki Mediolan powinien być pasjonujący, bo dowodzi, że Ameryka nie jest z konieczności skazana na brzydotę, wulgarność i płaskość, że z naszej cywilizacji maszynowej i utylitarnej można coś wykrzesać, jeśli się jest Europejczykiem i Włochem...

Po trzecie, gdy się patrzy na Duomo, trzeba po prostu pamiętać, że jego fasada, wykończona dopiero na rozkaz Napoleona, jest najbrzydsza. Jego strzelista igła z oświetloną w nocy Madonnią ma omal tyleż gracji co *flèche* paryskiej Sainte Chapelle, a olbrzymie okna, największe pono na świecie, mają grandeeznie niezapomnianą. Wnętrze jest jeszcze piękniejsze, półcień panujący w katedrze, witraże, pomniki, nagrobki — wszystko to jest poetyczne, strzeliste, wzniosłe. No, i jako recepcja gotyku Ile de France na ziemi włoskiej, Il Duomo jest zabytkiem najwyższej klasy.

Po czwarte, ileż wspomnień się łączy z świątynią opery, z przesławą La Scala. Dla mnie najwięcej powabu mają reminiscencje ze stendhalowskiej Pustelni Parmeńskiej. Ilekroć myślę o Mediolanie, przypominają mi się te strony tak pełne wdzięku, poezji i finezji, w których poznajemy hr. Mosca i jego amory z hr. Pietranera w lożach La Scala, i prawie że mi się zdaje, że widzę jeszcze ich cienie w foyer tego wielkiego teatru. Tak samo zdaje mi się, że z pulpitu dyryguje jeszcze Toscanini, a ze sceny rozlega się tenor Carusa czy soprano Patti. Czytałem niedawno jakiś szkic André Billy z Académie Goncourt, który śpiewa po-

chwały opery Garnier, czyli wielkiej opery paryskiej. *Eh bien, non.* Jak piosenka — to paryska, jak literatura — to francuska, jak impresjonizm — to Montmartre, ale jak opera, jak aria i jak tenor — to niech już będzie La Scala. Powie pan może: a Metropolitan? Nie, to jest South African Sherry, Spanish Champagne czy frak, uszyty w Berdyczowie. Naśladownictwo, kopia.



Po piąte. Zdaję sobie sprawę, ile jest nieświadomej wulgarności w zachwytach nad opatrzonymi, oklepanymi arcydziełami. Sam się trochę rumienię, gdy w korespondencji Krasieńskiego, skądinąd najkulturalniejszego z trzech wieszczów, czytam dytyramby na cześć Stanz Rafaela, bo „Szkoła Ateńska” i „Dysputa o Najświętszym Sakramencie” nie przypadają mi do gustu, bo Rafael wydaje mi się mdły, bo Krasieński w swej ekstazie jest z lekka płaski. Więc tak samo wysławianie „Ostatniej Wieczery” jest ryzykowne. A jednak! Co to za niezapomniane wrażenie! Wierzyć się nie chce, by obraz tak znany z milionów reprodukcji, z naśladownictw bez końca, z tematyki tak spowszedniałej, obraz wreszcie tak zniszczony i zwiotczały mógł tak wzruszyć, tak przejąć. W całym malarstwie religijnym na całym świecie nie znam i nie widziałem podobnego Chrystusa, i nie wierzę by istniał. I nie mogę sobie wyobrazić, jak postać Chrystusa Pana mogła wyglądać, gdy „Ostatnia Wieczera” błyszczała całą świetnością kolorytu Giocondy. Bo właśnie cała poezja, cały smutek, cała mistyka twarzy Pana może wypływają stąd, że tej twarzy trzeba się domyślać. Nie zapomnę nigdy tego refektarza, tych ubogich wapnem bielonych, od bomb popękanych ścian, i na tym surowym, ascetycznym tle — tego obrazu i jego spokoju, jego harmonii, jego ciszy, jest ta sama renesansowa kompozycja, ta sama doskonałość techniczna co u Rafaela, jest to samo bogactwo szat, co u Wenecjan, jest ten sam zbytek w dekoracji i szczegółach, co u współczesnych mistrzów — a jednak jest mistyka prymitywów, jest poezja Fra Lippi, jest naiwność Angelico, jest powaga Giotto. I na tle tych pałacowych brokatów ta jasna, smutna, niezemska głowa Pana, jakby malowana przez innego malarza, jakby nie dzieło pędzla, a natchnienia! Nie, warto i trzeba zatrzymać się w Mediolanie sto razy, tysiąc razy, byle by odwiedzić Cenacolo Vinciano, przy kościele Santa Maria delle Grazie. Współczuję tym, co malarstwa nie lubią, nie rozumieją: są ślepi, są głusi, są kastratami i eunuchami, są kalekami. Jak ktoś nie lubi malarstwa nie powinien jechać do Włoch, lecz siedzieć w Bronx, czy koło Loop, czy wywczaszyć spędzać na Coney Island.



Rzym. Solski zauważa: „Domy są złote”. Przysięgłbym że czerwone. Gdybym Rzymu nie znał, myślałem, że jest biały —

jak Pisa, jak pewne partie Genui nad morzem, wzdłuż nowych bulwarów. Byłem zdumiony jego czerwienią, czasem rdzawą. Żółta jest Austria, Salzburg przede wszystkim. Koloryt decyduje o fizjonomii kraju. Gdy kraje anglosaskie nabiorą koloru innego, jak sadzy, jak szarzyny — będzie można w nich mieszkać, będzie można mówić o cywilizacji tych ludów.

Solski powiada, że Palazzo Venezia, rezydencja Mussoliniego, jest „surowy, rządzący, w jego kształcie jest rozkaz i groźba...” Pamiętam ten pałac sprzed wojny, gdy rezydował w nim faszystowski potwór, jeszcze gorszy, niż wszyscy jego niedołężni i jeszcze bardziej niekulturalni naśladowcy w Środkowej Europie, z Warszawą, Kownem, Bukaresztem włącznie. Sam oglądałem tego syfilitycznego blazna, gdy z tego balkonu wrzeszczał do bezrobotnych, przebranych dla niepoznaki w czarne koszule. Ohydny widok! Dzisiaj, gdy patrzę na Pałac Wenecki cieszę się naprzód, że diabli wzięli Mussoliniego, faszyzm, militarizm, rządy autorytatywne, prestiżowość i cały ten blichtr, cały ten kretyzm międzywojnia, najbardziej haniebnego okresu w dziejach nowożytnych. Gdy zniknie ten drugi, czerwony faszyzm — to może wreszcie można będzie żyć na świecie. Ale chwala Bogu, że choć ten czarny diabli wzięli. Więc Palazzo Venezia wydaje mi się dzisiaj wesóły, i pogodny, i szczęśliwy: i mam ochotę klaskać, gdy widzę jego czerwone mury.

Palazzo Venezia było siedzibą ambasadorów weneckich przy Stolicy św., a później ambasady austriackiej przy Watykanie. Tam zaczynała swą karierę Aleksander Skrzyński. Znałem go za dawnych lat; był to pierwszy „mąż stanu”, którego osobiście poznałem, i dotąd mnie interesuje. Dziwna mieszanina bufonerii, kabotynizmu, gogusiowości — i jednak czegoś współczesnego, pewnych zasad, pewnych przekonań, pewnej ambicji, która nie była tylko niclezenym samolubstwem. Nieraz, podnosząc oczy na ten pałac, zastanawiam się, gdzie też Skrzyński urzędował. Piękne są wspaniałe sale i schody pałacu, choć dość wulgarnie przez Mussa odnowione. Po czym odwracając się od pałacu, zawsze zdumiewam się brzydota straszego pomnika Vittoria Emmanuel, oraz gmachu Assicurazione, który stanowi pendant do Palazzo Venezia. A potem rzucam okiem na lewo, i rozmarzam się nad pałacem na rogu Corso, gdzie zmarła, w 15 lat po synu, Madame Mère, stara pani Laetizia Ramolino Bonaparte. Jak ponure jest podwórce tego pałacu, gdzie tyle razy sędziwa dama w czarnej mantylli musiała wysiadać z staromodnej karety! *A probos*: pisząc o Parmie, Solski mówi, że księstwo to zostało oddane jako dożywocie Marii Luizie, „cesarzowej austriackiej”. No jednak!

Solski zaznacza, że Piazza Esedra jest „najpiękniejszym ze wszystkich rzymskich placów”. *Cher ami*, jak człowiek tak finezyjny jak Pan może takie rzeczy pisać. Piazza Esedra jest bardzo uduanym placem 19-wiecznym, lepszym od Rinców wiekańskich, lepszym od paryskiej Place de l'Opéra, ale w Rzymie? Nie, to jednak Pan chyba nie oglądał kolonady Berniniego, która

ma harmonię niezrównaną, i Piazza del Popolo, przepyszną w harmonii i kompozycji, i Piazza Navone, z jej kształtem Cyрку Rzymskiego, i Piazza Colonna z kolumną Marka Aurelego i palacem Chigi, i placu przed Kwirynałem, i placu na Kapitolu, narysowanym przez samego Michała Anioła, i placu przed Panteonem, i tego przed Santa Maria sopra Minerva, i stu innych. *Cher ami*, niech Pan koniecznie odwiedzi Rzym raz jeszcze! (Nawet jeżeli Pan nie chce odwiedzać muzeów i galerii, choć uważam, że to powód wystarczający dla wydania na delikwentów wyroku śmierci, tak jak Dr. Grydzewski uważa, że wydawcy książek bez indeksu powinni być spaleni na stosie!).

Solski przyznaje się, że „Colosseum nie wywarło na nim żadnego wrażenia: źle stoi, bez żadnego tła ani ram, dokoła są nędzne, brzydkie ulice i sklepiki, i zgrzytają na zakrętach tramwaje”. Co może Ameryka zrobić z inteligentnego i utalentowanego człowieka! Za karę, jakiś trybunał europejski powinien Solskiego skazać na dziesięć lat pobytu w cieniu Colosseum, bez prawa przenoszenia się do innej dzielnicy! Ależ drogi Panie, gdzie Pan miał oczy, na co Pan patrzył, czy może Pan w tym dniu cierpiał na ból zębów, jak nasz biedny, kochany Chruszczow w czasie wizyty Macmillana?! Zdradzę Panu sekret: niech pan pójdzie piechotą do Forum Trajana, o zachodzie słońca, kiedy już Palatyn jest zupełnie czarny, a białe Colosseum srebrzy się na tym czarnym tle i na żarżowionych chmurkach na niebie, i niech pan zobaczy jak bajkowo, feerycznie mieszają się („blend” po angielsku) te rzymskie ruiny i średniowieczne zabudówki, i baszty, i cyprysy, i rokokowe kościółki na zieliszczach Forum, i nowoczesna arteria Via del Impero, i strumień samochodów, i budzące się światła w oknach burżuazyjnych domów na dalekich przedmieściach. Cały sekret Rzymu, cały jego urok, to właśnie ten „blend”: te trzy tysiące lat, które się nie kłócą, ale jakby poprzez wieki ręce sobie spletają, wspólnie zadumane nad nicością ludzkich ambicji. W Rzymie czuje się, jak niedzie, powiew wieczności. Po polsku o Rzymie najpięknie pisał Krasński, a dzisiaj pisać o nim może tylko Hostowiec. My, dziennikarze, jesteśmy na to zbyt niedokształceni, zbyt trywialni, za mało skąpani w łacinie, w kulturze klasycznej, która w Rzymie jest silniejsza od Chrystianizmu, choć Wieczne Miasto stało się też stolicą Chrześcijaństwa.

◆
Szczęśliwszą rękę czy pióro ma Solski przy Wenecji. Pisze, że sprawia „wrażenie niesamowite, wrażenie niemożliwości. Przypomina rysunek następujący: mały chłopak patrzy w ogrodzie zoologicznym na żyrafę, i pyta ojca, czy takie zwierzę naprawdę istnieje”.

Tadeusz Nowakowski pisał do mnie kiedyś kartkę z Wenecji, że nie widzi, jak można żyć „w tej dekoracji teatralnej”. Niestety nie napisał tej słusznej uwagi w żadnej nowelce, bo

woli marnować wielki i wrodzony talent na opisywanie atrocj-tasów, do czego się nie nadaje — on, który wywodzi się z poczciwej, mieszczańskiej, dobrotliwej, krotochwilnej i pogodnej tradycji Prusa. T. Nowakowski nie jest J. Mackiewiczem, dla którego opisy rozpruwania wnętrzości, batożenia do śmierci, zdzierania pasów są chlebem powszednim. Bydgoszcz — to kultura Biedermayer; a z Wilna było jednak zawsze bliżej do tego Stalina *avant le mot*, to znaczy Iwana Groźnego.

◆
Tak, Solski ma lepsze wycucie Wenecji niż Rzymu. Pisze: „Aktorami somnambulicznych zjaw są weneckie ulice, labiryntowe, jakby międzyskalne, wiodące do placików o formie listków koniczyny... Czasami te kamienne drogi przecina kanał i wąski most, z którego widać pałace po obu stronach kanału”. To wszystko prawda. Tylko o wiele więcej. Bo Wenecja — to te puste uliczki, z których można zaglądać w mroczne, zaszczurzone czeluście wilgotnych suteryn, lochów, nor, i lśniące witryny luksusowych sklepów na Merceria, i kute w żelazie latarnie, i Madonniny, słodko uśmiechnięte w niszach nad migającym niebieskawym płomykiem lampy czy świecy, i pałace dumające o minionej świetności, i plusk kanałów, i mosty marmurowe, i kościoły głuche, poważne i mroczne. To gwar i rojność Riva dei Schiavoni w południe, i pusty plac św. Marka, przegladający się w postrzępionych chmurach w noc wigilijną... To koncert u Laveny czy Floriana, którego miękkie tony płyną aż po San Giorgio Maggiore, aż po Giudeccę i Salute, aż po dalekie Lido z jego nuworiszowskim przepychem. To pałac Dożów z jego butą i pychą, z jego podworcem w którym kontrastują nagie mury gotyku z przepychem renesansowych marmurów, i z tym napisem u szczytu Schodów Gigantów, u wejścia do Scala d'Oro, napisem, który mnie zawsze napęla dumą: oto w tym pałacu, odwiedzanym przez tylu władców jedna, jedyna tylko tablica wspomina, że pałac ten odwiedzał „Henricus, Galliae ac Poloniae Rex...”

◆
Podobno specjaliści obliczyli, że Wenecja może istnieć tylko, w najlepszym wypadku, trzysta lat: potem nieodwołalnie pochłona ją fala. Cieszę się, że do tego strasznego momentu nie dożyję. Czyż świat, w którym by nie było Wenecji, mógłby być światem, w którym żyć warto? Jak nie zna życia i jego uroków, kto nie zna Paryża, tak piękna, doskonałego, skończonego, niezmiennego, skostniałego w swej doskonałości piękna nie zna kto nie był w Wenecji.

I może zakończę bedekerowskimi wskazówkami: może jakiś inny Solski, zjeżdżając po raz pierwszy do Wenecji wspomni te rady. Na placu św. Marka, stojąc tyłem do bazyliki, trzeba zwrócić uwagę na różnicę między kolumnami prokuratorii po

prawej i po lewej stronie: na prawo, starsze, mają całą powieśność, lekkość „quattrocento”, na lewo, o sto lat późniejsze, już są grubsze, sztynniejsze, już nabierają paradności, sztywności późnego renesansu, który w końcu się wyrodził w pompie stylu Louis XIV. Zamiast oglądać konie fasady św. Marka, o ileż lepiej się przypatrzeć jej fasadzie południowej, tej która wznosi się nad Piazzetta. Przed tą fasadą cokół czerwony: z tego cokołu herold Republiki (czy to z Wenecji zapożyczyliśmy przymiotnik „Najjaśniejszej”?) proklamował ludowi nowe ustawy. Obok dwie inne kolumny bawią oko orientalnymi arabeskami: czy Saracenów, czy jeszcze z Niniwy lub Babilonu? Dalej sławnie a tajemnicze czekoladowe figurki: z epoki Krzyżowców czy też z Abisynii, z czasów legendarnej królowej Saby? *Qui lo sa?* A na szczycie tej fasady, ołtarzyk Matki Boskiej, przedstawionej bizantyjską mozaiką: za czasów Republiki, co wieczór zapalano przed tą świętą ikoną wielką świecę: ale gdy w ciągu nocy miała się odbyć w podziemiach Pałacu Dożów, w strasznych „pozzi”, tych wilgotnych kaszotach egzekucja — wówczas zapalano przed Matką Boską *un cierge noir*, tak by wierni mogli się modlić za duszę tego, co miał umrzeć w nocy... Ile poezji w tych dawnych zwyczajach, i ile respektu przed śmiercią.

A dalej: patrzcie na kolumnienki galerii pierwszego piętra pałacu Dożów: wszystkie są białe, tylko dwie żółte, nie w środku, ale bliżej głównego wejścia, Porta della Carta, ozdobionego przez braci Bon marmurową statuaży doży Loredana. Otóż w Wenecji formą kary śmierci było uduszenie: do kaszotu schodził w nocy kat, i palcami dusił szyję skazańca: dla szlachty używał jedwabnego sznurka, który zaciskał aż skazaniec ducha wyzionął — podobno to było jednak przyjemniej. Po czym trupa wywożono czarną gondolą bocznym kanałem i rzucano go na dno morza. Ale gdy przestępca był zdrajcą stanu, trupa jego wieszano za nogi, to znaczy głową do dołu właśnie między tymi dwoma żółtymi kolumnami: i jak silna była ta tradycja we Włoszech przekonał się wszyscy, gdy w Mediolanie w ten sposób właśnie zbeszczeszczono zwłoki Mussoliniego i sympatycznej, bo wiernej jego kochanki, Claretty Petacci.

Drogi panie Solski, żałuję, że nie był Pana przewodnikiem we Włoszech. Niech pan tam raz jeszcze wróci: warto. I niech pan rodakom amerykańskim tę podróż gorąco doradza. Może na ziemi italskiej, wśród klasycznych pejzaży zrozumieją, że serce świata bije nadal w Europie, że MY jesteśmy strażnikami tego, co się nazywa cywilizacją i kulturą, że poza Europą jest tylko barbaria...

W. A. ZBYSZEWSKI

Podziemne przejście

Był to mój pierwszy od wielu lat przyjazd do W. Moja ostatnia bytność w tym małym podkarpackim miasteczku sięga niepamiętnych czasów. Rodzice mieszkali tu przez kilka lat; spędzałem więc w W. wakacje aż do chwili, gdy ojciec mój został przeniesiony do sądu apelacyjnego w Tarnowie. Ostatni raz byłem tutaj na rok przed maturą, a potem — kontakt mój z tym miasteczkiem przerwał się zupełnie. Cóż mi właściwie z nim łączyło? Trochę wspomnień z tego szczęśliwego okresu, gdy nie weszło się jeszcze całkowicie w życie, wspomnień o niedojrzałym smaku pierwszego pocałunku i pierwszych uniesień, gdy słowo miłość oznaczało dążenie do nieosiągalnego ideału, gdy szukało się Monsalwatu i St. Graala, deklamowało „Ode do młodości”, ale jeszcze chętniej strofy Rydla lub Tetmajera.

„...o miłości, o kochaniu...
Słyszysz Haniu?”

Wszystko to było zbyt dziecinne, by mogło trwać długo. Moi ówczesni przyjaciele szybko rozprószyli się po świecie, przedmioty idealnej miłości niemniej szybko powychodziły za mąż — z dawnych znajomych prawie nikt nie pozostał. Nic więc dziwnego, że przez tyle lat — nigdy tu nie zjazałem. Trzeba było dopiero szczęśliwego przypadku — miasteczko stało się pierwszym etapem kariery nauczycielskiej siostry — bym wrócił w te strony. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że od mego wyjazdu nic się nie zmieniło. Ta sama figura św. Floriana obok studni, ten sam ratusz z olbrzymim, kamiennym gankiem, te same ogródki przed domami i sznury kasztanów wzdłuż ulicy... Miało się wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu i nie zrobił kroku naprzód. Nawet ludzie, których znałem — prawie się nie zmienili. Siwa bródka burmistrza zaledwie nieco się przerzedziła, sędzia Cieplicki nadal nerwowo szarpał swe bokobrody à la

cesarz Franciszek Józef, na wygiętej jak średniowieczna tarcza blasze umieszczonej przed wejściem do fryzjera — wciąż figurował napis: Friseur — Coiffeur, a żona balwierza, z namaszczaniem obnosiła te same zmarszczki i tę samą perukę. Trochę nieznanych twarzy, łukowa lampa nieco lepiej oświetlała rynek — i to wszystko. To wszystko zmieścić można prawie w jednej dłoni — tak jest małe i niewiele znaczące.

Pierwszy wieczór spędziłem w szynku Rosenzweiga. Nie dlatego, bym odczuwał potrzebę alkoholu ale — w poszukiwaniu towarzystwa. Dla odnalezienia dawnych znajomych. Bo po kolacji, po rozmowie z siostrą i szwagrem — co robić z resztą wieczoru? Coś mi wypędzalo z domu, chciałem być sam, wrócić do wspomnień, cofnąć się o kilkanaście lat wstecz, by wywołać dawno porzucony wycinek życia.

Ale u Rosenzweiga było pusto. Zaledwie kilka nieznanych osób. Stary Rosenzweig podał mi kufel okocimskiego i po zamienieniu paru słów nie wykazywał chęci kontynuowania rozmowy. Miałem już wyjść, gdy otwarły się drzwi i wszedł burmistrz. Usiadł przy sąsiednim stoliku i nie wiadomo kiedy, po wypowiedzeniu kilku zdawkowych uwag o pogodzie, przeszliśmy do bardziej ciekawych tematów. Było to dość dziwne, bo dawniej nigdy nie miałem sposobności do porozmawiania z nim dłużej, może dlatego, że dzieliła nas duża różnica wieku, ale teraz nie wyczuwało się tego, interesowały nas te same tematy...

— Niewiele się tu zmieniło — burmistrz jakby odgadł moje myśli — znalazł pan miasteczko w tym samym stanie, w jakim pan je opuścił. Na rynku przybyła łukowa lampa, ale to wszystko. Słowo postęp tu nie istnieje.

— Tak, spodziewałem się większych zmian — przyznałem bez trudu. — Miasteczko żyje, jakby zatrzymane w czasie.

— Słusznie pan to określił. Słusznie. A dzieje się to mimo wysiłków, jakich nie szczędziłem w ciągu lat, aby wyjść z martwego punktu. Chciałem przełamać opieszalą senność, ale wszystko rozbiło się o brak funduszy. A przede wszystkim o brak woli mieszkańców. Życie płynie obok nas, a u nas, tutaj — wciąż nic nowego. Ludzie nie chcą, by cokolwiek się zmieniło. Jest im dobrze tak jak jest, chociaż jest to po prostu nędza, odmawianie sobie najbardziej niezbędnych rzeczy... Niechęć do zmiany, do uczynienia jakiegokolwiek wysiłku, nie ma żadnego dynamizmu, ani krzty energii drzemającej w formie potencjalnej... po prostu — grzęzawisko, w które coraz bardziej się zagłębia. Kiedyś, całkowicie nas ono pochłonie. Widząc ten brak reakcji — zaczynam już w ogóle tracić wiarę w możliwość zmiany.

— Ale... jeśli im z tym dobrze... czy warto czynić wysiłki, by uszczęśliwić ludzi wbrew ich woli? Czy na pewno — postęp materialny przyniesie im coś lepszego, czy będą się czuli bardziej zadowoleni niż teraz? Może właśnie ten brak potrzeb daje im szczęście...

— Ależ nie można żyć w średniowieczu! — przerwał burmistrz. — Ta atmosfera mnie przytłacza. Z tego musi się jakoś

wyjść! Miasteczko ma przeszłość historyczną... To bardzo pięknie. Ze względów turystycznych zamek jest niewątpliwie elementem pozytywnym, ale czasem zadaje sobie pytanie, czy nie ma on znaczenia symbolu, czy jego atmosfera nie wpływa na nas wszystkich. Chwilami mam wrażenie, że widzę szeregi średniowiecznych postaci wychodzących z bram zamku, by pilnować naszych domów, aby się nic nie zmieniło. Cięży on nad nami jak przekleństwo... Trochę tutaj duszno, może wyjdziemy zaczerpnąć świeżego powietrza?

Istotnie, atmosfera szynku, przesycona wyziewami piwa i wódki, nie była przyjemna. Chętnie przyjąłem propozycję burmistrza. Była piękna noc księżycowa i jak przed laty, jak zawsze w piątek wieczorem, w wilię szabasu, połowa mieszkańców znajdowała się na ulicach używając wieczornej przechadzki.

Burmistrz był bardzo wymowny i — jak się spodziewałem — po ogólnej ekspozycji rozwijał szczegółowo pewne punkty. Nie omięzło mnie więc sprawozdanie z ostatniego posiedzenia rady miejskiej, utyskiwania na jej członków, skargi na brak funduszy i na niemożność zainteresowania władz losami miasteczka.

— Czy zna pan legendę związaną z tą kolumną? — zapytał burmistrz, a na moją przeczącą odpowiedź podjął dalej: jak pan sobie przypomina istnieją jeszcze dwie inne, takie same kolumny. Jedna w Bukowcu, w głębi lasu, obok olbrzymich muren, które tam morze wyrzuciło przed tysiącami lat, a druga — na Dzikich Polach. Jedna od drugiej odległa jest od półtora do dwóch kilometrów. Napisy są zupełnie nieczytelne i nie ma żadnego autentycznego dokumentu wyjaśniającego ich pochodzenie. Dlatego musimy się uciec do legendy. Otóż według tego, co opowiadają starzy mieszkańcy miasta, przed laty, w siedemnastym wieku, w jednej z baszt zamku było zamkniętych trzech więźniów tureckich, pojmanych przez wojska książęce. Jeden z więźniów, specjalista od fortifikacji, zaproponował towarzyszom ucieczkę przy pomocy skonstruowanych przez siebie skrzydeł, co rozwolilo na przedostanie się tą drogą poza warowne mury zamku.

— Było to coś w rodzaju legendy o Ikarze w swoistym wydaniu?

— Tak — przyznał burmistrz — choć skrzydła nie były z wosku i nie stopiały w słońcu. Ale były one zbudowane prawdopodobnie z niezbyt wytrzymałego materiału. Dlatego zbiegowie ponieśli śmierć, a kolumny znaczą miejsca, w których się zabili. Byli to Turcy, a więc niewierni. Tym się tłumaczy brak krzyża na szczycie. Ale jest jeszcze inna legenda, że więźniowie uciekli przez podziemne przejście prowadzące z zamku, które kończy się obok tych kolumn. Są tacy, którzy twierdzą, że przez nacisk ręki można przesunąć część podstawy kolumny i otworzyć wejście do podziemia.

— A czy udało się komu je odnaleźć? Przecież to można zbadać... Czy nie próbował pan nigdy, panie burmistrzu...

— Gdy byłem młody, oczywiście nie mogłem pozostać obojętny w stosunku do tej romantycznej strony legendy. Nie osiągnąłem jednak żadnych wyników. Zresztą wiele osób usiłowało przeniknąć tę tajemnicę, byli nawet tacy, którzy dosłownie stosowali różne magiczne formuły, zalecane przez wyobraźnię ludową, a więc zaklęcia, zmieniające się zależnie od różnych faz księżyca itp. — wszystko bezskutecznie. Podobno księżyc powinien się znajdować w pierwszej kwadrze. Tak, jutro byłby znów dzień sprzyjający badaczom... To dziwne, nie wierzę w przesady, ale jest w tym coś niewytłumaczalnego. Ten zamek jest jak bliska osoba i ciągle przewija się przez moje życie.

Zamieniliśmy jeszcze kilka słów na zdawkowe tematy. Burmistrz był już w wieku, gdy ma się skłonność do wczesnego udawania się na spoczynek. Dlatego wkrótce pożegnał się ze mną, a i ja wróciłem też prosto do domu. Bo cóż innego mogłem zrobić? Chyba nie marzyć do księżyca i wdychać do dawnych ideałów miłosnych! Wyrosłem już z tego i jestem zbyt trzeźwy, by się niepotrzebnie rozmazgajać! Położyłem się więc do łóżka i po dokończeniu czytania gazety — usnąłem bez trudu.

Następny dzień zeszedł na błahostkach, które nie zasługują na zanotowanie. Wieczorem, złożyła się partia bridge'a, która skończyła się wczesnie. Podobnie jak poprzedniego wieczoru odczułem potrzebę zacerpnięcia świeżego powietrza. Wyszłem więc do miasta, a raczej za miasto i przypadkowo znalazłem się niedaleko cmentarza, obok tureckiej kolumny. To kolumna Nr 3 — pomyślałem a w tym momencie zaczął bić zegar na wieży ratuszowej i rozległo się przeciągłe gwizdanie stróża nocnego. Północ. Przypomniało mi się opowiadanie burmistrza. Można by spróbować. Oczywiście nic z tego nie będzie, ale nikogo nie ma w pobliżu. Nie narażę się więc na śmieszność. Zbliżyłem się do kolumny i przy świetle elektrycznej latarki, którą zabrałem z sobą, by wracając do domu nie potknąć się w nieoświetlonym korytarzu, zacząłem dotykać ręką wypukłości w kamieniu. Robiłem to systematycznie znacząc ołówkiem punkt wyjścia, aby żadnego miejsca nie pominąć. Jeśli jest coś prawdziwego w tym co mówi legenda — jedynym sposobem przekonania się będzie całkowite zbadanie kolumny punkt po punkcie. Ale to wszystko jest oczywiście bzdurą! Austriackie gadanie! — jak się mówiło w czasach gimnazjalnych. Nie ma w tym ani słowa prawdy. W miarę posuwania się naprzód w mych inwenstygacjach i powiększania zbadanej przestrzeni — umacniałem się coraz bardziej w tym przekonaniu, ale mimo to nie chciałem porzucić rozpoczętego zadania. Nagle, w momencie gdy zaczynałem już tracić resztki nadziei, wydało mi się, że jedno miejsce podstawy kolumny nieco odmiennie reaguje pod naciskiem palców. Przwidzenie — pomyślałem — ale trzeba jednak mieć pewność. Może jest w tym coś prawdy? Byłoby zresztą naturalne, gdyby istniało jakieś podziemne przejście z zamku do miasta. Zacząłem więc pod różnymi kątami coraz to mocniej naciskać to miejsce. W

pewnej chwili, wydało mi się, że istotnie zaczyna się coś uginać pod palcami i po dokładnym obejrzeniu przy świetle latarki stwierdziłem, że jest ono bardziej wklęsłe. Ponowiłem więc próby i wyteżyłem wszystkie siły. Usłyszałem najpierw jakiś głuchy szcęk, a potem płyta kamienna zaczęła się usuwać otwierając wejście do wnętrza.

Skierowałem w głąb światła elektrycznej latarki. Zobaczyłem mroczny korytarz, a raczej — kilkanaście schodów prowadzących dwa metry niżej, gdzie — jak się zdaje — zaczynał się właściwy korytarz, o ile oczywiście on w ogóle istnieje. Nie jestem przesądny i chęć bliższego zbadania tego przejścia obudziła się we mnie z nieprzepartą siłą. Cóż zresztą ryzykowałem? Powietrze dochodzące z podziemia było świeże, a baterię do mej latarki kupiłem niedawno; teoretycznie mam więc światła na sześć godzin. Jeśli prawdą jest co mówi burmistrz za dziesięć minut — powinienem znaleźć się na zamku. Dlaczego więc nie spróbować?

Zacząłem ostrożnie schodzić w głąb. Wkrótce zobaczyłem właściwy korytarz podziemny. Był on dostatecznie wysoki, by normalnie zbudowany mężczyzna mógł wejść wyprostowany. Byłem już na przedostatnim stopniu, gdy nagle usłyszałem za sobą głuchy odgłos. To kamienna płyta obróciła się wokół zawiasów i zamknęła wejście. Ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie. Próbowalem czy nie ustąpi pod naciskiem palców. Nie. Należy więc wrócić na miejsce, gdzie się znajdowałem w chwili gdy zatrzasnęła się płyta. Może tam znajduje się ukryta sprężyna, która wprawia w ruch cały mechanizm? Oczywiście, nie zdając sobie sprawy musiałem ją nacisnąć nogą i to spowodowało katastrofę. Ale i tutaj wszelkie próby okazały się daremne. Byłem więźniem! I nie wiadomo, czy uda mi się kiedykolwiek wyjść z tego labiryntu. Może kiedyś po latach, lub nawet po wiekach, odnajdą tylko mój kościotrup, buty, złoty zegarek i elektryczną latarkę... Usiadłem na schodach i oparłem głowę na dłoniach.

Nie wiem, jak długo trwał ten okres prostracji, ale nagle obudziła się we mnie energia i chęć walki. Mam jeszcze światła tylko na kilka godzin — nie wolno mi więc tracić czasu. Trzeba zbadać, co znajduje się na końcu korytarza. Ruszyłem więc naprzód. Ale wkrótce okazało się, że jest on mniej wysoki, niż to zrazu przypuszczałem. Trzeba więc było się zgiąć, co znacznie opóźniało posuwanie się naprzód. Podtrzymujące go łuki kamienne były jednak w dobrym stanie, a ściany nie obsuwały się. Może nie znajdę się więc wobec usypiska zagradzającego drogę... Szedłem wolno przy świetle elektrycznej latarki rozglądając się wokoło czy nie natrafię na coś niepokojącego. W pewnym momencie zdawało mi się, że słyszę odgłos płynącej wody, ale w podziemiu nie było jej widać. Może przechodzę teraz pod rzeczką znajdującą się obok murów zamku? Strop i ściany wydawały się tutaj nieco bardziej wilgotne. Po pewnym czasie doszedłem do miejsca, w którym drewniane ciężkie drzwi za-

mykały przejście. Pod naciskiem ręki ustąpiły bez trudności i znalazłem się w podziemnej komnacie, przypominającej raczej celę więzienną, bo nie widać było żadnego wyjścia, ani otworu przepuszczającego światło lub powietrze. Do ścian przymocowane były klamry, na wysokości rąk i nóg człowieka. U jednej z klamr zwiisał gruby zarzewiały łańcuch. Tutaj przykuwano więźniów — pomyślałem — cela więzienna... może nawet — sala tortur? Pod ścianą, naprzeciwko, obok glinianego dzbanka na wodę — dwa szkielety. Nie mam żadnych kwalifikacyj do badań w tej dziedzinie i anatomia była zawsze moją słabą stroną, ale miałem wrażenie, że jeden z nich był szkieletem kobiety, o czym świadczyły rozmiary miednicy i krótkie kości nóg, natomiast drugi — prawdopodobnie należał do dziecka. Przypomniała mi się legenda o pięknej Halszce, nałożnicy królewskiej, która znikła po wizycie wojewody, i to co zachowało się w ustnej tradycji o małym murzynku-karle, faworycie księżny, która była żoną właściciela zamku w XVII wieku. Byłem może wobec faktów popierających prawdziwość tych opowieści. Osoby, które tu wtrącono — nigdy stąd nie wyszły. Oto, co po nich pozostało. I może mnie także czeka ten los. Włosy zjeżyły mi się na głowie i nagle opadł mię strach. Strach tak mocny i wszystko obejmujący, że wykluczał jakiegokolwiek rozumowanie. Rzuciłem się do przeciwległej ściany i jak szalenię zacząłem bić pięściami w mur.

Reakcja bezsensowne — okazują się czasem najlepsze. Gdyby rozważać sprawę z punktu widzenia zdrowego rozsądku — powinno się to było skończyć na obdrapaniu i pokrwawieniu ręki. Ale dzięki przypadkowi musiałem prawdopodobnie uderzyć pięścią w ukrytą sprężynę, bo nagle uchyliły się drzwi otwierając przejście. Najpierw — byłem przez chwilę oślepiony przez światło księżyca. Potem, gdy oczy przyzwyczaiły się nieco — rzuciłem się naprzód i zatrzasnąłem za sobą drzwi, prawdopodobnie aby jak najszybciej oddzielić się od szkieletów leżących w sąsiedniej celi, bo nie potrafiłbym znaleźć rozumnego wytłumaczenia tej reakcji.

Byłem zapewne w jednej z sal najniższej kondygnacji w zewnętrznych murach, gdzie dawniej znajdowały się stajnie i pomieszczenia dla służby. Były one oddzielone od właściwego zamku wielkim, otaczającym go w koło dziedzińcem. Szybko wyszedłem z komnaty i skierowałem się do wyjścia, gdyż chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu. Byłem ogromnie zmęczony i odczuwałem potrzebę wypoczynku. Ale gdy doszedłem do bramy — okazało się, że jest zamknięta. Znajdujące się obok mieszkanie dozorczy było puste i nikt nie odpowiadał na moje pukania.

Pamiętam z czasów mej młodości, gdzie znajduje się wyjście na mur. Szybko wdrapałem się na basztę narożną broniącą bramę od strony drogi, aby zobaczyć czy jest możliwe spuszczenie się z muru. Jak przewidywałem, było zbyt wysoko. Nawet cyrkowy akrobata nie mógłby dokonać tego skoku! W normal-

nych warunkach byłbym się udał do wewnętrznej, najlepiej zachowanej części zamku, aby spędzić tam resztę nocy, ale po pobycie w podziemnym tunelu miałem nieodparty wstręt do wszystkiego, co było zamknięte, wytworzyła się we mnie swoista klaustrofobia i wolałem pozostać na świeżym powietrzu, chociaż pod koniec lata noce bywały już chłodne. Przez małą furtkę wyszedłem więc na inną część murów zewnętrznych, skąd rozciągał się widok na całe miasteczko. W dole, znajdowały się szerokie na kilka metrów fosy, które były dawniej wypełnione wodą i chroniły mieszkańców zamku przed niespodzianym atakiem. Stary, zwodzony most został jednak zastąpiony przez zwyżczajne przejście z kamienną balustradą. Na murach, zamiast dachu — znajdował się gruby pokład ziemi, na której rosły krzewy i stare, stuletnie lipy. Gdy byłem jeszcze uczniem gimnazjalnym często spędzałem tu całe popołudnia z książką w ręku. Słowacki, poeci Młodej Polski, Staff, Żuławski, przekłady z Rimbauda. Czytało się wtedy wiersze, niejednokrotnie recytowało je lub uczyło się ich na pamięć... Moim ulubionym miejscem była ławka z darni pod lipą. Była to linia podziału wód: z jednej strony widok na miasteczko i na góry, z drugiej — na wewnętrzny dziedzińiec zamku. I tu niewiele się zmieniło — pomyślałem siadając na ławce i opierając się plecami o drzewo. Te same mury, te same długie działa zagwożdżone i niezdadne do użytku od niepamiętnych czasów. Może spadło trochę tynku i obsunęło się kilka schodów prowadzących do kaplicy, zakryła je ziemia, ale rosnący obok krzew kaliny pozostał bez zmiany. Wróciłem do dawnych wspomnień. Było to dziecinne i uproszczone, ale jakżeż wtedy pociągające! W pewnej mierze, rzeczywistość poszła o wiele dalej, niż marzenie. Ale normalny tok wydarzeń — został zwichnięty i dlatego może nie budzi to zadowolenia. Ta konfrontacja rzeczywistości z wiekiem lat szesnastu i chwili obecnej nie daje nic, gdyż nie można porównywać rzeczy zupełnie różnych.

Ale nagle w polu widzenia znalazły się jakieś dziwne postacie. Przez chwilę nie wiedziałem, czy są to figury zmyślane, tzn. znajdujące się tylko w moich myślach, w sferze marzeń, czy też — osoby realne. Zdawałem sobie sprawę z dziwności tego faktu, bo przecież zamek był pusty, brama mocno zaryglowana i nikt nie mógł przyjść z zewnątrz. Co prawda, nie zwiedziłem wewnętrznej części zamku, ale przecież jest zupełnie wykluczone, by ktokolwiek mógł tu stałe mieszkać oprócz dozorczy. Co dziwniejsze, ludzie ci nosili kostiumy historyczne, nie mogłem rozróżnić z jakiej epoki, ale przypominały one żywo reprodukcje dawnych strojów, jakie widziałem jeszcze w wpiśnach gimnazjalnych. Chciałem się do nich zbliżyć, ale byłem bardzo zmęczony po wędrówce w podziemi. Ograniczyłem się więc do obserwacji.

Pamiętam, za czasów mej młodości, odbywały się tutaj festyny i w tym miejscu zazwyczaj tańczono, a obok — grała orkiestra. Obecnie rozpoczęto także przygotowania do występów lub

do zabawy. Na dziedzińcu wbito dwa maszty i rozciągnięto między nimi płótno, które zastępowało kurtynę. Wzniesiono drewnianą estradę i kilku muzykantów, z instrumentami w rękę, usiadło na schodach wiodących do kaplicy. Na scenę wyszło 8 par i zaczęto jakiś taniec, którego nie mogłem rozpoznać. Było w tym coś z poloneza, ale zarazem element ludowy odgrywał dominującą rolę, pary łączyły się tworząc ronda i otaczając jedną tancerkę, która często zatrzymywała się trwając bez ruchu i jakby kierując ewolucjami innych par. Ale w tym tańcu nie było wesołości, miał on w sobie coś z poruszania się automatów, które przesuwały się jak marionetki po linie, powolnie, rozpaczliwie powolnie, jakby nie miały siły do uczynienia dalszego wysiłku. Wreszcie tańczący zatrzymali się bez ruchu. Przypominało to czytane w dziedziństwie bajki, były to gesty zaklętej królowej, na nowo zapadającej w czarnoksiężski sen.

A może zaklęta królowa istotnie znajduje się wśród nich? Myśl ta skłoniła mnie do baczniejszego przyjrzenia się uśpionej grupie i znajdującej się w środku niej młodej kobiecie, która przedtem zdawała się kierować ruchami innych. Różniła się ona ubiorem i wydawała uśpioną, jak reszta tańczących. Ale nie! Rysy jej twarzy powoli się ożywiają, kobieta zaczyna wolno się podnosić jakby wykonywując jakiś hieratyczny taniec... Długo stoi bez ruchu wśród leżących u jej stóp figur baletu, wreszcie wychodzi poza uśpione koło. Serce zabiło mi żywiej: zdaje się, że idzie w moim kierunku. Teraz mogę rozemnać rysy jej twarzy, regularne jak u greckiego posągu. W świetle księżyca jej jasne włosy wydają się złote.

Chciałbym zerwać się, by wybiec na jej spotkanie, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Były jak z ołowiu i nie mogłem oderwać ich od ziemi. Nie mogłem wykonać żadnego ruchu: moje nogi wzrosły w ziemię.

A tymczasem kobieta weszła na ścieżkę prowadzącą na mury i znikła za zakrętem. Ogarnęła mnie rozpacz. Może nigdy jej nie zobaczę! A ja tu jestem przykuty bezwładnie do miejsca i nie mogę zrobić żadnego ruchu by ją odszukać i zatrzymać. Zacząłem krzyczeć, ale głos mój nie miał brzmienia, nie było go słyhać, chociaż czułem wyraźnie jego wibracje w sferze ultradźwięków.

Wreszcie wyszła, spoza zakrętu i zaczęła się zbliżać do mnie powolnym, hieratycznym krokiem. Przystanęła obok mnie.

Ponowiłem rozpaczliwie próbę zerwania się, ale bez rezultatu. Byłem p r z y k l e j o n y do ziemi. Moje ołowiane nogi znowu odmówiły mi posłuszeństwa. Chciałem wybełkotać jakieś usprawiedliwienie, ale kobieta powstrzymała mnie ruchem ręki.

— Kim jesteś?

Jej rysy wydają mi się znane, ale nie mogą sobie przypomnieć, gdzie je widziałem. Wreszcie znalazłem: w jakiejś książce, czytanej w młodości znajdował się portret Halszki, nałożnicy królewskiej, która w wiekach średnich była podej-

mwana na zamku. Chciałem zapytać, czy się nie mylę, ale znowu zatrzymała me pytanie miękkim ruchem ręki.

— Nie trzeba o nic pytać! — doszły do mnie jej słowa.

I jakby dla wynagrodzenia mnie za sprawiony zawód podała mi trzymaną w rękę szkarłatną różę, po czym miętko zaczęła gładzić mnie po włosach. Dotknięcie jej rąk miało w sobie coś z passy hipnotyzera.

— A teraz napij się jeszcze czarnoksiężskiego eliksiru.

I podała mi złotą czarę, którą wychyliłem po brzegi.

Czułem, że opuszczają mię siły i zaczyna mię ogarniać nieprzepartą senność.

Gdy przebudziłem się — był już biały dzień. Znajdowałem się w swoim pokoju, a obok mnie — stał lekarz i siostra. Lekarz ujął mnie za rękę i zaczął badać puls. — Normalny. Ze stanu kateptycznego nic już nie pozostało. Wszystko wróciło do normy. Nie ma powodu do żadnych obaw. Tutaj jestem już niepotrzebny. A teraz muszę się spieszyć do chorych. Zaczynam moje wizyty z dużym opóźnieniem. Pożegnał się ze mną, a siostra odprowadziła go do bramy.

Po chwili wróciła do pokoju.

— Co to znaczy — zapytałem mozolnie zbierając myśli.

— To ja powinnam zadać ci to pytanie. Byliśmy o ciebie bardzo zaniepokojeni. Znalaziono cię rano na murach zamku, pogrążonego w głębokim śnie. Dozorca nie mógł się ciebie dobrać i przyszedł nas o tym zawiadomić. Pojechaliliśmy więc z Władkiem i z doktorem, i przewieźliśmy cię uśpionego do domu. Ale w jaki sposób znalazłeś się na zamku?

Teraz wróciła mi pamięć. Przypomniałem sobie dzieje tej nocy.

— Ale czy można jej to opowiedzieć? Może był to po prostu sen?

— Poszedłem na spacer na zamek i zdrzemnąłem się. Wiodocznie było coś odurzającego w ziołach rosnących obok, bo czuję się niezbyt dobrze.

Z trudem podniosłem się na poduszce i rozejrzałem się po pokoju. Zobaczyłem na stole, we flakonie, piękną czerwoną różę.

— A tę różę nie wiadomo dlaczego trzymałeś w rękę — dodała siostra.

Wszystko to było tak dziwne, że sam nie mogłem w to uwierzyć. Wydało mi się to wytworem niezdrowej halucynacji, jakimś mostrualnym przywidzeniem, którego nie śmiałem wyznać nawet siostrze.

Ale przecież znalaziono mnie na murach... I ta róża, którą trzymałem w rękę... to wszystko potwierdza realność przeżycia. Jeśli to jest prawdą — przejście podziemne istnieje i powinienem móc się przekonać o tym wprawiając w ruch ukryty mechanizm otwierający płytę.

Oczywiście nie mogłem pozostawić sprawy w tym miejscu. Należy to koniecznie wyjaśnić i przekonać się, czy dzieje tej nocy są tylko zwyczajnym przywidzeniem, czy też rzeczywistością.

Ale byłem zbyt osłabiony, by móc natychmiast ponowić próbę. Dopiero na trzeci dzień wieczorem, po kolacji, wybrałem się na spacer i po rozejrzeniu się, czy nikogo nie ma w pobliżu usiłowałem wprawić w ruch ukryty mechanizm. Ale tym razem nie dało to żadnego rezultatu. Przez kilka następnych nocy ponawiałem te usiłowania, zawsze bezskutecznie.

Siódmego wieczoru spotkał mnie pod figurą burmistrz. Zaproponował pójście do Rosenzweiga na piwo, na co chętnie przystałem.

— Próbowal pan znaleźć wejście do podziemia — zapytał gdy byliśmy już przy drugiej bombie okocimskiego.

— Tak, i znalazłem je nawet. Patrzy pan burmistrz na mnie, jakby mi brak było jednej klepki?

— Nie — odpowiedział po chwili — wszak znaleziono pana na murach pogrążonego w głębokim śnie. Ale lepiej będzie... niech pan już nie ponawia tych prób.

— Dlaczego?

Burmistrz spojrział na mnie przenikliwie i po chwili dodał:

— Miałem zamiar o tym nie wspominać, ale diabeł mnie skusił tego wieczoru, by panu opowiedzieć tę legendę. Gdyby się zdarzyła co złego — ponosiłbym moralną odpowiedzialność. Dlatego wołę już nie kryć tego przed panem: znam człowieka, który twierdził, że odnalazł wejście do podziemia.

— Kto to jest? Chciałbym go zobaczyć...

— To mój wuj. Ale go pan nie zobaczy... A gdyby nawet go pan zobaczył — na nic się to nie zda. Jest obecnie w zakładzie dla umysłowo chorych.

— Napijemy się jeszcze... Panie Rosenzweig! Jeszcze dwie bomby okocimskiego.

Co za szczęście, że nie opowiedziałem mu tego co mi się zdarzyło! Na pewno pomyślałby, że ma do czynienia z wariatem...

— Czy długo pan jeszcze zostaje? — zapytał burmistrz.

— Nie, wyjeżdżam pojutrze.

— Co za szkoda! Dobrze się z panem rozmawia i zdaje pan sobie sprawę z wielu rzeczy. Spodziewam się, że niedługo pana zobaczymy. I że nie będziemy czekać dziesięciu ani piętnastu lat na pańską wizytę!

— Nie, na pewno wrócę wcześniej. Wie pan, panie burmistrzu, ma pan rację: to miasteczko żyje w uśpieniu. Ale ja — pasjami lubię średniowiecze!

Jan BRZEKOWSKI

Archiwum polityczne

“Mali Europejczycy” wokół Berlina

Trzecia wojna światowa nie wybuchła do tej pory, bo nie jesteśmy już pewni czy wojnę należy uznawać nadal za instrument polityki. Obserwujemy zjawisko nieznanne do tej pory w historii. Im więcej przybywa sił tym większe budzą się opory przeciwko ich użyciu. Tłumaczy się to tym, że bronie nuklearne potencjałem swej mocy przekroczyły już dawno granice praktycznej zastosowalności. A wojna stanowi jedną z metod działania politycznego, którego celem są zawsze osiągnięcia realne, praktyczne i wymierne. Nie ma polityki i wojny bez kalkulacji i planu. Wojna w sensie potencjalnym, to jest praktyczna możliwość podjęcia działań wojskowych — stanowiła do 1944 roku sprężynę mechanizmu polityki siły.

Brytyjska „Biała Księga” dotycząca obrony (*British White Paper on Defence*, 1958) stwierdza, że każdy większy (*major*) atak podjęty, czy to bronią nuklearnymi, czy konwencjonalnymi spowoduje odwet wodorowy. Ale co należy rozumieć przez „większą” agresję? W wywiadzie telewizyjnym przed kilku tygodniami Michael Foot zapytał R.A. Butlera czy rosyjski atak przeciwko Grecji byłby uważany za „większą” agresję? P. Butler uniknął odpowiedzi na to pytanie.

Nie jest moim celem w niniejszym artykule rozważać niezmierznie skomplikowanej sprawy „wodorowo-atomowej”. Chciałbym tylko wykazać, że bronie nuklearne znajdują się de facto poza empirią (nasze doświadczenia w wojnie atomowej są równe zero) i wskutek tego po obu stronach istnieje tendencja przeważenia szali równowagi sił innymi środkami. Sowiety zmiernie nie do wojny atomowej lecz do przesunięcia punktu ciężkości „balance of power” wysiłkiem ekonomicznym i penetracją polityczno-ideologiczną.

Gdyby bronie nuklearne były w pełni obliczalne — gdybyśmy mieli za sobą dwie lub trzy wojny atomowe i dysponowali w tej materii dostatecznym doświadczeniem — wówczas równo-

waga sił między Rosją a Stanami Zjednoczonymi przybrałaby inny wyraz. Wówczas można by dokładnie określić co należy uważać za „większą agresję”, która usprawiedliwi odwet wodorowy. Podkreślam, że nie rozpatrujemy zagadnienia broni nuklearnych w aspekcie moralnym lecz wyłącznie pod kątem widzenia praktycznej polityki. Z tego punktu widzenia odwet wodorowy byłby usprawiedliwiony wówczas, gdyby istniała pewność, że spełni swe strategiczne a w konsekwencji i polityczne zadanie. Stratedzy obserwując fantastyczne wybuchy bomb wodorowych na swoich poligonach mogą z zadowoleniem obliczać ich siłę niszczycielską — dla polityków jednak bronie nuklearne są kłopotliwym instrumentem. Koszty produkcji są gigantyczne a równocześnie podatnicy zachodni z każdym wyłożonym funtem są coraz bardziej utwierdzeni w przekonaniu, że broni tych nie należy nigdy użyć. Uczeni, duchowni, pisarze, intelektualiści — prowadzą wytrwale anty-nuklearną kampanię, która nie mija bez wrażeń.

Z politycznego punktu widzenia trzeba podkreślić, że istnieje zasadnicza różnica pomiędzy siłą bierną a siłą potencjalną. Bronie nuklearne w dyspozycji sowieckiej stanowią siłę potencjalną — ponieważ nie ulega wątpliwości, iż w kryzysowej sytuacji przywódcy sowieccy będą mieli możliwość ich użycia. Ci natomiast, którzy wprowadzili finansują produkcję broni nuklearnych lecz równocześnie głoszą, iż w żadnej sytuacji nie należy ich użyć — wydają w gruncie rzeczy pieniądze na siłę bierną o wątpliwej użyteczności. Siła bierna, której mobilizacja może w chwili kryzysu przekraczać możliwości kierownictwa politycznego — nie stanowi fundamentu dla zdecydowanej polityki.

To nie są teoretyczne rozważania. Niezrozumienie tych faktów prowadzi do fałszywych ocen i budowy fałszywych planów. Adenauerowska koncepcja nacisku, „wyzwolenie” i setka innych zbankrutowanych konstrukcji — to wszystko były pomysły nie z tego świata, nie z epoki atomowej. Hitler mógł prowadzić realną politykę nacisku — ponieważ nikt nie mógł mieć wątpliwości, że za jego ultimatum stoją czołgi, które ruszą z miejsca. Ale ani Rosja w stosunku do Ameryki ani Ameryka w stosunku do Rosji nie mogą dziś prowadzić klasycznej polityki nacisku. Wojna od początków historii ludzkości była głównym narzędziem polityki i potrafa zapewne dziesiątki lat zanim nauczymy się obchodzić w polityce bez tego instrumentu.

Powyższe refleksje mają na celu wykazać, że szanse osiągnięcia porozumienia z Rosją w sprawie Niemiec są niewielkie. Osobiście nie wykluczam, że bezpłodne konferowanie — do jakiego zdołaliśmy już przywyknąć — ciągnąć się jeszcze będzie przez kilka lat — doróki jedna ze stron nie zdoła przeważać obecnej równowagi sił na innych, poza-atomowych polach. I może, że się mylę, ale skłaniam się do przypuszczenia — iż nie potencjał broni nuklearnej rozstrzygnie konflikt między Moskwą a Waszyngtonem. Bronie nuklearne — choć strategicznie olśniewające — politycznie są jałowe.

Jeżeli powyższemu rozumowaniu przyznalibyśmy pewien odsetek słuszności — wówczas należałoby przyjąć, że negocjacje berlińskie potoczyć się mogą w najlepszym razie po liniach wymiany. Ustępstwo za ustępstwo — koncesja za koncesję. Ten typ negocjacji nie ma nic wspólnego z pertraktacjami z pozycji siły. Wymiana sprwadza się do kompromisowego układu, który zadawała obu partnerów.

Ale nim przystąpimy do rozważań szans przetargu niemieckiego — poświęćmy kilka słów charakterystyce sali licytacyjnej. Niemcy — jak podkreślaliśmy to kilkakrotnie — są zwornikiem Europy a nie Polska — jak mawiał Napoleon, który pomylił się w tym, jak i w wielu innych, niemniej ważnych sprawach. Problem niemiecki — choć jest jedną z zasadniczych kwestii spornych konfliktu rosyjsko-amerykańskiego musi być rozpatrywany w kontekście europejskim. Bo Berlin nie leży w Kanadzie tylko w sercu Europy.

Zarówno w Niemieckiej Republice Federalnej jak i w Europie zachodniej od roku 1945 zaszły wielkie zmiany. W chwili gdy piszę te słowa (ostatnia dekada lutego) tzw. „mała Europa” stała się faktem dokonany. Termin „mała Europa”, choć powszechnie używany, jest bez sensu. Blok państw objętych tą nazwą jest największym importem świata i drugim z kolei (po Stanach Zjednoczonych) eksporterem świata. Cyfrą ludności przewyższa Amerykę. Dynamem gospodarczym „małej Europy” są Niemcy i to jest zasadniczy punkt w tym całym problemie.

W organizowaniu tzw. „wspólnego rynku” decydującą rolę odgrywa prof. Walter Hallstein — obecnie prezydent Europejskiej Komisji, rezydujący w Brukseli. Hallstein od 1948 r. związany jest politycznie z Adenauerem i, podobnie jak kanclerz, widzi przyszłość Niemiec w roli hegemonu zjednoczonej Europy. Wpływy Hallsteina zadecydowały o fiasku brytyjskich planów „strefy wolnego handlu” i na skutek jego sugestii Francuzi odrzucili propozycje brytyjskie.

Można rozmaicie oceniać proces scalania się Europy zachodniej. Można głosić, jak Jean Monnet, że „mała Europa” produkuje więcej samochodów i stali niż Rosja i za kilka lat w oparciu o swą szosześciodziesięciopięciomilionową ludność stanie się drugą Ameryką. Można jednak, jak Leo Hamon, wysunąć serię ważkich zastrzeżeń pod adresem „drugiej Ameryki”.

Osobiście jestem wschodnim Europejczykiem i trudno mi oceniać perspektywy tego rozwoju inaczej niż pod kątem widzenia interesów odciętej wschodniej Europy. Hamon wskazał słusznie swego czasu — kiedy sprawy nie były tak zaawansowane jak są dzisiaj — że zorganizowanie „małej Europy” utrwali i podkreśli istniejący podział kontynentu europejskiego. Lecz to jeszcze nie wszystko. W „małej Europie” Niemcy będą odgrywali coraz większą rolę. Na przestrzeni najbliższych dwóch lat — armia zachodnio-niemiecka stanie się głównym kontynentalnym udziałowcem NATO. Niemcy nie mają ani Cypru ani posiadłości w Afryce i ich zainteresowania, dynamizm i pieniądze skupiają się

na „mało-europejskim” rynku gospodarczym. Proces ekonomiczno-finansowych powiązań i współzależności niesie z sobą zawsze pewne konsekwencje polityczne. Jeśliby się miały spełnić nadzieje entuzjastów „małej Europy” — to trudno sobie wyobrazić by za pięć czy 10 lat Francja czy Belgia mogły i zechciały przeciwstawić się Niemcom w ich wschodnich dążeniach rewizjonistycznych. Nie formułuję żadnego zarzutu pod adresem Francji. Być może, że w danym momencie tego typu polityka będzie w pełni służyła francuskim interesom. Pragnę tylko podkreślić, że istnieje pewna logika następstw, przed którymi nie ma ucieczki. Owa logika sprowadza się do stwierdzenia, że fundamentem „małej Europy” jest faktyczne uznanie obecnego podziału Europy za czynnik stały. Wszystko inne to są już tylko logiczne konsekwencje tego założenia. Z chwilą gdy odpiszemy na straty połowę Europy — zmieni się oczywiście lista tradycyjnych sojuszników i tradycyjnych wrogów. Powstaje nowa sytuacja geopolityczna i nowy układ stosunków.

Sowiety odpowiedzą na scalanie „małej Europy” analogiczną inicjatywą po tamtej stronie barykady. Proces integracji imperium satelickiego przybierze nowe formy zmierzające do jeszcze ściślejszego związania krajów wschodniej Europy z Moskwą.

Lecz to fundamentalne pogodzenie się „małych Europejczyków” z utratą wschodniej Europy, choć dla Chruszczowa bardzo cenne, przecież jednak jest niewystarczające. Proces stabilizacji i scalenia imperium satelickiego wymaga likwidacji „wyspy” berlińskiej.

Spójrzmy na sytuację berlińską z tamtej strony płotu. Któż może krytykować nieszczęsnego Ulbrichta? Wyobraźmy sobie na chwilę, że Warszawa jest przepołowiona. W zachodniej części rezydują Amerykanie i Anglicy — pełno jest prywatnych, świetnie zaopatrzonych sklepów itd. Sądzę, że w takiej sytuacji Gomułka miałby jeszcze mniej tytułów do chwały niż Ulbricht. To jest sytuacja absurdalna i Chruszczow musi zdawać sobie sprawę, że likwidacja enklawy berlińskiej jest nieodzownym warunkiem definitywnego przypięcietowania obecnego podziału Europy. By Sowiety mogły przystąpić do budowy „małej Europy” satelickiej — Niemcy wschodnie muszą mieć ten sam status i te same warunki co wszystkie inne państwa satelickie.

W konsekwencji trzeba stwierdzić, że gra o Berlin daje Zachodowi ostatnią szansę rewizji obecnego układu w Europie wschodniej. Z chwilą gdy furka berlińska się zamknie — podważenie „żelaznej kurtyny” bez wojny światowej stanie się nieosiągalne. W porównaniu z tą perspektywą każde rozwiązanie jest lepsze, z planem Rapackiego włącznie.

W poprzednim numerze „Kultury”, w notatce pt. „Studia nad oderwaniem się od Rosji” zacytowałem opinię rzeczoznawców, sformułowaną przez Michaela Howarda w jego książce pt. „Disengagement in Europe”. Grupa specjalistów, której przewodzi Howard, wypowiedziała się przeciwko wszelkim formom

„disengagement” czy neutralizacji. Specjaliści — jak zwykle specjaliści — nie wyszli poza obręb swego własnego podwórka. Panowie ci twierdzą, że gdyby Rosjanie podjęli agresję czysto konwencjonalnymi siłami — mając na oku cele ograniczone i lokalne — wówczas brak jakichkolwiek sił sojuszniczych na tym terenie mógłby spowodować fatalne konsekwencje. Nim powzięto by decyzje czy zagrozić odwetem atomowym — czy nie zagrażać — Rosjanie osiągnęliby swoje cele. I wówczas — argumentują cytowani specjaliści — Zachód musiałby ryzykować samobójczą wojnę atomową jeżeliby chciał wyrzucić Rosjan z zajętych pozycji.

Logika powyższego rozumowania byłaby niepokalana, gdybyśmy posiadali gwarancję, że sytuacja w Niemczech zachodnich nie ulegnie żadnym zmianom przynajmniej w okresie najbliższych kilku lat. Ale, jak wynika z oświadczeń oficjalnych, Bundeswehra w ciągu 24 miesięcy stanie się najsilniejszą kontynentalną armią NATO. Wówczas może się zdarzyć, że rząd w Bonn oświadczy spokojnie, iż tę samą służbę na terenie Federalnej Republiki, którą dotychczas pełniły oddziały amerykańskie i angielskie — pełnić mogą z powodzeniem jednostki armii niemieckiej. Jestem niemal pewien, że ci sami specjaliści, którzy dziś są przeciwnikami „disengagement” i wycofania wojsk amerykańskich i angielskich z Niemiec — powitają propozycję Bonn z zadowoleniem. Istotnie, z czysto wojskowego punktu widzenia nic się nie zmienia. Amerykańskie i angielskie oddziały NATO zastąpią niemieckie oddziały NATO i wszystko w porządku. Jednak z politycznego punktu widzenia sprawa nie wygląda tak prosto. Co innego jest bowiem pertraktować z Rosją mając swoje wojska w Niemczech i oferując ich wycofanie wzajemnie za analogiczne wycofanie wojsk sowieckich — a co innego jest pertraktować z Rosją w chwili, gdy się już tej karty pozbyło. Na ten moment zwrócił uwagę i Kennan — choć nie sprecyzował wszystkich konsekwencji z problemem tym związanych. Z chwilą gdy Niemcy będą w pełni uzbrojone, a stacjonowane w Federalnej Republice wojska amerykańskie i angielskie zastąpią jednostki niemieckie — losy Europy zależą będą w większym stopniu od Bonn niż od Waszyngtonu.

Nieporozumienie polega na tym, że NATO jest wojskowym sojuszem obronnym i proces scalania Europy zachodniej odbywa się poza jego ramami. Tymczasem Amerykanie mają skłonność do przypisywania NATO walorów politycznych, których ten sojusz nie wytworzył.

Paradoks berliński polega na tym, że obie strony w sporze w gruncie rzeczy pragną tego samego — to jest zachowania „status quo”. Wprawdzie na Zachodzie mężowie stanu mówią o potrzebie rozważenia „całego problemu niemieckiego” ale w

Waszyngtonie i w Londynie odetchnięto by z ulgą gdyby kryzys berliński przycichł a sytuacja ustabilizowała się powtórnie w starych ramach.

Nie wydaje się również by Chruszczow w najbliższej przyszłości zmierzał do generalnego rozwiązania kwestii niemieckiej. Przywódcy sowieccy — na obecnym etapie — dążą do zachowania i utrwalenia swoich zdobyczy w Europie. W ich opinii — niepozbawionej logiki — utrwalenie „status quo” wymaga likwidacji enklawy berlińskiej.

Rosjanie nie chcą zjednoczenia Niemiec. Chruszczow bowiem z jednej strony mówi o konfederacji obu republik niemieckich, z drugiej zaś podkreśla przy każdej okazji, że Sowiety nie przyłożą ręki do likwidacji „zdobyczy socjalistycznych” w Niemczech wschodnich. W sumie wydaje się oczywiste, że Rosjanie pragną wyrównania linii frontu co jest niezbędnym warunkiem ostatecznego utrwalenia ich pozycji w Europie wschodniej.

Mocarstwa zachodnie również nie pragną zjednoczenia Niemiec. Amerykanie i Anglicy chcą by Republika Federalna pozostała w NATO. Zjednoczenie i NATO — wykluczają się wzajemnie. Na udział zjednoczonych Niemiec w NATO Rosja zgodziłaby się wówczas, gdyby na Kremlu rządził nie Chruszczow ale amerykański generał dowodzący sojusznicznymi siłami okupacyjnymi. Kto w tej materii ma złudzenia jest iluzjonistą a nie politykiem.

Możliwości operacyjne sowieckie na odcinku berlińskim są olbrzymie. Układ geopolityczny faworyzuje Rosjan. Zawarcie przez Sowiety odrębnego układu pokojowego z Niemcami wschodnimi stworzyłoby nową sytuację nie tylko w Berlinie, ale i na arenie międzynarodowej. Złą przysługę sprawie Zachodu oddają ci, którzy przeprowadzają analogię między obecnym kryzysem a blokadą w 1948 roku. Układ sytuacji jest dziś niepomniernie bardziej skomplikowany i niepomniernie mniej korzystny dla mocarstw zachodnich.

Czy warto umierać za Berlin? Wszystko zależy co owa nazwa symbolizuje. Jeżeli przez Berlin rozumieć będziemy tylko sumę uprawnień wywodzących się z okresu okupacyjnego, to za taki „Berlin” umierać nie warto. Jeżeli przez Berlin rozumieć będziemy fundament pod budowę nowego układu w Europie środkowo-wschodniej — to takiego „Berlina” bronić należy do upadłego.

Istotą problemu berlińskiego jest fakt, że dziś jeszcze istnieją możliwości rozegrania tego zagadnienia w szerszej skali. Za dwa lata może być na wszystko za późno. Jeżeli mocarstwa zachodnie stać będą tylko na legalistycznym stanowisku, nie wysuwając żadnej szerszej koncepcji politycznej — w moim przekonaniu — bitwę o Berlin z czasem przegramy. Obecny status Berlina jest absurdalny i nie ma szans trwania. Pogląd, że problem Berlina znajdzie swe rozwiązanie na wolnych wyborach, po zjednoczeniu Niemiec i po zawarciu układu pokojowego — jest nierealny. Tych zobowiązań przyjętych deklaracją berlińską

z lipca 1957 mocarstwa zachodnie nie będą mogły dotrzymać. Rozwiązanie po tej linii byłoby możliwe, gdyby Stany Zjednoczone były monopolistą atomowym. Równowaga sił między Waszyngtonem a Moskwą jest tak wyrównana, że dziś realny byłby tylko plan kompromisowy. Dramat polega na tym, że Zachód nie ma żadnego szerszego planu i chce bronić tylko legalistycznej pozycji. Ryzyko związane z tą polityką jest straszliwe. Ryzykuje się bowiem utratę Berlina za nic, bez żadnych ustępstw z tamtej strony.

Upadek Berlina oznaczałby zacementowanie na „ślechu” „żelaznej kurtyny”. Łatwo sobie wyobrazić jakie wrażenie klęska tego wymiaru wywarłaby na narodach wschodnio-europejskich, afro-azjatyckich i w krajach neutralnych. Upadek Berlina mógłby się stać dosłownie początkiem politycznej przewagi Sowietów na teatrze europejskim.

Jeżeli Zachód nie wysunie konkretnego, uzgodnionego planu kompromisowego, choćby w postaci proponowanej przez H. Gait-skella — Berlin w okresie najbliższych lat stanie się widownią serii kryzysów, które zakończą się klęską. W sercu Europy nie może być mowy o drugiej Korei. Pokój zostanie uratowany, a Berlin stracony — to jest wszystko czego mogą oczekiwać obrońcy okupacyjnego legalizmu.

Gra idzie o Niemcy. W moim przekonaniu idealnym i kompromisowym rozwiązaniem byłoby — aby Niemcy pozostały „niczyje” tzn. zneutralizowane i odatomizowane w ramach pasa neutralności obejmującego poza Niemcami Polskę, Czechosłowację i Węgry.

Rozmaitym tępym a „niezłomnym” politykom i publicystom wydaje się, że wysunięcie jakiegokolwiek propozycji jest równoznaczne z „appeasement”. W gruncie rzeczy jednak kryzys można by przerywać jedynie na drodze aktywnej polityki to jest wysuwając konkretny plan rekonstrukcji „węzła środkowo-europejskiego”. Ponieważ jednak Zachód nie przeciwstawia sowieckim inicjatywom swoich własnych konkretnych planów — przetarg odbywa się z reguły na warunkach sowieckich. Co to oznacza w praktyce? Oznacza to, że na serii kryzysów godzimy się częściowo na propozycje sowieckie i to jest prawdziwy „appeasement”.

Ci sami panowie, którzy dziś wołają: żadnych kompromisów, żadnej neutralizacji, żadnego wycofania wojsk amerykańskich — pogodzili się z Budapesztem i, jak będzie trzeba pogodzą się z utratą Berlina.

Magnetyzm potęgi sowieckiej wywołuje dwa typy reakcji: „niezłomnych” i kapitulantów. Tak jedni jak i drudzy zupełnie nie nadają się do rozgrzewania problemu sowieckiego. „Niezłomni” na dnie duszy pragną tylko jednego: załamy Rosji. Ponieważ to marzenie jest nierealne wszystkie polityczne pochodne są również nierealne.

Salvador de Madariaga na łamach „Time and Tide” udziela pochwały Bonn i wyraża pogląd, że plan Zachodu zmierzający

do zmiany „status quo” winien wyrazić się w żądaniu wycofania się Sowietów do ich przedwojennych granic w Europie. To jest klasyczna postawa „niezłomna”. Ci panowie odrzucają kompromisowe rozwiązanie, jak np. pas neutralny, które zainteresowanym narodom przyniosłoby wielkie ulgi i korzyści — odrzucają w imię propozycji maksymalistycznych, które leżą poza ramami realnych możliwości. Célów, które można osiągnąć jedynie na drodze totalnego zwycięstwa wojennego — nie można wysuwać jako propozycji komuś, kto nie jest pobity. Ale niezłomnych takie praktyczne detale nie interesują.

Mocarstwa zachodnie nie dysponują przewagą, która umożliwiłaby likwidację Sowietów, ale dysponują dostateczną siłą, by nie musieć kapitulować na żadnym odcinku i by móc zapewnić realne pokrycie własnym inicjatywom politycznym. Lecz jeżeli ktoś rezygnuje z własnej inicjatywy i skupia się wyłącznie na obronie przed cudzą inicjatywą — ten już w połowie skapitulował.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

O PRZECIĘTNOŚCI W POLITYCE

Pewien członek partii w rozmowie z londyńskimi Polakami wyraził pogląd, że na szczęście Gomulka jest bardzo przeciętny. „Wyobraźcie sobie panowie” — perorował partyjny mędrzec — „co by to było, gdyby Gomulka był politykiem choćby formatu Tito. Przede wszystkim nie byłoby Października. W okresie kryzysu w 1956 roku byłoby z całą pewnością doszło do powstania a Warszawa stałaby się drugim Budapesztem, Gomulkę byłby zastąpił jakiś Kadar i na gruzach wszystkich nadziei triumfowałby Natolin. Nie byłoby liberalnej polityki rolnej — normalizacji stosunków z kościołem — względnej swobody prasy — jednym słowem zamiast wiosny w Październiku mielibyśmy syberyjską zimą”.

Słuchając tych słów pomyślałem sobie, że Polacy identyfikują ostrożność z przeciętnością. I vice-versa — wybitność kojarzymy z szaleństwem, brakiem odpowiedzialności i miotaniem się z motyką na słońce. Wniosek stąd jasny, że nasze doświadczenia historyczne z wybitnymi osobistościami były nie najlepsze — względnie, że owe wybitne postacie nie były znowu tak bardzo wybitne.

Nie wydaje mi się by nasz marksista miał rację. Przeciętność nie jest wadą u akuszerki, ale u męża stanu jest wadą kardynalną. Jest wadą w każdej sytuacji — zarówno w dniu klęski jak i w dniu zwycięstwa.

Współcześni Polacy są znużeni dziejowymi burzami, wzlotami, powstaniem i ową patetyczną rapsodycznością naszej historii, która choć wyzwalała wielkie momenty karmiła nas klęskami. Na dnie duszy hołubimy wszyscy tęsknotę za sytą normalnością, za dobrze zorganizowaną, gładko funkcjonującą codziennością. Znam w Londynie polskich lewicowców, którzy ciulają grosz do grosza — wieszają firanki w oknach i zapychają pokoje kosztownymi mebliskami jakby od tego zależeć miało zbawienie klasy robotniczej. W każdym z nas pokutuje mały, sponiewierany, wyposzczony burżuj — który chciałby jeszcze trochę pożyć o ile możliwości bez wstrząsów, bez komplikacji i dostatnio.

W Kraju — jak raportuje Obserwator w poprzednim numerze „Kultury” — mówi się o niedosycie konsumpcyjnym. Mimo, że jest więcej mięsa, więcej tkanin, więcej papierosów na głowę mieszkańca niż przed wojną — wszyscy są niezadowoleni bo wszyscy chcą więcej i wygodniej. Psychologicznie i socjologicznie to są objawy u ludzi z naszą przeszłością zrozumiałe i zdrowe. Nieporozumienie polega tylko na tym, że nam się wydaje, iż najbardziej powołanymi do organizowania sytej przeciętności są przeciętni ludzie. Niestety syta i spokojna przeciętność jest niepomernie trudniejsza do zorganizowania niż wszystkie zrywy i powstania. Wywindowanie Polski do poziomu i statusu Finlandii jest operacją znacznie trudniejszą niż powstanie warszawskie i wymaga wskutek tego bardziej uzdolnionych ludzi.

Zastanawiałem się wielokrotnie nad tym jakby potoczyły się wypadki, gdyby Gomulka był człowiekiem wybitnym. Nie ulega wątpliwości, że ideologia komunistyczna do tej pory nie odzyskała „twarzy” po kompromitacji jaką zgotował jej Chruszczow na XX Zjeździe. Przyznają to zresztą marksiści, między innymi prof. Schaff. Restauracji mógł dokonać tylko rewizjonizm. Chruszczow nie jest ideologiem czy rewolucjonistą. Chruszczow jest rdzennym wielko-rosyjskim imperialistą. Rewizjonizm, jeżeli miał uzyskać szerszy wydźwięk polityczny — musiałby stać się zjednoczonym prądem ideologicznym. Owej unifikacji można było dokonać tylko poprzez ideologiczny sojusz z Jugosławią. Chruszczow ocenił niebezpieczeństwo i z chwilą gdy zawiodły próby przywołania Tito do porządku — postanowił go wyizolować. Tylko Tito mógł być głową zreformowanego ruchu, który gdyby objął Jugosławię, Bułgarię, Węgry i Polskę — nie byłby łatwy do zgniecenia. Chruszczow na pewno pamięta plany unii jugosłowiańsko-bułgarskiej i losy Dymitrowa. Wiadomo, że związek jugosłowiańsko-bułgarski pomyślany był jako pierwszy etap wiodący do szerszej federacji, która według planów Tito objąć miała Rumunię, Węgry, Albanie — a w przyszłości Polskę i Czechosłowację. Stalin wyczuł niebezpieczeństwo tkwiące w tych zamysłach i w zarodku zdławił federacyjny program. Stalin — klasyczny imperialista rosyjski nigdy Ticie tych planów nie wybaczył.

Po śmierci Stalina i po wstrząsających rewelacjach XX Kongresu — był moment na podjęcie tych planów. Ale Gomulka w rewizjonizmie nie dostrzegł żadnej szansy, przeciwnie rewizjonizm wprowadzał go w panikę.

Chruszczow problem rewizjonizmu rozegrał według najlepszych imperialistycznych wzorów. Zorientował się bardzo szybko, że nie ma przed sobą jednolitego zreformowanego ruchu — tylko indywidualne, niepowiązane wizerzenia. Wysunięcie zasady taktycznej, że każdy kraj ma prawo do „własnej drogi do socjalizmu” — pochlebiało rozkołysanym nacjonalizmom i równocześnie politycznie kładło rewizjonizm. Z chwilą kiedy rewizjonizm ozna-

cza co innego w Jugosławii, co innego w Polsce a jeszcze co innego na Węgrzech przestaje być groźny.

Dziś, gdy unifikacja rewizjonizmu i federacja titoistowska — nie wchodzi w grę łatwo jest powiedzieć — że i tak nigdy by z tego nic nie wyszło. Szanse nie były wielkie ale dziwniejsze rzeczy materializowały się przed naszymi oczyma w tym interesującym stuleciu. W każdym razie jestem pewien, że przyszli historycy oceną, iż śmierć Stalina i jego pośmiertna kompromitacja zostały niewykorzystane. Nie wykorzystano ani w połowie ówczesnych możliwości.

Młody i zdolny partyjny dziennikarz opowiadał mi kiedyś, że przez pierwszy tydzień październikowego przełomu w Warszawie w ogóle nie funkcjonowała cenzura. Każdy mógł pisać dosłownie co chciał: Jest rzeczą niezmiernie interesującą studiować dziś po latach komplety pism warszawskich z okresu tych kilkunastu dni. Przewrót nie wyrzucił ani jednego wybitnego człowieka na powierzchnię. Co by się działo — jak potoczyłyby się wypadki gdyby w owych dniach z więzienia Bezpieki wyszedł na wolność Piłsudski? Partie „historyczne” dziś jeszcze powołują się na poparcie społeczeństwa w Kraju. Gdzie byli przywódcy, działacze, weterani tych partii w dniach październikowych? Ci, którzy byli na wolności oklaskiwali Gomułkę na Placu Konstytucji i na tym wyczerpali swoją dziejową misję. Nie znalazł się wśród nich ani jeden, który by poszedł do Gomułki i zażądał utworzenia rządu koalicyjnego. Niemożliwe? Absurdalne? Oczywiście to nie była droga dla mernot za którymi nikt i nic nie stoi prócz wiązki zwietrzałych frazesów. Ale gdybyśmy wówczas mieli w raju wybitnych ludzi — istniały niewątpliwie możliwości wymuszenia na Gomułce poszerzenia platformy rządowej. Ale Październik był niedokręstym dzieckiem warszawskiego powstania. I tak błędy rodzą błędy. Naczelnym, obsesyjnym hasłem październikowego przewrotu było: nie prowokować! Bezsensowne warszawskie powstanie rozbroiło Październik.

Nie twierdę, że jesienią 1956 trzeba było robić powstanie. Twierdę natomiast, że gdyby tragedii warszawskiej uniknięto dynamizm przewrotu październikowego być może nie ugrzązłby w ćwierć drogi. Rosjanie imperialne doświadczenie mają w krwi. W jesieni 1956 roku przelknęliby wiele byle tylko uniknąć zatargu zbrojnego, który groził pożarem w centrum Europy. Ale to nie Rosjanie bali się powstania — to myśli się go bali. Wodzowie warszawskiej „Burzy” przegrali podwójnie — raz w 1945 a drugi raz w 1956. W obu wypadkach przegrali na korzyść Rosji.

O AUTENTYZMIE W LITERATURZE

W 58 krajach szerokiego świata nasi czytelnicy wiedzą doskonale, że Londyńczyk nie jest ani historykiem literatury, ani krytykiem ani tzw. recenzentem. Ale czasem laik powie coś trafnie ponieważ umysł jego nie jest przyćmiony fachową znajomością rzeczy. Na tej zasadzie ośmielam się przedłożyć cierpliwemu Czytelnikowi kilka uwag dotyczących realizmu w literaturze, który to problem nicowany jest w prasie krajowej od wielu miesięcy.

Niemal codziennie (wyznaję ze skrucą) czytuję *Pana Tadeusza*. Eskapizm? Może. Namiastka powrotu? — Może. Kraj lat dziecińczych? — Może.

Ubiegłego lata rozmawiałem u znajomych z młodą Amerykanką polskiego pochodzenia. W pewnej chwili zapytałem ją naiwnie czy czytała *Pana Tadeusza*? Skrzywiła się pobłaźliwie: „To takie nierealne — jakby numer z parady Pułaskiego”. Zamurowało mnie: „Nierealne?” Panienska roześmiała się szczerze: „Pan też jest trochę nierealny to się panu to podoba”.

Młodej damie z realistycznej Ameryki ów polski, emigracyjny Londyn ze mną włącznie — musiał się wydać nieco widmowy. Cóż jej mówić o dworach, chłopach, grzybobraniu i szlacheckich anegdotach. Nierealna widmowość mojej postaci (w jej oczach) wywodzi się z faktu, że jestem zabytkiem z owej Atlantydy, która zapadła się w otchłań 20 lat temu.

Poczucie realizmu opiera się na subiektywnych reakcjach. Dla mnie *Pan Tadeusz* jest dziełem realistycznym ponieważ pokrywa się z sumą moich obserwacji i wspomnień. W okresie mojego dzieciństwa sceneria epopei była jeszcze niemal w całości zachowana a Sopolcowo wydawało się realną rzeczywistością tuż za zakrętem gościńca. Na to by młoda Amerykanka polskiego pochodzenia dojrzała *Pana Tadeusza* w realnej perspektywie historycznej — potrzebowałaby wielu lat studiów. Innymi słowy poczucie realizmu i autentyczności jest zależne od uwarunkowania — jest zdeterminowane zapleczem kulturalnym, wykształceniem, inteligencją, przekonaniem religijnymi, politycznymi itd. Cale niebezpieczeństwo komunizmu sprowadza się do owego „conditioning” milionowych mas ludzkich w pewnym określonym kierunku. Dla dziesiątków, a może setek tysięcy ludzi w Rosji Dickens jest najbardziej realistycznym pisarzem angielskim. Odcięci od świata — uwarunkowani propagandą — pół-inteligenci w setkach prowincjonalnych miast rosyjskich patrzą na Anglię oczami Dickensa. I w tym celu dzieła Dickensa wydaje się w milionowych nakładach. To jest sytuacja podobna do cytowanego powyżej „case” młodej Amerykanki polskiego pochodzenia. Ci pół-inteligenci rosyjscy uważają za realną i autentyczną panoramę literacką, z której nie ma dziś ani śladu ani popiołu.

Mitologia komunistyczna jest z zasady i z założenia wrogiem literatury. Ideałem do którego zmierzają komuniści jest światowe społeczeństwo bezklasowe, i bezkonfliktowe. Wyobraźmy sobie społeczność globu bez konfliktów ekonomicznych, filozoficznych, narodowych, klasowych i kulturalnych. Ufundowane tego typu „raju” na ziemi byłoby równoznaczne z uśmierceniem literatury. Zamówienie społeczne na literaturę jest zjawiskiem czysto ziemskim. W raju literatura traci swój cel i sens. Tam, gdzie nie ma konfliktów — nie ma literatury. Matką i źródłem wszelkiej twórczości literackiej jest konflikt.

Twórczość literacka — w moim rozumieniu — jest procesem dialektycznym. Teza — antyteza — synteza. Wrodzony potencjał zdolności myślenia syntetycznego określamy mianem talentu.

Postulaty wysuwane przez Stefana Żółkiewskiego pod adresem pisarzy — sprowadzają się do propozycji: „panowie literaci — konflikty są wasze ale syntezę musicie przyjąć z zewnątrz gratis i franco!”

Równocześnie p. Żółkiewski chce mieć autentyczną literaturę. Bo tylko autentyczną literaturę określić można terminami literatury realistycznej, real-

nej, rzeczywistej. Państwo Żółkiewscy nie rozumieją jednak, że proces syntezy daje autentyczne wyniki tylko wówczas, jeżeli zachowane są wszystkie prawidłowości. Prawo to dotyczy w tym samym stopniu syntezy chemicznej jak i syntezy literackiej. Twórczość pisarska jest nie mniej skomplikowanym i nie mniej ściśle ukonstytuowanym procesem jak fabrykacja czekolady. A przecież — jak dotąd — nawet prof. Schaff nie proponował, by w procesie wytwarzania czekolady mączkę kakaową zastąpić trocinami. Podobnie, a raczej identycznie, w procesie syntezy literackiej nie da się zastąpić żadnego elementu „ersatzem”. Wprowadzenie „ersatzu” do procesu twórczości literackiej musi dać w wyniku „ersatz-literaturę”.

Byłoby znacznie uczciwiej gdyby komuniści zamiast podejmować beznadziejne próby kierowania twórczością literacką — oświadczyli otwarcie, że literatura jest im zupełnie niepotrzebna. Komunizm — jak i wszystkie ideologie i religie — niczego nie zawdzięcza literaturze. Przeciwnie p.sarze na całym świecie w 80 procentach są jego wrogami. Nawet w Polsce — kraju komunistycznym — najlepsze dzieła literackie są albo wręcz antykomunistyczne albo rewizjonistyczne. Uniknięto by wielu nieporozumień, gdyby marksiści zdali sobie wreszcie sprawę, że nigdy nie było i nigdy nie będzie autentycznej literatury komunistycznej. Państwu komunistycznemu w okresie szybkiej industrializacji potrzebna jest literatura będąca jednym (bynajmniej nie najważniejszym) elementem kultury masowej. Kultura masowa może być na niższym lub wyższym poziomie ale do tego rodzaju produkcji trzeba nie tylko rynku ale i specjalistów.

Polscy marksiści typu Żółkiewskiego czy Schaffa wychowali się i uformowali w kręgu kultury elitarnej. O kulturze masowej nie mają pojęcia i dlatego wydaje im się, że w jednym kraju można mieć ustrój komunistyczny oraz świetną literaturę, która byłaby na równie wysokim poziomie jak burżuazyjna literatura elitarna. Literatura ta z jednej strony ma kandydować do nagrody Nobla — z drugiej zaś strony pełnić funkcję komunistycznej „mass-culture”. Innymi słowy Żółkiewski wyobraża sobie, że można być Hemingway'em, Faulknerem, Forsterem czy Camusem i równocześnie żarliwym członkiem Podstawowej Organizacji Partyjnej Stowarzyszenia Literatów. To jest możliwe dla Putramentów ale nie dla potencjalnych Faulknerów czy Camusów. Putramentem trzeba się urodzić ale jest absurdem przypuszczać, że Camusów można przyciąć do Putramentów i równocześnie zachować nienaruszony ich talent i wielkość.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji?

Wyjście rozsądne jest tylko jedno. Trzeba przyznać autentycznym pisarzom i autentycznej literaturze margines wolności, rezygnując z komendowania. Wzorem w tym względzie winien być układ z kościołem: koegzystencja. Kościół nie może być komunistyczny, ale może istnieć w państwie komunistycznym. Autentyczna literatura nie może być komunistyczna, ale może istnieć w ramach państwa komunistycznego. Przykład: *Doktor Żiwago*. Fakt, że w Sowietach po 40 latach dyktatury komunistycznej powstają dzieła tej miary zdaje się wskazywać, iż „mass-culture” i „mass-literature” nie wyprą nigdy wielkiego pisarstwa. Ani Hollywood nie zlikwiduje Faulknerów ani pp. Żółkiewscy nie zlikwidują Pasternaków. Autentyczna literatura zaspakaja potrzebę, której nie da się odpowiedzieć inaczej. Bezkonfliktowa społeczność jest utopią, gdyż człowiek rodząc się przynosi z sobą na świat poczucie konfliktu. Owo poczucie jest nie tylko dynamem sztuki ale i dynamem

Historii. Gdyby się kiedyś powiedło produkować masy ludzkie wyzwolone z człowieczej konfliktowej sytuacji — byłby to koniec nie tylko sztuki, literatury i religii lecz również koniec procesu dziejowego. Oznaczałoby to, że kariera naszego gatunku dobiegła kresu i nie mamy już nic n.komu do powiedzenia.

INICJATYWY BEZSPORNE — PIENIĄDZE SPORNE

Jeden z moich przyjaciół zamieszkały we Francji pisze mi, że w Paryżu powstać ma w najbliższym czasie periodyk poświęcony problematyce naszych ziem zachodnich, a przede wszystkim obronie granicy na Odrze i Nysie. Pismo ma wychodzić w języku francuskim. Na redaktora przewidziany jest znany polityk przedwojenny, który choć odwiedzał ostatnio Warszawę zasadniczo jest emigrantem. Jest oczywiście, że periodyk tego typu nie może być imprezą samowystarczalną i musi być w takiej czy innej formie finansowany przez rząd warszawski od pierwszego numeru.

Jest wiele spraw bezspornych, których winniśmy bronić solidarnie wraz z rodakami w Kraju i z rządem PRL. W „Kulturze” nigdy nie reprezentowaliśmy poglądu, że każda zbieżność akcji z rządem warszawskim jest kolaborantstwem. Granica na Odrze i Nysie, skarby wawelskie, pomoc amerykańska dla Polski, stypendia dla polskich naukowców itp. — to są wszystkie zagadnienia, których pomyślnie rozwiązanie leży w bezspornym interesie narodu polskiego. Ale nawet dla bezspornie słusznej sprawy nie wolno walczyć w oparciu o sporne pieniądze. Wchodzi tu w grę zarówno moment moralny jak i czysto użytkowo polityczny. Periodyk poświęcony obronie ziem zachodnich finansowany pośrednio czy bezpośrednio przez rząd warszawski — choćby firmowali go działacze emigracyjni, dla Amerykanów, Francuzów czy Anglików będzie tylko jeszcze jednym propagandowym, pro-komunistycznym wydawnictwem.

Zupełnie inny wydźwięk ma akcja w obronie granicy na Odrze i Nysie podjęta przez niezależną emigracyjną instytucję, której stosunek do komunizmu nie może być kwestionowany — a zupełnie inny wydźwięk ma propaganda podejmowana przez zakamuflowane instytucje reżymowe czy za takie — słusznie lub niesłusznie — uchodzące. Przeciętny Amerykanin czy Anglik uważa za oczywiste, że wszyscy komuniści i *fellow-traveller*'si są za utrzymaniem granicy na Odrze i Nysie skoro nawet Ulbricht uznaje ją za nienaruszalną. Działacze emigracyjni dołączając do tego chóru grzebią swój niezależny głos i dewalują swoje stanowisko. Skuteczna i możliwa walczyć o granice na Odrze i Nysie wyłącznie z pozycji finansowo i politycznie niezależnej — bo tylko wówczas jako emigranci mamy szansę przekonania anglosasów, że cały naród polskich zdecydowany jest solidarnie bronić tej granicy a nie tylko ci, którzy znajdują się w obrębie sowieckiego wpływu i nacisku.

I jeszcze jest moment moralny. Jeżeli emigranci zaczną przyjmować choćby politycznie bezsporne prace zlecone od rządu PRL — maluczko a podzielimy się na dwa odłamy: na tych co biorą pieniądze z Free Europe i na tych co biorą pieniądze od administracji warszawskiej.

Sprawy i troski

Kronika australijska

Dr Zubrzycki tak wyczerpująco omówił sprawy Polonii Australijskiej pod względem socjologicznym (Kultura Nr 3/125), że aby się nie powtarzać poprzestaniemy na problemach marginesowych, nie opuszczając dobrze już znanej Czytelniczkom tutejszej Polonii.

W czasie Olimpiady w Melbourne, prócz wielu konkurencji, o których wynikach rozesłano wiadomości na cały świat, odbyła się ponadto walka w konkurencji dotąd nie notowanej: cicha i zawzięta walka, polegająca na pełnym czułości rzucaniu się sobie na szyję.

Prowadzona ona była z jednej strony przez polityków polskiej ekipy olimpijskiej, a z drugiej strony przez Polonię Australijską. W tej rozgrywce może tylko jeden na dziesięciu uczestników wiedział o co chodzi. Było to wkrótce po „Październiku”, więc cała ekipa jak jeden mąż głosiła, że Stalin, Bierut, komunizm to wszystko było złe.

My jesteśmy Polacy, wy jesteście Polacy, nic nas nie dzieli. Polska jest nad Wisłą. A Polska i państwo polskie to jedno. Komunizm? Gomułka — nie komunizm. Emigrantom zamąciło się w głowie. Zaczęli dochodzić do przekonania, że nie są emigrantami politycznymi, a częścią narodu rzuconą za oceany, którego centralny ośrodek leży w Warszawie, a „Kraj” reprezentuje Kraj.

Wśród emigracji nastąpił spontaniczny wybuch długo tamowanej tęsknoty do kraju, spotęgowanej wśród ludzi zagubionych, tęsknotą do należenia do czegoś. W prasie — artykuły ociekające łzami rozrzewnienia. Przyjęcia, serdeczności, a poza tym szczodre podarki, własne samochody, domy, luksus, szeroki gest, trochę blagi i samochwalstwa i w końcowym efekcie olimpijczycy doszli do przekonania, że ci Polacy to tacy sami jak i my, z tą jedną różnicą, że bogaci i szczęśliwi.

Gdy dodać do tego tysiące paczek wysyłanych z Australii — w Polsce powstała opinia o Australii, jako o rajach na ziemi.

Kto wygrał zawody pozaolimpijskie w konkurencji: Kochajmy się? Nieprzejeđnane stanowisko Polonii Australijskiej w stosunku do rządów w Polsce zostało mocno nadwątlone, a w Polsce popolitym marzeniem, nie tylko starych panów, stał się wyjazd do Australii. A że w narodzie, zwłaszcza słowiańskim, marzenia mają wpływ na kształtowanie się poglądów, więc ta tęsknota do „eksploatacji kapitalistycznej”, chyba nie przyspiesza skomunizowania narodu

Dzięki liberalnej polityce rządu Gomułki zaczęli ludzie z Polski emigrować do tej wymarzonej Australii. Przybyło ich tu już ponoć ponad 2 tysiące. I właśnie dlatego, że Australia nie jest tym spodziewanym rajem na ziemi, ale częścią padołu ziemskiego, gdzie będziesz pracować na chleb swój w pocie i znoju — przyszło rozczarowanie. Każdy z ulgą odetchnął, że może spać spokojnie, nie obawiając się nocnej wizyty, aresztu. Ale poza tym — samopoczucie fatalne. Ci co się wyrwali, to przeważnie najwięksi „cwaniacy”, którzy tam się czuli nadludźmi, a tutaj bez znajomości języka i stosunków — poczuli się podludźmi. Dochodzi do tego paradoksalne zjawisko. Gdy obywatele Republiki Ludowej, gdzie klasy zostały zlikwidowane i gdzie rządzi proletariats, trafią do kraju kapitalistycznego, okazuje się, że mają takie przedpotopowe poczucie różniczkowania klasowego i swej wyższości, że największym dla nich dramatem jest zdeklasowanie na robotnika.

W Australii zdarzają się wypadki, że np. kwalifikowany robotnik na skutek słabego zdrowia idzie pracować do biura, a gdy wyzdrowieje i sił nabierze, rzuca biuro, jako gorzej płatne i wraca do warsztatu. Toteż inteligent polski pracujący łopata czy miotłą zyma się, a piękna pani sprząając cudze mieszkania poplakuje.

Na depresję w pierwszym okresie wpływa czasowe bezrobocie, konieczność życia „z łaski sponsorów”, którzy ich sprowadzili, to że życie towarzyskie jest mało rozwinięte, zresztą obce środowisko, a każda już nie rozrywka nawet, ale spędzenie czasu kosztuje, jeżeli nie drogie bilety, to chociażby koszty transportu itd.

W tutejszej prasie emigrant sprzed roku pisze w liście otwartym do uchodźców w Wiedniu, wybierających się dalej emigrować: „Myślałem, że życie tu może być łatwiejsze i lżejsze, ale widzę, że jedynie łatwiej stać pomóc rodzinie w Kraju, natomiast namawiać kogoś na ten ląd i to życie — nie mam sumienia”. „Tutaj być sobą jest jedną z najtrudniejszych sztuk i to chyba człowieka najbardziej przesładuje”.

Świeżo przybyli powiadają nieraz: byle zebrać pieniądze na drogę i wrócić. Obserwacja pierwszych jaskółek, które tu przybyły już przed paru laty wykazuje, że gdy dostateczna ilość pieniędzy na drogę zostanie zebrana, wówczas ochota do powrotu odchodzi.

Ale akomodacja, integracja, asymilacja, czy jakim innym mądrym słowem to nazwiemy — przechodzi nie bezboleśnie.

Szok pierwszego okresu byłby znacznie osłabiony, gdyby jadący do Australii pamiętali, że przed trafieniem do nieba trzeba przejść przez czyszcieć.

Wydaje się, że gdyby tu przyjeżdżali prosić robotnicy, to by z pominięciem czyszczenia trafiali prosto do nieba. Ale takich spotyka się mało. Przyjeżdżają tu również panny w różnym wieku, te przynajmniej otwierają niebo emigrantom (nie koniecznie tym którzy je sprowadzili jako narzeczone), którzy dotąd na próżno szukali towarzyszkę życia.

Zdarzają się tu liczne nieporozumienia w wyniku akcji łączenia rodzin. Starszuszka matka nie może dojść do ładu z synową Australijką, czy Niemką. Narzeczona przez korespondencję stwierdza, że nie tylko ona błagowała o sobie, ale sprowadzający również najmował kogoś do pisania pięknych listów, małżonkowie, względnie rodzice i dzieci, po kilkunastoletniej rozłące są sobie obcy itd. itd.

Przybycie nowej emigracji wykazało, że uchodźcy wojenni już stali się „starą emigracją”. To co uchodźców raziło w starych Poloniach: zmaterializowanie, dorobkiewiczowskie prostactwo, brak szerszych zainteresowań, można by powiedzieć przyziemność, to samo widzą obecnie w zasiedziały już uchodźcach przybysze z Kraju. Stąd trudność porozumienia się przy odmiennej mentalności. Wydaje się jednak, że najnowsza emigracja nie

będzie potrzebowała aż 10 lat, by stać się „starą” i w ciągu paru lat różnice się zetrą.

Kończąc omówienie najnowszej polskiej emigracji do Australii, nie od rzeczy będzie wspomnieć o jednej z grup starszej emigracji, o której istnieniu widocznie „góra” emigracyjna mało wie.

P. Mieroszewski pisze mianowicie, że 50 polskich stypendystów z Kraju studiuje w Chinach, że obroty handlowe są wielkie i zainteresowanie tą rosnącą potęgą ogromne, a my, emigracja, nie mamy specjalistów w tej dziedzinie, nic o Chinach nie wiemy, nikt nie studiuje języka itd. Jeżeli emigracja to tylko Londyn — to tak. Jeżeli emigracja to cała polska diaspora na świecie — to nie.

W Sydney wszystkim trzem polskim księżom mogłoby się w roztargnieniu zdarzyć wygłoszenie z dawnego nawyku kazania po chińsku, i nie jeden z polskich parafian by go zrozumiał. Przybyło to bowiem około tysiąca Polaków z Chin (głównie z Mandżurii), znających stosunki i często język swego kraju urodzenia. Niektórzy przybyli dopiero w tym roku, a b. proboszcz z Charbina ogłasza, że poszukuje mieszkań dla swych byłych parafian mających tu wkrótce przybyć.

Gdy Australię odwiedzała delegacja rządu Wietnamu, wyszukano „do bawienia gości” polskich byłych dyplomatów, jako znawców spraw Dalekiego Wschodu. Tu bowiem osiadła po wojnie większość personelu polskich placówek dyplomatycznych ze Wschodniej Azji.

Zainteresowanie „chińszczyzną” nie jest obce najmłodszemu pokoleniu. Maturzysta w ramach historii nowożytnej, na tzw. „honor” bierze dodatkowo historię krajów wschodniej Azji, a zgodnie z tradycją rodzinną, wnuczka prof. Rozwadowskiego studiuje na tutejszym uniwersytecie właśnie język chiński. Na polskich zebraniach w Sydney również łatwo jest się dowiedzieć, ile po 8 latach rządów komunistycznych, kosztował obiad w Szanghaju, oraz jakie są zakulisowe powody, że Nehru nie znosi Czang-kai-szeka. (Chcąc się dowiedzieć, jak się przebywa drogą z chińskiego Turkiestanu poprzez Mongolię do portów morza chińskiego, trzeba by się pofatygować do klubu rosyjskiego, bo Polaków w Sinkiangu nie było).

Sydney miałoby dane do utworzenia emigracyjnego biura studiów spraw chińskich, ale jest to projekt nierealny, gdyż jak Chiny są szerokie, tak koszty byłyby wysokie. Sprawy Albanii czy Wenedów Łużyckich można studiować w wolnych chwilach, z Chinami byłoby to trochę trudniej.

W polskim klubie w Sydney miał odczyt znany australijski polityk, Mr. Santamaria, który głosił teorię, że w miarę narastania potęgi chińskiej będzie ona dążyć do dominacji w całej Azji wschodniej, co będzie jednak niewykonalne, bez opanowania Australii, jedynej możliwej bazy Zachodu, zapewnijającej panowanie na morzach i szachowanie ekspansji chińskiej. Toteż za parę dziesiątków lat może dojść do walnej rozprawy na tym odcinku.

Polski uchodźca z gorzkimi doświadczeniami wojennymi i skłonnością do szubienicznego humoru spojrzawszy na mapę powiada: Australia jest wspaniałym krajem, ale ma jeden defekt geograficzny — nie posiada Zaleszczyk.

E. ŻAGIELL

Najnowsza historia Polski

Wojskowe obozy szkolne w Szwajcarii

Obydwie dywizje polskie wystawione we Francji w latach 1939-40, tj 1. Dywizja Grenadierów oraz 2. Dywizja strzelców Pieszych, składały się z dwu różnych elementów. Większość żołnierzy stanowili emigranci z Polski do Francji, względnie ich synowie, resztę zaś element ochotniczy, który opuścił Polskę po klęsce r. 1939, by z Rumunii względnie z Węgier zdążyć do odradzającej się Armii Polskiej we Francji. Wśród tych ostatnich znajdowali się nie tylko oficerowie i podchorążowie studenci ale także znaczna ilość młodzieży w wieku gimnazjalnym.

Nie można się wobec tego dziwić, że ludzie ci, ledwie się jako tako urządziwszy w obozach internowania w Szwajcarii po klęsce francuskiej, gorączkowo zaczęli się rozglądać za możliwością kontynuowania studiów przerwanych w Polsce.

By dążeniom tym nadać właściwy kierunek, a poza tym by uzyskać konkretne dane dotyczące ilości studentów i kierunku ich studiów już dnia 6.7. 1940 polecił dowódca 2. DSP. gen. bryg. Prugar-Ketling sporządzenie odpowiednich list imiennych. W 6 tygodni później upoważnił on profesora uniwersytetu krakowskiego Vetulaniego, wówczas sierżanta-podchorążego, do porozumienia się ze sekretarzem Europejskiego Funduszu Pomocy Studentom (*Fonds Européen de Secour aux Etudiants*, w skrócie FESE) p. André de Blonay, w celu zbadania możliwości założenia obozów studenckich. Z chwilą gdy przedłożony plan został przez dowódcę 2. DSP zaakceptowany sprawa ruszyła szybko z miejsca. P. André de Blonay przedstawił sprawę ówczesnemu szefowi internowania pułkownikowi-dywizjonierowi (szwajcarski odpowiednik generała dywizji) de Muralt, który wyraził swą zgodę i ze swej strony przedłożył odpowiedni wniosek rządowi szwajcarskiemu do aprobaty i przyznania potrzebnych

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

kredytów. Rząd (*Bundesrat*) wniosek zaaprobował przyznając odpowiedni tymczasowy kredyt na ten cel, a szef internowania wyznaczył ppłk. szt. gen. Dr inż. Maksa Zellera, zarazem profesora Politechniki Związkowej w Zurychu (*Eidgenössische Technische Hochschule*, w skrócie *ETH*) inspektorem obozów szkolnych.

Ze studium list imiennych kandydatów na studia wynika konieczność zorganizowania następujących obozów:

- politechnicznego z językiem wykładowym niemieckim,
 - dwu obozów uniwersyteckich, jednego z językiem wykładowym niemieckim, drugiego z językiem wykładowym francuskim,
 - akademii handlowej z językiem wykładowym niemieckim,
 - liceum z klasą przygotowawczą w języku polskim.
- Ostatecznie zgodzono się na organizację:
- obozu akademickiego w Winterthur, (kanton Zurych) w oparciu o Politechnikę Związkową (*ETH*) i Uniwersytet w Zurychu (studia w języku niemieckim),
 - obozu uniwersyteckiego w oparciu o Uniwersytet we Fryburgu z językiem wykładowym francuskim,
 - obozu uniwersyteckiego w oparciu o Wyższą Szkołę Handlową w St. Gallen, studia w języku niemieckim,
 - obozu gimnazjalnego w Wetzikon (kanton Zurych) z językiem wykładowym polskim.

Obozy akademickie zostały uruchomione prawie jednocześnie (koniec października 1940) zamknięte pod koniec 1945 z tym jednak, że dzięki gwarancji Rady Polonii Amerykańskiej około 200 studentów mogło studiować do końca 1956.

Obóz gimnazjalny w Wetzikon uruchomiony został w listopadzie 1940 i rozwiązany w październiku 1944.

Ponieważ w ówczesnych warunkach dopuszczenie internowanych do studiów we wspomnianych uczelniach było ze względów wojskowych i politycznych niemożliwe zdecydowano się na zorganizowanie nauki w obozach. By jednak zapewnić właściwy kierunek studiów, wspomniane uczelnie w porozumieniu z inspektorem obozów, mianowały rektorów obozowych oraz potrzebną ilość dziekanów. Rektorzy ci i dziekani kontaktowali się z rektorami uczelni oraz profesorami wykładającymi danym grupom studentkim.

Dla ułatwienia pracy rektora obozowego oraz profesorów szwajcarskich wyznaczany był polski dyrektor nauk, wspierany przez kierowników grup naukowych („polscy dziekani”).

Ażeby bodaj częściowo odciążyc profesorów szwajcarskich dojeżdżających z wykładami (na początku czasem dwa razy dziennie) do obozów, podciągnięto do współpracy znaczną ilość internowanych polskich, którzy w zależności od stopnia wykształcenia akademickiego w Polsce pracowali jako pomocniczy docenci, asystenci, lektorzy itd.

Komendantem obozu był oficer szwajcarski wyznaczany przez szefa Związkowego Komisariatu dla spraw Internowania

i Hospitalizacji. W jego pracy wspierał go polski oficer odpowiedzialny obozu.

Wykluczenie z obozu nastąpić mogło albo ze względów dyscyplinarnych, na wniosek komendanta obozu, lub, w wyniku zaniedbywania studiów, na wniosek rektora obozowego. W każdym wypadku decydował inspektor obozów szkolnych, który podlegał bezpośrednio szefowi Związk. Kom. dla Spraw Int. i Hosp.

Studenci byli zakwaterowani bądź to prywatnie, u rodzin szwajcarskich bądź też byli „skoszarowani”.

Obozy szkolne podlegały początkowo odcinkom internowania. Ponieważ jednak nastawienie niektórych komendantów odcinków internowania w stosunku do obozów szkolnych pozostawiało często wiele do życzenia (dotyczyło to w szczególności obozów w Hersisau i Wetzikon), powołane zostało do życia w grudniu 1941 zgrupowanie obozów akademickich i gimnazjalnych, co dało bardzo pożądane rezultaty. Szwajcarski komendant obozu w Winterthur był komendantem zgrupowania, a polski oficer odpowiedzialny obozu Winterthur był zarazem oficerem łącznikowym zgrupowania.

I OBOZY AKADEMICKIE

1. Obóz akademicki w Winterthur (*Internierten Hochschullager Winterthur*, w skrócie *IHSL*)

Do obozu tego przyjęto początkowo 250 studentów na podstawie prowizorycznych egzaminów przeprowadzonych przez profesora Saxer (Politechnika) i Dr. Niggli (Uniwersytet).

Komendantami obozu, a od r. 1941 równocześnie komendantami zgrupowania obozów szkolnych, byli kolejno ppłk. Siegrist, kpt. Kropf i ostatnio ppor. Bürge. Polskimi oficerami odpowiedzialnymi obozu Winterthur a zarazem oficerami łącznikowymi zgrupowania byli ppłk. dypl. Narzyski, płk. Reder, mjr Karolus i ostatnio por. Kocwin, ten ostatni tylko jako oficer odpowiedzialny obozu Winterthur.

Rektorem obozu, tak z ramienia Politechniki jak i Uniwersytetu zurychskiego, został mianowany były rektor politechniki prof. Dr inż. Charles Andreae, a polskim dyrektorem nauk mjr Dr T. Keller.

Tych 250 studentów studiowało na 6 wydziałach politechniki i 4 wydziałach uniwersytetu zurychskiego.

A. GRUPY POLITECHNICZNE

1. *Architektura*: dziekani prof. Dr Dunkel, Birchler, Hoffmann, poza tym 15 profesorów i 9 docentów szwajcarskich, oraz 8 polskich architektów i inżynierów.

2. *Inżynieria budowlana*: dziekan prof. Dr inż. Ch. Andreae, 8 profesorów i 9 docentów szwajcarskich, oraz 14 polskich asystentów.

3. *Budowa Maszyn*: dziekan prof. Dr Honegger, 3 profesorów szwajcarskich, polski profesor Dr Ebermann, 11 docentów szwajcarskich oraz 16 asystentów i 3 lektorów polskich.

4. *Elektrotechnika*: dziekan prof. Dr Honegger, 4 profesorów szwajc., 1 profesor Polak, 14 docentów szwajc. oraz 24 docentów i 6 asystentów polskich.

5. *Chemia*: dziekan prof. Dr Ruzicka, 3 profesorów i 2 docentów szwajc., oraz 14 asystentów i 2 lektorów polskich.

6. *Rolnictwo i Leśnictwo*: dziekan prof. Dr Gäumann, 20 profesorów i 19 docentów szwajc. oraz 12 asystentów i 2 lektorów polskich.

B. GRUPY UNIwersYTECKIE

7. *Medycyna*: dziekan prof. Dr Veraguth, po jego śmierci prof. Dr Fischer, 12 profesorów i 16 docentów szwajcarskich oraz 7 asystentów polskich.

8. *Weterynaria*: dziekan prof. Dr Veraguth, po jego zgonie prof. Dr Fischer, 12 profesorów i 7 docentów szwajcarskich oraz 6 asystentów polskich.

9. *Pedagogia*: dziekan prof. Dr Veraguth, po nim prof. Dr Fischer, 12 szwajcarskich i 3 polskich asystentów. Studium według polskiego regulaminu.

10. *Prawo*: dziekan prof. Dr Kaegi, 12 profesorów i 2 docentów szwajcarskich oraz 13 asystentów i 6 lektorów polskich

Ilość studiujących w poszczególnych latach wojny wynosiła:

Rok	Studentów	Ubiegających się o doktorat	Habilt.
1949-41	249	2	—
1941-42	268	10	1
1942-43	229	40	2
1943-44	209	42	2
1944-45	177	56	1
1945-46	67	28	3

oraz 37 ubiegających się o końcowe dyplomy.

Studia przebiegały następująco:

1-rok studiów (1940-41), 100% wykładów odbywało się w obozie w Winterthur,

2-rok studiów (1941-42), tylko bardzo ograniczona ilość zaawansowanych w studiach mogła studiować bezpośrednio na Politechnice i Uniwersytecie w Zurychu,

3-rok studiów (1942-43), dwa ostatnie roczniki studiowały całkowicie w uczelniach zurychskich.

4-rok studiów (1943 i później), prawie wszyscy mogli studiować w uczelniach zurychskich, przy czym byli oni tylko wolnymi słuchaczami obu wyższych uczelni.

Sprawa imatrykulacji na uniwersytecie a zwłaszcza na politechnice była szczególnie uciążliwa. Lecz po pokonaniu początkowych trudności uzyskali studenci obozu akademickiego Winterthur stopniowo możliwość studiowania tak na politechnice, jak i na uniwersytecie jako równoważnościowi studenci, oraz składania egzaminów i uzyskiwania dyplomów w równym stopniu jak ich szwajcarscy koledzy.

Od początku istnienia obozu akademickiego Winterthur aż do semestru zimowego 1945-46 uzyskali studenci tego obozu następujące dyplomy:

Politechnika:

Dyplom doktora wiedzy technicznej (<i>doctor scient, technic.</i>)	10
" architekta	14
" inż. lądowej	2
" inż. maszyn.	32
" elektroinżynierski	12
" inż. chemii	22
" " leśn.	2
" " wiedzy przyrodn.	1
" " roln.	16
Razem	111

Uniwersytet:

Dyplom lekarski	12
" doktora med.	14
" lek.-wet.	2
" doktora wet.	4
" " praw	3
" " ekonomii	4
" magistra fil.	9
" doktora fil.	4
" konserwatorium muz.	1
Razem	53

Do tego doszło jeszcze w r. 1946 i później około 110 dyplomów doktorskich i inżynierskich.

W ten sposób łączna ilość dyplomów przypadających na ten obóz wyniosła 250. Ogółem w czasie trwania obozu studiowało ponad 500 studentów.

Poza tym asystenci polscy wykonali 35 prac, z tego 6 w języku polskim. Znaczna ilość egzemplarzy tych prac została

przesłana kolegom polskim przebywającym w obozach jenieckich w Niemczech.

Konieczność zwięzłości nie pozwalała na szczegółowy opis wewnętrznej organizacji obozu i jego życia. W każdym razie bodaj wspomnieć należy znany, 55 głosów liczący chór obozowy prowadzony początkowo przez Szotkowskiego, a później przez Sypniewskiego. Chór ten dawał prawie co miesiąca koncert w Winterthur oraz dał okazałą ilość koncertów pozamiejscowych objeżdżając liczne miasta i miasteczka Szwajcarii. Koncerty te cieszyły się dużym powodzeniem również z uwagi na dochód, który przeznaczony był na głodujące dzieci w Polsce. Wymienić tu należy solistę tenora Z. Pęgowskiego, oraz obu pianistów Bilewicza i Kagana. W obozie rozwijało się również życie artystyczne czego dowodem były urządzone okresowo wystawy artystów-malarzy, rzeźbiarzy, fotografów, grafików itp.

Czas wolny od wykładów i pracy własnej — niestety nie było go dużo — spędzali żołnierze-studenci w świetlicy żołnierskiej, której patronowała P. Clary Schoellhorn, żona doktora K. Schoellhorna, przedsiębiorcy. Świetliczarką była P. Amy Glogger. Jedną ze ścian świetlicy stanowiła artystycznie olejnymi farbami wykonana regionalna mapa Polski z r. 1939, podczas gdy inne ściany świetlicy ozdobiłone były alegoriami oraz olejnymi fragmentami z walk 2. DSP.

Komitet pań z Winterthur kierowany przez p. Studer, żonę miejscowego lekarza opiekował się niezmordowanie bielizną osobistą studentów, a zaopatrzeniem obozu w mundury, obuwie itd. kierowała wierna jego opiekunka P. Frauenfelder.

Podkreślić należy szczególnie życzliwy stosunek ludności cywilnej miasta Winterthur i władz miejskich do obozu i jego studentów. Toteż po skończonej wojnie Bratnia Pomoc obozu, by dać wyraz swym uczuciom wdzięczności wobec ludności i władz miejskich, wmurowała tablicę pamiątkową na jednej ze ścian miejskiego muzeum rzemiosła.

2. OBÓZ UNIWERSYTECKI WE FRYBURGU

Obóz ten został otwarty dnia 3.II.1940. Początkowo mieścił się on w szkole rolniczej w Grangeneuve, później, od maja 1941, w La Chasotte, a od zimy 1941 w proseminarium „St. Louis”. W jesieni 1942 zostało oddane do dyspozycji obozu „Albertinum”. W St. Louis zamieszkiwali studenci najmłodszych roczników, w Albertinum oficerowie-studenci, asystenci, studenci ubiegający się o końcowy dyplom, oraz studenci ostatniego rocznika, podczas gdy starszym wiekiem oficerom i asystentom przydzielano pokoje na mieście.

Komendantem obozu od r. 1945 był kpt. Clément, który bardzo troszczył się o obóz. Niestety tak przed nim jak i po nim komendanci obozu zmieniali się stosunkowo często.

Polskimi oficerami odpowiedzialnymi byli kolejno: ppłk-łotnik Jasiński, ppłk dypl. Filipowski, oraz mjr dypl. Nowaczyński. Prowadzenie obozu było tutaj znacznie ułatwione, gdyż obóz stanowił do pewnego stopnia koszary.

W pierwszym roku istnienia obozu zorganizowano wydział prawny i humanistyczny. Do obozu należeli także studenci teologii, którzy jednak początkowo przebywali w obozie francuskim w Hauterive, a później w seminarium duchownym we Fryburgu. Z czasem wydział praw podzielił się na grupy prawniczą, oraz handlu i gospodarki narodowej, a do wydziału humanistycznego dodano grupę matematyczno-przyrodniczą. Na czele obozu stał rektor obozu z polskimi szefami grup naukowych prof. Vetulanin i mgr. Brzozowski. Rektorami obozu nadzwyczaj serdecznie mu oddanymi byli kolejno: prof. Dr Cros i prof. Dr Siegwart, a po ich kolejnym zgonie prof. Dr Oswald.

Program studiów pierwszego roku nie odpowiadał ściśle programowi studiów wszechnicy fryburskiej, nie było bowiem docentów szwajcarskich w dostatecznej ilości. Z konieczności więc uwzględniano w planie studiów w dużym stopniu polski materiał naukowy.

W obozie tym studiowało w sumie 240 akademików, większość spośród nich stanowili prawnicy.

Ilość studiujących w poszczególnych latach wojny przedstawia się następująco:

Rok	Stud.	Ubiegający się o doktorat	Ubiegający się o habilit
1940-41	39	22	1
1941-42	87	43	1
1942-43	138	43	1
1943-44	143	36	1
1944-45	96	23	1
1945-46	30	17	1

Osiągnięto następujące wyniki:

Wydział teologii	2 licencjaty teol.
„ filozofii	4 „ fil.,
„ „	7 dypl. dokt.,
„ praw	3 licencjaty praw.
„ „ (Handel i Ekonomia)	5 dyplomów doktorskich
„ „ „ „	2 dyplomy doktorskie
„ „ (Ekonomia Narod.)	14 lic. ekon. nar.
„ „ „ „	3 doktoraty
„ „ „ „	4 dyplomy,
„ „ (2-letnie Stud. Handl.)	3 dyplomy.
Instytut Francuski	114 różnych dyplomów
W sumie uzyskano jednak:	

Na wydziale prawnych miała miejsce jedna habilitacja. Dwu licencjantów (magistrów) teologii uzyskało święcenia kapłańskie.

Poza tym opracowanych zostało 66 prac naukowych, z czego 26 w języku francuskim i 15 w języku niemieckim.

Ponieważ studenci byli w większości skoszarowani życie obozowe siłą rzeczy było lepiej zorganizowane niż w obozie w Winterthur. Studenci nie byli zmuszeni tracić czasu na przejazdy kolejowe jak to miało miejsce w odniesieniu do ich winterthurskich kolegów.

Bratnia Pomoc obozu zorganizowała chór pod kierownictwem Zygma. Estreichera. Poza tym, analogicznie jak w obozie w Winterthur, istniała sekcja narciarska oraz klub lekkoatletyczny.

3. OBÓZ AKADEMICKI W HERISAU

Obóz ten zmuszony był wielokrotnie zmieniać miejsce swego postoju. Początkowo był w Sirnach, od kwietnia 1941 w Gossau, by ostatecznie w październiku 1941 usadowić się w Herisau. Niemniej często zmieniali się szwajcarscy komendanci obozu. W sumie, w czasie trwania obozu było ich dziesięciu. Przez dłuższy czas funkcje te spełniali ppor. Innen, kpt. Kropf i por. Stalder.

Podobnie jak obydwie poprzednie obozy i ten obóz początkowo podlegał odcinkowi internowania, w obrębie którego leżał lecz na skutek negatywnego ustosunkowania się ówczesnego komendanta odcinka (*nomina sunt odiosa*), do tego obozu utworzone zostało w grudniu 1941 zgrupowanie obozów akademickich i gimnazjalnych.

Polskimi oficerami odpowiedzialnymi obozu byli kolejno mjr Semilski, mjr dypl. Dziamski, oraz pod koniec kpt. Paszkowski.

Rektorem obozu przez cały czas jego trwania był profesor Dr Max Wildi z Wyższej Szkoły Handlowej w St. Gallen. Program studiów całkowicie odpowiadał programowi tejże uczelni. Profesorowie jej dojeżdżali do Sirnach, Gossau i Herisau, wygłaszali tam wykłady, przeprowadzali konwersatoria i egzaminy. Począwszy od letniego semestru 1942 dozwolono 50 studentom dojeżdżać na pewne określone wykłady do uczelni w St. Gallen, zasadniczo jednak nauka nadal odbywała się w obozie. Dopiero od letniego semestru 1943 zezwolono wszystkim studentom studiować w St. Gallen, a to z powodu wyczerpania się możliwości studiowania na wyższych semestrach w obozie.

Wykłady i ćwiczenia w obozie prowadziło 7 szwajcarskich profesorów, 4 docentów i 3 lektorów. Współpracowało z nimi

18 polskich asystentów. Polskim dyrektorem nauk był początkowo Olechowski, po nim Dr Sembrat, a w końcu magister Mierzwa.

Obóz liczył

w roku szkolnym	1940-41	95	studentów
	1941-42	91	„
	1942-43	68	„
	1943-44	61	„
	1944-45	35	„
	1945-46	12	„

W sumie w obozie tym studiowało 141 studentów. Ogółem studenci uzyskali 48 dyplomów, w tym 21 dyplomów przemysłowych i 27 handlowych. Czterech studentów uzyskało doktoraty ekonomii.

W obozie szczególnie czynna była Bratnia Pomoc, która rozpoczęła działalność już w listopadzie 1940. Istniała również sekcja sportowa oraz chór pod kierownictwem Gorzelańczyka.

W stosunku do obozu szczególne zasługi położył jego rektor profesor Dr Max Wildi. Nie należy jednak zapominać o pozostałych profesorach St. Gallen'skiej uczelni i wymienionych powyżej imiennie szwajcarskich komendantach obozu. Z miejscowego społeczeństwa w Herisau obozem opiekowała się P. Maria Hohl.

4. KURSY NAUCZYCIELSKIE

Dzięki poparciu szwajcarskiego Związku Nauczycielstwa uruchomiony został przy obozie akademickim w Winterthur kurs nauczycielski. Trwał on 6 miesięcy. Na kursie tym wykładało 8 szwajcarskich profesorów oraz 7 polskich wykładowców. Niestety spośród 24 uczestników kursu dotrwało do końca zaledwie 13. Tylko 9 spośród nich złożyło egzamin końcowy. Kurs miał na celu odświeżenie i pogłębienie wiadomości z dziedziny dydaktyki i pedagogii. Słuchacze tego kursu uczestniczyli następnie w jednorocznym kursie Seminarium Leczniczko-Pedagogicznego przy Wszechnicy Zurychskiej.

OGÓLNE

Z tego co powiedziano powyżej wynika, że Konfederacja Helwecka umożliwiła 880 polskim żołnierzom-studentom odbycie wyższego studium oraz, że w jej wyższych uczelniach uży-

skali oni ponad 300 różnych dyplomów, w tym 36 doktoratów oraz, że dwu polskich docentów uzyskało habilitacje. Dwutomowe dzieło „Zbiór prac naukowych Polaków internowanych w Szwajcarii” jest dowodem pracy dokonanej w obozach akademickich.

Koszta utrzymania obozów szkolnych ponosił Związkowy Komisarjat dla Spraw Internowania i Hospitalizacji. Wydatki na ten cel od początku semestru zimowego 1940-41 do końca semestru letniego 1945 oceniać należy na kwotę 1,5 — 2 milionów franków szwajcarskich. Poza tym obozy akademickie otrzymywały z FESE za pośrednictwem P. André de Blonay w Genewie pokaźne sumy w dotacjach miesięcznych. Przeznaczone one były na polepszenie wyżywienia oraz na podwyższenie żołdu (kieszonkowego) żołnierzy-studentów w stopniu szeregowców. FESE otrzymywało te pieniądze z Rady Polonii Amerykańskiej (*American-Polish War Relief*). Wydatek na ten cel wyniósł w latach 1940-1945 kwotę 96200 dolarów. Kiedy po zakończeniu wojny, pod koniec 1945, władze szwajcarskie zamierzały zamknąć obozy akademickie Rada Polonii Amerykańskiej zagwarantowała dalszy udział w utrzymaniu tych obozów tak, że mogły one istnieć do końca 1956, by umożliwić zaawansowanym w studiach żołnierzom-studentom uzyskanie końcowych dyplomów, względnie doprowadzenie studiów do pewnej końcowej fazy. Potrzebna w tym celu dotacja wyniosła 33288 dolarów, co w sumie z poprzednią czyni 129.488 dolarów, a więc około 600.000 franków szwajcarskich.

W czasie swego pobytu w r. 1950 w Europie i podróży przez Szwajcarię prezydent Rady Polonii Amerykańskiej Dr Fr. Swietlik w towarzystwie delegata na Europę F. Piskorskiego złożyli wizytę Prezydentowi Konfederacji P. H. Petitpierre, by mu osobiście podziękować w imieniu społeczności polsko-amerykańskiej za troskliwą opiekę nad żołnierzami-studentami w czasie wojny.

Skoro już mowa o zagadnieniach materialnych to stwierdzić należy, że 2. Dywizja Strzelców Pieszych nie jadła za darmo chleba w czasie internowania w Szwajcarii.

W czasie bowiem kiedy 900 żołnierzy-akademików studioowało w obozach akademickich i dalsze 2.000 żołnierzy kształciło się w innych obozach szkolnych, jak to zobaczymy poniżej, pozostałe 10.000 żołnierzy tej dywizji pracowało w przeróżnych obozach pracy, by pomóc społeczności szwajcarskiej w wykonaniu gospodarczego planu Wahlena. Wykonana przez nich praca wyrażająca się sumą 798799 dniówek kosztowała władze internowania tylko 33138000 franków szwajcarskich, przedstawiała jednak wartość 65105000 fr. szwajc. według stawek cywilnych. Lojalnie trzeba jednak przyznać, że wiele spośród tych prac uruchomiono tylko dlatego, że istniała podaż rąk roboczych, ale i z drugiej strony dodać należy, że miało to miejsce w czasie, gdy w Szwajcarii w związku z dużym odsetkiem mężczyzn powołanych pod broń o robotnika było trudno.

II. OBÓZ GIMNAZJALNY WETZIKON

Obóz ten został otwarty 25 listopada 1940 w Oberburg, lecz po paru miesiącach przesunięto go (luty 1941) do Wetzikon. Zgodnie z organizacją polskich szkół średnich, która przewidywała 4 klasy gimnazjalne z jednolitym programem nauczania i 2-letnim liceum z klasycznym, humanistycznym, wzgl. matematyczno-przyrodniczym programem nauczania, uruchomiono w tym obozie ostatnią klasę gimnazjalną oraz liceum.

Program nauczania opierał się na przepisach polskiego Ministerstwa Oświaty, które zostały wydane w lipcu, wzgl. sierpniu 1939. Liceum w Wetzikon zatem było jedyną średnią szkołą polską na świecie, której dane było wówczas w atmosferze wolności, przepisy te w życie wprowadzić i stosować. Dawało to możliwość wszystkim żołnierzom polskim w Szwajcarii, w zależności od ich uzdolnienia, uzyskania polskiego świadectwa dojrzałości.

Śród licznych komendantów tego obozu wymienić należy por. Wegmanna, oraz jego następców kpt. Genge i ppor. Bürge. Jako polscy oficerowie odpowiedzialni fungowali mjr Gurbiski i Zarzycki, oraz ppłk. Rohoziński.

Dyrektorem obozu był profesor Dr Drobny a nauczycielami, poza 2 Szwajcarami, internowani Polacy. Językiem wykładowym był polski. Inspektor obozów szkolnych pozostawił temu obozowi pełną swobodę w organizacji nauki i życia obozowego. Egzamin dojrzałości odbywały się całkowicie na zasadzie polskich przepisów. Tematy wypracowań pisemnych wymagały zatwierdzenia inspektora obozów szkolnych. W ustnych egzaminach dojrzałości obok polskich uczestniczyli także szwajcarscy rzeczoznawcy, dzięki temu świadectwa dojrzałości wydawane przez liceum w Wetzikon uznawane były przez szwajcarskie wyższe uczelnie na równi z przedwojennymi maturami polskimi. W obozie tym korzystało z nauki 379 uczniów, z tego 185 (w tym 2 cywilnych) zdało egzamin dojrzałości pomyślnie. Przeważająca większość maturzystów obozu w Wetzikon udała się następnie na studia do obozów akademickich; 29 spośród nich ukończyło swe studium wyższe na politechnice w Zurychu, wzgl. w jednym ze wspomnianych powyżej uniwersytetów.

Obóz gimnazjalny w Wetzikon zakończył swą pracę w październiku 1944 r.

III. KURSY KSZTAŁCĄCE ZAWODOWO

Zadaniem tych kursów było wykształcenie fachowców w różnych dziedzinach życia gospodarczego. Rozmiar i poziom tego przygotowania zależały przede wszystkim od czasu trwania

kursu, ale także i od stopnia przygotowania kandydatów, oraz od stojących do dyspozycji środków nauczania, jak również i od okoliczności w jakich dany kurs pracował. Były dwa ośrodki kształcenia zawodowego, jeden w Lotzwil (potem kolejno w Lommis i Matzingen). Jego inspiratorem i kierownikiem był ppłk Czoch. Drugi ośrodek istniał przy obozie akademickim Winterthur w Winterthur-Töss. Tak w pierwszym jak i w drugim obozie instruktorami i nauczycielami byli polscy inżynierowie, technicy i zawodowi pedagodzy.

W pierwszym obozie przeprowadzono następujące kursy:

7 kursów	handlowych, ukończyło	342	osób
7 „	rysownictwa tech., ukończyło	204	„
4 „	rysownictwa (uzup.) „	204	„
3 „	rolnicze „	103	„
1 kurs	budowy dróg „	41	„
1 „	melioracyjny „	19	„
1 „	melioracyjny i bud. dróg „	25	„
1 „	kierowców „	49	„
23 kursy		891	„

Kursy te trwały 2-8 miesięcy. Wymieniona powyżej ilość uczestników ukończyła kursy pomyślnie otrzymała odpowiednie zaświadczenia.

W Winterthur-Töss przeprowadzono 10 kursów, które trwały 1-7 miesięcy. Kursy te ukończyło 193 uczestników, w tym 24 uchodźców cywilnych. Nauka na tych kursach dawała przede wszystkim przygotowanie praktyczne. Odbywała się ona w 7 własnych pracowniach warsztatowych. W związku z niezbędną teorią wykładaną na tych kursach, opracowano i wydrukowano (nakładem YMCA) 12 podręczników fachowych. Wielu absolwentów tych kursów otrzymało po ich ukończeniu praktykę w różnych przedsiębiorstwach szwajcarskich.

Kursami tymi szczególnie opiekowali się Dr Jan Lagutt z Bazylei i P. Maria Hohl z Herisau.

IV. SZKOŁA POWSZECHNA

Wśród żołnierzy z DSP było wielu takich, co ukończyli zaledwie parę klas szkoły ludowej, byli między nimi także tzw. analfabeci wtórni. Poza tym w szeregach z DSP było sporo żołnierzy, którzy szkołę powszechną ukończyli we Francji i chcieli uzupełnić swe wiadomości, zwłaszcza z dziedziny przedmiotów ojczyźtych w polskiej szkole powszechnej. W ciągu 3 lat zorganizowano więc 3 kursy centralne, w których nauczano 24 nauczycieli. Dokładnie 295 żołnierzy otrzymało świadectwa, Po-

za tym w 48 kursach obozowych, w których nauczano 120 instruktorów brało udział 700 żołnierzy, 201 spośród nich uzyskało świadectwa. Z chwilą gdy przewidziany programem nauczania materiał został wyczerpany, odbywał się egzamin wobec specjalnych komisji. Do tych egzaminów dopuszczono z kursów centralnych i obozowych 552 żołnierzy, z których 496 otrzymało świadectwa.

Główną zasługę zorganizowania tych kursów przypisać należy — poza Związkowym Komisariatem dla Spraw Int. i Hospitalizacji, który przyczyniał się do stworzenia każdego nawet najmniejszego kursu — przede wszystkim Wszechświatowemu Komitetowi Związków Młodzieży Chrześcijańskiej w Genewie, innymi słowy znanej i zasłużonej w Polsce przedwojennej, YMCA (*Young Men's Christian Association*). Przedstawiciele tej organizacji, kpt. Johannot, Jones i Kozłowski to postacie znane do brze wszystkim żołnierzom z DSP. Dużo trudu i ofiarnej pracy włożyli w te kursy kpt. Czerniawski, oraz inspektor Przestalski.

Jan KAROLUS

OSTATNIE WIADOMOSCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Wolna Trybuna

Mise au point

W styczniu 1955 r., w swoim ówczesnym charakterze prezesa rządu na emigracji, byłem w Nowym Jorku i byłem zaszczycony zaproszeniem przez jednego z nielicznych poetów-Polaków mego pokolenia, Lechonia. Podał mi on książkę do wpisywania aforyzmów lub tylko nazwisk. Na jednej z kart znalazłem nazwisko i tytuły ks. prałata Waleriana Meysztowicza, kanonicznego radcy Ambasady przy Stolicy Apostolskiej. Uśmiechnęłem się do wspomnień o wspólnej z Walutkiem służbie w partyzanckim oddziale konnym w 1919 i 1920 r. i wpisałem swe chudopacholskie nazwisko pod jego arcy-ziemiańskim, pozwalając sobie objąć obydwą wspólną kłamrą z objaśnieniem: szeregowi ułani jazdy wileńskiej mjr. Dąmbrowskiego, bo każdy chętnie wspomina epokę, która mu była najmiłszą.

Teraz, w styczniu 1959 r., chorując na bardzo bolesną dolegliwość na riwierze francuskiej, wezbrała mnie tęsknota do człowieka, z którym przez całe życie łączyły mnie, jak mi się zdawało, jednakowe przywiązania, napisałem do niego, że rad bym go widzieć. 22 stycznia numerowy podaje mi depeszę. Niepokoiłem się właśnie co tam się dzieje w Londynie w pewnej sprawie, toteż wyciągnęłem do tej depeszy rękę spragnioną. Ale depesza była z Rzymu i głosiła: „Nie, Meysztowicz”.

Ludzie nerwowi w takich wypadkach piją szklaneczkę bromu, ale mnie brom szkodzi, więc sięgnęłem po pióro, którym władać jeszcze potrafię.

II

Ale nie mam zamiaru ograniczać się do incydentalnej strony, tego indydentu. O! nie. Pojeźdźmy sobie po różnych, od siebie w czasie i przestrzeni bardzo odległych ścieżkach.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Przeczytałem: „Syna Zadzumionych” Tadeusza Nowakowskiego w ostatnim numerze „Kultury” i jestem zupełnie olśniony. Zawsze wysoko ceniłem tego imponującego mruka polskiej literatury emigracyjnej. Jego zwięzłość, twardość, prostota, surowy realizm o ileż bardziej mi odpowiadały aniżeli słotniczy patos jego imiennika Zygmunta, prastowiańskiego guślarza w Londynie, jako miejscu zamieszkania. Staruszek Zygmunt Nowakowski jest co prawda od Tadeusza bardziej ogierowaty a ognie bengalskie scenicznych ognisk, przez które tam i z powrotem skacze, są oczywiście bardziej kolorowe w swych jaskrawościach. Ale wołę Tadeusza.

Ale to co mnie olśniło w „Synu zadzumionych” polega na czymś zupełnie konkretnym, na współczesności tego kawałka literatury ze współczesnością realnie polityczną. Muszę się bliżej wytłumaczyć: To nie o to chodzi, że w nowelce „Syn zadzumionych” autor wspomina już o Janie XXIII a więc o jak najnowszym fakcie historycznym, ale o to, że pisząc w przededniu 1959 r. minął wiele fluktuacji ideowych i pojęciowych, które w ostatnim dziesięcioleciu zrodziły się dopiero, przeżyły niemożliwość, przeskoczyły pacholeństwo, młodość, zdołały już zdziadzić. I tak jest właśnie tylko u Tadeusza Nowakowskiego, a jeszcze ściślej ten stan rzeczy spotkałem tylko w noweli „Syn zadzumionych” tego autora. We wszystkich innych utworach, po polsku pisanych, zarówno zagranicą, jak w kraju wszyscy siedzimy na tych zwalach powstałych z trzęsienia ziemi w latach 1945 i 1947 i kwilimy na sposób zawodzący lub drętowomówny. Nie ruszyliśmy paznokciem naprzód w epoki lat następnych, liczących sobie już 10 a więc w epoki, która jak każda rzecz będąca czasem, zmienia, poprawia, koryguje, starzeje, młodzi. Niczym ten Kazimierz Tetmajer, który tak kochał syna, że trupa jego trzymał na materacu w swoim pokoju hotelowym nie chcąc dopuścić do świadomości, że nie żyje. Tymczasem trup ukochanego syna był jednak czymś zupełnie innym niż żywy syn i Tetmajer musiał się z nim rozstać, gdy po ataku bólu doszedł do oprzytomnienia.

Mniej zapewne Tadeusz Nowakowski zadowolony będzie z tego co powiem dlatego posiada on ten instykt współczesności, którzy wszyscy jego koledzy po piórze, łącznie, co jest dziwne, z najbardziej krajowymi, nie posiadają, względnie nie potrafią sobie wyrobić. Oto dlatego, że Tadeusz Nowakowski zawsze wydawał mi się być Niemcoidem, człowiekiem o kulturze niemieckiej. Bynajmniej nie znaczy to, abym kwestionował to, że jest gorącym polskim patriotą. Ale to, że my wszyscy gramy filmy Chaplina w dawno już przebrzmiałych kracjach, a on swoją epoką wyprzedza ostatnie wspaniałości filmu włoskiego, wynika właśnie z tego, że jako człowiek którego mentalność otwarta jest do zrozumienia niemieckiego życia i jego zmian, za zmianami tymi poszedł w odpowiedniej szybkości, podczas gdy my wszyscy tkwimy w jakichś zamrożonych powijkach, tej

epoki, którą powyżej wskazałem, a które schwyciła nas i zamroziła.

Trudno, Polak jest to zwierzę podatne dla języka francuskiego, lub rosyjskiego, tak jak w pokoleniu świeżo wymarłym było dużo Polaków mówiących narzeczem habsburskim i stosujących maniery hiszpańskie. Ale Polaków będących kulturalnie Niemcami nie było, poza zaborem pruskim. Nowakowski dla mnie był zawsze bardziej bydgoszczaninem niż Polakiem. Nawet w swoich kwalifikacjach moralnych dzisiejszych Niemców jest zupełnie odmienny od innych Polaków, na przykład ode mnie. Zupełnie inne są moje pojęcia, które grupy niemieckie ponoszą w pierwszej linii odpowiedzialność za sukcesy Hitlera, niż Nowakowskiego. Zupełnie inne sympatie i antypatie do tego, co się w Niemczech po zakończeniu wojny stało, i co się tam przeżyło. Hitler ze wściekłością mówił kiedyś o międzynarodówkach, wyliczając między innymi także międzynarodówkę polowań, do której włączał myśliwych niemieckich i polskich. Otóż do tej międzynarodówki Nowakowski na pewno nie należy.

Ale zawróćmy z dygresji i powróćmy do tematu.

Otóż Nowakowski jest ze wszystkich literatów polskich aktualny, my wszyscy zdezaktualizowani, *nous sommes dépassés par les événements*, komicznie spóźnieni w swoich rozumowaniach. Pomiędzy jednak „wszystkimi” a sobą samym, robię pewne różnice. Jestem oczywiście w sentymentach bardziej opóźniony od wszystkich innych, ale mam przynajmniej świadomość że świat poszedł naprzód i że moje kwilenie jest śmieszne, a inni tego nie mają. To tak jakby ktoś leżał na torze kolejowym, ponieważ wypadł z wagonu i piszczał, aby pociąg się zatrzymał, chociaż nie tylko dawno już nie widać komina lokomotywy, lecz od chwili samego wypadku upłynęło już lat kilkanaście.

III

Przerwijmy jednak humorystykę na tragicznym sosie, oddajmy się humoryście na sosie wesołym.

Wspomnienia przyjemne:

Oto rok 1919 koło którego cała moja zawiedzona miłość do Walutka będzie się kręcić. Przyjeżdżam z frontu do ojca Walutka, p. Aleksandra Meysztowicza, nawiasem mówiąc przewyższającego swego syna inteligencją w sposób zupełnie fenomenalny. Aż mi dziwne dlaczego człowiek o tak wybitnym mózgu prawdziwego męża stanu, człowiek należący do pierwszego półtuzina wielkich inteligencji w Polsce w czasach, w których zylem, mógł spłodzić takie miłe kurczątka inteligencji, jakim był zawsze Walutek, co z serdeczności i przywiązania do niego zawsze ukrywałem starannie, a co teraz będzie ujawnione dokładnie. Stary p. Meysztowicz leży w łóżku, ja wciąż jeszcze przyzwyczajony do rozmów „ze starszymi” według przykazań ultra-surowej dyscypliny rodzinnej, siedzę na rogu krzesła.

Widać moje odpowiedzi zaczynają się jednak starszemu panu wydawać bardzo rozsądne, skoro wielkie jego oczy patrzają na wyrostka z coraz większą sympatią.

Potem, jak mi się zdaje, ta sympatia do mnie w ostatnich latach życia p. Meysztowicza uległa likwidacji, lecz punkty pomiędzy chwilą pierwszego spotkania starego polityka z młodzieniaszkiem wypełniła wspólna robota polityczna, która wiele hałasu narobiła w Polsce. Piłsudski, Nieśwież, polityka w stosunku do Niemiec etc etc. Nie chcę przez to powiedzieć, że swoje pół stroniczki w historii Polski zawdzięczam tylko p. Aleksandrowi. O! Byli inni ludzie, a wśród nich jeden mieszkający dziś w Kenyi, o inteligencji zapewne cieplejszej, piękniejszej w rysunku itd. itd., ale ponieważ artykuł niniejszy jest przyczynkiem do historii rodziny Meysztowiczów, więc nie ma nic dziwnego, że o ojcu Walutka rozpisuję się najbardziej.

Ucieszne anegdoty samego p. Aleksandra dziś są tym zabawniejszym, bo staroświeckie. Pamiętam jak p. Aleksander powtarzał dowcipuszki niemieckie o zapiskach w dzienniku Wilhelma II: „Ich war in Klinik; — Chirurg schlecht operiert; — selbst operiert; — der Kranke ist gestorben”; — „In Oper; Tenor schlecht gesungen; selbst gesungen; kollosaler Erfolg” — „In Boot gefahren; kein Wind; selbst geblasen”.

Pamiętam także, jak w 1926 r. na skutek telefonu Sławka pojechałem gwałtownie do Żyrmun, aby namówić p. Aleksandra na przyjęcie teki ministra sprawiedliwości i przywieźć go do Warszawy.

I pamiętam tu w jego ustach kochany wileński akcent i kochaną wileńską składnię:

Powiada mi:

— Ja nawet nie wiem gdzie w Warszawie to ministerstwo justycji znajduje się.

Na to odpowiadam:

— Jakkolwiek znajdziem, Panie prezesie.

— Potem, w latach późniejszych, siedzimy w mieszkaniu p. Meysztowicza na Zygmuntońskiej. Obecny jest także Walutek, już jako ksiądz oraz p. Karol Niezabytowski minister rolnictwa, wielki nabożniś, który zmarł kilka lat temu w Londynie w przytułku dla starych Polaków. Niezabytowski opowiada o śmierci św. Dyonizego, jak to święty wziął głowę pod pachę...

— Jak to głowę pod pachę! — przerywa p. Meysztowicz — co ty za głupstwa opowiadasz?

— Przecież to cud, powiada Niezabytowski.

— Ach cud, mówi p. Meysztowicz tonem trochę zażenowanym, spod ukosa zerkając z wyrazem przestrachu w stronę syna w sutannie.

W tym przestraszonym wzroku starszego pana było coś nie do wypowiedzenia komicznego.

Ale najzabawniejsze co mogę teraz opowiedzieć, w związku z nazwiskiem Meysztowiczów będzie dotyczyć nie p. Aleksandra,

a jego kuzyna, a więc jakiegoś stryja Walutka, p. Szymona Meysztowicza. Było to pod pewnym względem żyjące przeciwieństwo p. Aleksandra, który był znany ze swej wspaniałej prawdziwie wielkopańskiej uprzejmości, delikatności, grzeczności dla wszystkich, może czasami przesadnej, staroświeckiej i żenującej, ale zawsze arcy-sympatycznej, extra-miliej. Otóż p. Szymon, człowiek fenomenalnie inteligentny, ciekawy i politycznie wyrobiony był zupełnie nie do zniesienia z powodu jakiejś obrzydliwej stałej arogancji, bufonady, pogardliwości w stosunku do wszystkich z którymi rozmawiał. I cóż za apodyktyczność, cóż za zarozumiałość bez granic! Człowiek ten nie rozmawiał, lecz dyktował, objawiał, raczył dawać wskazówki. Opowiadał mi w chwili łaskawości, że kiedyś na dworcu wileńskim był przedstawiony Mikołajowi II i że „Jego Cesarska Mość” — jak się wyraził — powiedział mu: „Nazwisko Pana jest mi znane”. — Rozumie pan, wyjaśnił mi, że jeśli samowładca szóstej części świata, powiada, że mu jest znane moje nazwisko, to jednak jest to przyjemne. — Zapewno cesarz słyszał o walce p. Aleksandra Meysztowicza ze Stołypinem w sprawie uprawnień polskich w guberniach północno-zachodnich, która to walka tak go zirytowała, odpowiedziałem p. Szymonowi ze świadomym, jak największym nietaktem.

W r. 1934, czy coś takiego, ucieszył nas wszystkich następujący incydent. Data jest niepewna, ale związana z ukazaniem się po polsku wydania pamiętników Henryka Forda. Szymon Meysztowicz stał się admiratorem Forda. Jedzie właśnie w pociągu zdążającym z Wilna do Baranowicz, niestety dla siebie w towarzystwie kilku świadków, którzy całą historię rozpaplali z przykładną szybkością oraz jakiegoś skromnego księdza, którego miłosiernie zaczyna pouczać o Fordzie, oczywiście starając się być możliwie przystępnym. — „Czy ksiądz był kiedy w Warszawie” — pyta tego księdza w pewnej chwili, ale nie czeka jego odpowiedzi, bo nie lubił słuchać odpowiedzi i mówi dalej, — „Jak ksiądz będzie w Warszawie, to niech ksiądz pójdzie na ulicę Sienną... Sienną, proszę zapisać, tam ksiądz zobaczy sklep: Gebethnera i Wolffa, dużo książek. Proszę tam zająć i poprosić o pamiętniki Henryka Forda... proszę zapisać, Forda proszę zapisać...”

— A czy pan był w Bydgoszczy, odzywa się raptem klecha, dotychczas milczący, jak trusia.

Szymon Meysztowicz jest tak zdumiony zuchwałością księdza, który mu odpowiada, że milczy, więc ten mówi dalej:

— „Jeśli pan będzie w Bydgoszczy to przy wyjściu z dworca trzeba bilet oddać, tam odbierają przy wyjściu bilety od pasażerów. Pojedzie Pan, niech pan sobie wyobrazi także na ulicę Sienną... Sienną. Zobaczy Pan szyld: „Biblioteka Polska”, w oknach także dużo książek. Wejdzie Pan tam i dowie się, że tłumacz wydanych przez to wydawnictwo pamiętników Henryka Forda w języku polskim, ksiądz Ignacy Cyraski — to ja.

Meysztowicz odruchowo sięgnął po swoją walizeczkę i poszedł do innego przedziału. Śmiech jadących z nim dobrych jego znajomych trwał do następnej stacji kolejowej.

Znałem tego ks. Cyraskiego jeszcze z wczesnego dzieciństwa. Był to ksiądz-endek, na łamach „Dziennika Wileńskiego” prowadzący ostrą kampanię przeciwko Litwomaniom. Ale wplątał się w jakąś historię miłosną do pewnej złośliwej panny, która nabrała rozgłosu. W amatorskim kabarecie litewskim, w salach hotelu Bristol pokazywano go jako kogucika z pelerynką. Wywołało to słuszne oburzenie całego miejscowego społeczeństwa polskiego jako niesmaczna napaść na autorytet duchowieństwa, ale biskup poradził ks. Cyraskiemu wyjazd z Wilna. Pojechał do Ameryki, zajmował się tam dziennikarstwem, tłumaczył dużo, między innymi tego Forda i na stare lata wrócił na wikarego w Bieniakoniach. Trzebaż było Szymonowi na takiego księdza natrafić!

To już wszystko co chciałem powiedzieć, ale rozgadałem się i czytelnik mi wybaczy jeszcze jedną anegdotę, której może nie czytać, ponieważ nie ma już nic wspólnego z treścią polemiki niniejszej.

Anegdotę tę opowiadał mi doskonały kawalarz, senator Józef Godlewski, obecnie zamieszkały w Anglii. Dotyczy ona, jak rozumiem, lat o wiele wcześniejszych, w których Orzeszkowa i Rodziewiczówna były młodymi kobietami.

Pewien bogaty ziemianin w naszych stronach był przeraźliwie skąpy. Miał obrotnego ekonoma, który wciąż go namawiał na kupienie tytułu hrabiowskiego u Ojca świętego. — „Kiedyś nadto drogo”. — „Ale ja sam pojadę i potrafię załatwić”. Wreszcie ekonom wyjeżdża i oto po odpowiednim czasie bogaty skąpiec idzie na spotkanie jego bryczki jadącej ze stacji. Ekonom wyskakuje z bryczki, schyla się w pół z czapką w rękę i mówi:

— „Moje uszanowanie Najjaśniejszemu Panu Hrabiemu...”

— „Ach kupiłeś, drogo pewnie...”

— „Tanno, panie hrabio, tak tanno, że samemu sobie też kupiłem”.

IV

Teraz od anegdot przejdźmy do przedmiotu sporu. Ks. Walerian Meysztowicz przez swoje „nie” chce nie tylko wyrządzić mi afront, bo tak się nie pisze do znajomego od lat młodości, ale także potępić moje stanowisko wyrażające się w powrocie do kraju i wskazać mi, że to jego stanowisko jest jedynie słuszne i konsekwentne.

Wolno jest w walce wybrać do ataku punkt najslabszy, otóż wybieram konsekwencję jako punkt najslabszy mego przeciwnika.

Wspomniałem już, że przez długie lata współpracowałem zgodnie z jego Ojcem, aż do chwili, kiedy byłem zmęczony kom-

plikowaniem się wewnętrznej sytuacji w Polsce, kiedy miałem do rozwiązania zadania tak trudne, że nie stać mnie było na radzenie się kogokolwiek, uzgadnianie z kimkolwiek, wprost dla braku czasu. Przecież działalność moja była nie organizacyjno-polityczna, lecz ściśle i wyłącznie publicystyczna.

A teraz rozpatrzmy historię ks. Waleriana w stosunku do solidarnej i śmiem powiedzieć ultra-logicznej linii jego Ojca. Zwracam uwagę, że jego Ojciec nie miał możliwości innej formy dla swej działalności politycznej jak swój wpływ na „Słowo”, które wydawałem, zdobywając na to subsydia od mego przyjaciela najdroższego i najszanowniejszego Jasia Tyszkiewicza, od Eustachego Sapiehy i wielu innych.

A więc punkt pierwszy. Zamach majowy. Pan Aleksander Meysztowicz w 100% popiera moją koncepcję opowiedzenia się ziemian kresowych po stronie Piłsudskiego, który jest zresztą jedynym człowiekiem broniącym naszych interesów politycznych w polityce zagranicznej. Mówię „naszych” nie w pojęciu polskich, ale węższym, mianowicie środowiska, które reprezentuję. Proszę mnie nie łapać za słowo i nie wydziwiać, że uważałem, że polityka Piłsudskiego sprzeczna była z ogólno-polskimi interesami.

W tym czasie Walutek przebywający zagranicą pisze do mnie: rozumiem sojusz „Słowo”-„Dziennik”, ale byłbym przeciwny sojuszowi „Słowo”-„Kurier”.

Otóż „Dziennik” było to pismo endeckie, „Kurier” sanacyjne. Walutek proponował nam sojusz z endecją, a więc nie chciał przyjąć do wiadomości, że od przeszło roku idziemy we wręcz odwrotnym kierunku. Ten list jego był pisany przed wyborami jesiennymi 1928 r. Poza brakiem ogólnego rozgarnięcia wynikało z tego listu, że Walutek należy do tej ciemnej części ziemiaństwa Wileńszczyzny, która opowiadała się za endekami, tak jak te barany, które głosują na swoich rzeźników. W tym samym czasie Walutek, do którego mam tyle sympatii, pisuje z Rzymu korespondencje do „Słowa”. Ultra-sentymentalne. Jest tam mowa o kosmatych kobyłkach na placu Łukiskim. Pani Helena Romer, osoba jak najbardziej na francuskim sosie wychowana, umiera ze śmiechu z kosmatości tych kobyłek, ale ja dostaję piorunujące listy od mego przyjaciela, że pozwoliłem sobie taki czy inny wyraz w tych arcydziełach skreślić. Wszystko, albo nic.

Punkt drugi. Ks. Meysztowicz przyjeżdża do Wilna, zostaje z miejsca sekretarzem arcybiskupa Jałbrzykowskiego, czcigodnego kapłana, ale zawziętego endeka, działaczem Akcji Katolickiej, ale przede wszystkim zbliża się i opiekuje grupą studentów, świadomie i ideowo zdążających do ideologii komunistycznej. Na ks. Meysztowicza ma wtedy wpływ decydujący przerażający go o trzy piętra Henryk Dembiński, działacz katolicki i komunistyczny z tym, że z roku na rok o tyle mniej katolicki, o ile bardziej komunistyczny. Ks. Meysztowicz tak jest pod jego urokiem, że wciąż zanudza swego ojca, abym tego Dembińskiego

zaprosił do siebie, aby go poznać. Pamiętam nawet, że mój goniec nie mógł odszukać mieszkania tego Dembińskiego i gdy to tłumaczyłem starym p. Meysztowiczowi, to mruknął on znowuż zupełnie po staroświecku:

„Może z metresą żyje, z wielkiej pobożności”.

Wreszcie ks. Meysztowicz wyjeżdża z Wilna do Rzymu na stanowisko radcy kanonicznego ambasady przy Stolicy Apostolskiej. Moim zdaniem, jego ojciec, który mu się o to wystarał wyrządził mu tym wielką krzywdę. Wśród prostych ludzi wileńskich ks. Meysztowicz pozostałby jakimś ukochanym przez wszystkich świętym. Autorytet jego, dobroć serca, serdeczność którą wtedy u wszystkich wzbudzał nie ma wprost granic. Ja sam z największym rozczuleniem oczekuję chwili, kiedy zajdzie do mnie, pogawędzić ze mną, z moimi małymi córeczkami. Niestety w Rzymie, o czym zaraz będę pisał, zmieniło się to wszystko.

Żegnano ks. Meysztowicza zupełnie wyjątkowo. Na miejscu przewodniczącym siedział oczywiście ks. Arcybiskup Jałbrzykowski. Niedaleko koło niego tak zwana „papieżyca wileńska” p. Jeleńska głowa jak najbardziej uznana wszystkich bigotek wileńskich. Mówiąc nawiasem długo się kiedyś zastanawiałem jaka jest różnica pomiędzy: dewotką, a bigotką i doszedłem do przekonania, że nie ma innej, jak ta, iż dewotka to służąca, bigotka to hrabina. Główne przemówienie wygłosił Jędrychowski, wówczas student, dziś jeden z głównych kierowników gospodarki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W swym przemówieniu nazwał on księdza Meysztowicza „kapelanem komsomolu”. Odpowiadało to zresztą ogólnym przekonaniem, ale uczucie serdeczności, które wówczas wzbudzał Walutek było tak wielkie, że to mu nie szkodziło nawet u największych retrogradów.

Co do mnie, to rychło przeszedłem do zawziętej wojny przeciwko młodzieży, która pierwotnie zgrupowała się koło ks. Walutka, a potem przez czas krótki wydawała przy moim monarchistycznym „Słowie” pismo o nazwie: „Zagary”. Byli to ludzie tak bardzo inteligentni. Powiem dumnie, wypowiem zwrot, który zawsze drażni czytelnika, ale ja właśnie bardzo lubię drażnić czytelnika, że byli to sami młodzi mackiewiczze. — Tak jest, byli to ludzie właściwie bardzo do mnie podobni z rewolucyjnego temperamentu. Rewolucyjność polega nie na takim czy innym meritum, ale na odstępstwie od przekonań, które cię otaczają. Otóż ja z całym swoim maurrasizmem, z tezami, że nie ma nic głupszego, niż Rousseau i nic rozumniejszego niż Ludwik XIV kto wie czy nie bardziej drażniłem przeciętnego inteligenta wileńskiego, niż zachwyty tych młodych ludzi do pięciolatki i hasła kominternu. Była to inteligencja pierwszorzędna. Prócz Dembińskiego, który poniósł śmierć z ręki niemieckiej cały szereg z nich zajmuje w obecnej Polsce wybitne stanowiska, wymienię chociażby Jerzego Putramenta. A cóż za wspaniali poeci, chociażby w porządku alfabetycznym: Bujnicki, Miłosz, Rymkiewicz, Zagórski.

Zwalczałem ich jak mogłem, zwalczałem tak zawzięcie, że bronili ich przede mną różne wierzchołki ówczesnego naszego ustroju: bracia Jędrzejewicze, panie Pelczyńska i Ehrenkreuzowa, „Kurier Poranny” etc. Aż mi dziwne, że ludzie ci obecnie zamiast pić moją krew, jak przyjemny sok ananasowy ze względu na zemstę, okazują mi kurtuazję nie bez pewnej rycerskości. Co prawda i ja, spotkawszy na rok, czy dwa przed wojną na korytarzu więziennym Mutę Dziewicką z tej grupy, eskortowaną przez dwóch policjantów, skłoniłem się jej głęboko. Zawsze cenilem w nich ideowość i nie mam żadnych dowodów, aby z ich strony było odwrotnie.

Ale teraz punkt trzeci w biografii konsekwencji człowieka pouczającego mnie dziś o polityce, tzn. Ks. Waleriana. Po przyjeździe do Rzymu robi się niesłychanym admiratorem Becka. Co prawda my z jego ojcem jak najbardziej popieramy wówczas politykę tego ministra, ale nigdy nie mam do Becka podobnego stosunku, co ks. Meysztowicz. Wydaje mi się to przesadnie śmieszne i jakże niezgodne z tym wszystkim co dotychczas nam pokazywał jako swoją fizjognomię polityczną.

Punkt czwarty. Mój Boże! Ks. Meysztowicz dużo nie może się nauczyć od swego szefa, p. Papée'go, który tylko dlatego znalazł się w ambasadzie w Watykanie, że Beck w chwili osobistej zawziętości w stosunku do Piusa XI, chciał zrobić Papieżowi impertynencję jedyną, jaką mu uczynić było wolno, a mianowicie wysłał do Rzymu najmniej rozgarniętego ze swoich dyplomatów. Pisałem kilkakrotnie o tym, że p. Papée w wywiadzie dziennikarskim zacytował zdanie zastępcy komisarza Związku radzieckiego, p. Potiomkina wypowiedziane do p. Grzybowskiemu w nocy z 16 na 17 września 1939 jako zdanie ministra Becka uzasadniające zajmowanie Zaolzie. Tak, tak, tak! — Co prawda dyplomaci mają ten przywilej w stosunku do dziennikarzy, że nie potrzebują niczego pamiętać, ale w danym wypadku było to nadużycie tej prerogatywy.

Ale dziwniejsze, że ks. Meysztowicz na gruncie rzymskim utracił całkowicie swój osobisty czar i wdzięk, który sprawiał, że w Wilnie uważany był za najsympatyczniejszego z ludzi. Przesyłało mi do Londynu jakiś protokół honorowy z którego wynikało, że ks. Meysztowicz był w Rzymie wyzywany przez jakiegoś kombatanta na... pojedynek. Oczywiście mogłem tylko wzruszyć ramionami na wiadomość, że znalazł się wariat, który wyzywa księdza katolickiego na pojedynek, ale nie brakowało innych wiadomości, które wskazywały, że ks. Meysztowicz jest tam ze wszystkimi pokłócony.

V

Kończę :

Nie kryję, że owe „nie” dawnego znajomego zrobiło mi wielką przykrość i uznałem je za afront, ale przede wszystkim

odmawiam ks. Meysztowiczowi prawa dawania mi pouczeń politycznych, bo jak widać z jego niekonsekwencji nie potrafił zrozumieć linii politycznej nawet własnego ojca.

Dzielę emigrację na trzy rodzaje ludzi.

Na takich jak na przykład zespół „Kultury”, czy p. Jędrzeja Giertycha, którzy uważają, że mają coś do powiedzenia.

Na tych, którzy uważają że pozostają zagranicą ze względów o charakterze honorowym. Tu wymienię czcigodne nazwisko p. Kazimierza Okulicza i osób do niego podobnych.

Na takich, którzy są podobni do księży, którzy nie wierzą w Boga, lecz odprawiają mszę dla intencji mszalnych, czyli facetów wynajmowanych nie liczących się z interesami Ojczyzny. Nie zaliczam zresztą do nich ks. Meysztowicza.

Stanisław MACKIEWICZ

WYSYŁAMY DO POLSKI
na zlecenie krewnych i znajomych z zagranicy

MASZYNY DZIEWIARSKIE

oraz szereg innych artykułów, jak maszyny i narzędzia rzemieślnicze itp.

Wysyłamy towary wysokogatunkowe
— i po niskich cenach hurtowych —

Piszcie jeszcze dziś do nas po bliższe informacje

“ W I M E X ”

Solothurnerstrasse 15, BASEL 2 (Suisse)

Kronika kulturalna

Galeria Grabowskiego

Dnia 4 lutego otwarta została w Londynie polska galeria sztuki, nazwana od nazwiska jej założyciela i właściciela, Galeria Grabowskiego — Grabowski Gallery.

Galeria mieści się przy Sloane Avenue w dzielnicy Chelsea, która znana jest jako londyński Montmartre — położona nad Tamizą zamieszkała jest w dużej mierze przez artystów, pisarzy, poetów. Znajduje się tu także wiele antykwarni i sklepów z wyrobami artystycznymi, a także mniejszych i większych galerii.

Pierwsza wystawa, która trwała od 4 lutego do 3 marca, była wystawą prac członków Zrzeszenia Plastyków Polskich w W. Brytanii. Zgromadziła ona 41 prac 13 malarzy i 2 rzeźbiarzy. Otwarcie następnej wystawy nastąpiło 11 marca; tym razem jest to wystawa rysunków malarzy polskich w Anglii.

Mgr Grabowski jest właścicielem znanej w Londynie apteki, przez którą przeszło wiele tysięcy paczek z lekami do kraju. Założenie przez niego galerii, rzecz odbiegająca nieco od praktycznej sztuki farmacji, wywołała duże zainteresowanie. Jakby dla podkreślenia faktu, że bez apteki nie byłoby galerii, biura firmy połączone są korytarzem z salami wystawowymi i to w ten sposób, że do galerii wejść można z dwu różnych ulic: wejściem głównym od Sloane Avenue, lub wejściem „biurowym” od strony Draycott Avenue. Sale urządzone są bardzo nowocześnie, ściany koloru białoszarego, sufit ciemnoniebieski, obelkowanie ugrów. Wzdłuż korytarzy stoją duże oszklone gablotki, w których znajdują się eksponaty polskiej sztuki ludowej i przemysłu artystycznego; ściany zawieszono są rysunkami, których wystawa właśnie jest w toku.

Mgr. Grabowski, prowadząc mnie ze swego biura przez oszklone drzwi (przez które widać „na przestrzał” główne wejście do galerii i duże oszklone okno wystawowe, a za nim ulicę) mówi, że ponieważ pochodzi z Mazowsza, a więc krainy szero-

kich płaszczyzn, lubi przestrzeń i chciałby aby w galerii było jak najwięcej miejsca. W tej chwili w jednej dużej sali i dwu mniejszych, a także wzdłuż korytarzy powiesić można do 60 obrazów; po przeróbkach i w razie większej wystawy, po przesunięciu eksponatów sztuki ludowej, galeria pomieści od 60 do 100 obrazów.

W pokoiku, w którym rozmawiam z mgr. Grabowskim, wiszą kolorowe kilimy i stroje ludowe: góralskie, mazowieckie i inne. Wiszące obok rysunki abstrakcyjne zupełnie nieźle harmonizują z wzorami polskich kilimów, które przecież także są „sztuką abstrakcyjną”.

Siadamy w nowoczesnych, wyplatanych fotelikach i rozpoczynamy rozmowę. Zadaję pierwsze pytanie:

Polska galeria sztuki w Londynie, to rzecz trochę niezwykła nawet — a może właśnie — w momencie gdy dobiegamy dwudziestolecia naszej emigracji. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak powstała myśl założenia galerii?

Odpowiedź:

Pan jest młody, ja należę już do pokolenia starszego. Ale orientuje się pan równie dobrze jak i ja, że jakieś 10-12 lat temu życie naszej emigracji było bardzo bogate: były fundusze, mieliśmy wielu przywódców, liczne i silne organizacje. Wszystkiemu temu przyświecał jednak głównie jeden cel: polityczny.

W ciągu tych 10 lat prowadziłem aptekę i wysyłkę leków do Polski. W pracy tej nauczyłem się, że w naszych warunkach jeśli człowiek chce cośkolwiek zdziałać, musi liczyć na własne siły. Żeby coś mieć, trzeba z siebie coś dać. Ponieważ zaczynałem ze skromnym kapitałem, nadrabiałem więc pracą i zdrowiem. Powoli zacząłem do czegoś dochodzić. Jak pan wie, obecnie rynek farmaceutyczny w Polsce znacznie się rozbudowuje, organizacja i zaopatrzenie w lekarstwa są o wiele lepsze. Zacząłem się więc zastanawiać nad rozszerzeniem mojej działalności tutaj.

Na emigracji za dużo mówi się o jej wadach, które jej jako całości nie obciążają. Wkład naszej emigracji w życie brytyjskie jest ogromny we wszystkich dziedzinach: w inżynierii, architekturze, sztuce...

Chodziłoby więc po prostu o zaznajamianie obcych i samych Polaków z naszym dorobkiem kulturalnym, i emigracyjnym i krajowym. Tak abyśmy się czuli pełnoprawnymi obywatelami Zachodu.

Z drugiej strony — nie wiem czy pan się ze mną zgodzi — wielu emigrantów po roku 1956 doszło do wniosku, że muszą się tu zacząć na stałe urządzać, że powrót to rzecz nieprędka. Najważniejszą rzeczą było urządzenie sobie życia, a równo-

częście bardzo ważnym problemem stało się wychowywanie dzieci w polskość, nawiązanie do kultury polskiej; a także pokazanie Polakom i obcym polskiego wkładu w życie krajów zamieszkania i polskiego dorobku kulturalnego w kraju. Jest to rzecz szczególnie ważna dla dzieci, które nie powinny czuć żadnego kompleksu niższości wobec obcych.

Wszystko to naprowadziło mnie na myśl, aby w moim zakresie, na małą skalę, rozpocząć pracę w tym kierunku. Zresztą zbliżające się uroczystości tysiąclecia zdopingowały mnie do tej pracy: chciałbym choćby w małym zakresie pokazać pewne rzeczy z Polski w mojej galerii.

Pytanie :

A więc galeria ma służyć pokazywaniu polskiej sztuki i emigracyjnej i krajowej, i nie tylko malarstwa, rzeźby, ale i sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego?

Odpowiedź :

Tak. Na pierwszym miejscu stawiam pokazanie prac malarzy, rzeźbiarzy, grafików, ceramików; będę się starał dać im oparcie w tej galerii, robić wystawy zespołowe i indywidualne. Ale równocześnie na przykład sztuka ludowa (to co mam tu w tej chwili to jest raczej rzemiosło artystyczne), to także rzecz ważna. Rozmawiałem niedawno z jednym z polskich księgarzy w Londynie, który mówił mi, że gros książek i czasopism o polskiej sztuce ludowej (i sztuce w ogóle) kupują Anglicy. To daje pewien wskaźnik, że mamy tu coś godnego uwagi. Poza tym, i obrazy i rzeźba i sztuka ludowa i wyroby artystyczne mogą służyć do tego o czym już panu mówiłem: do urządzania się Polaków tutaj. Zgadza się pan chyba, że rzeczy piękne robią ludzi lepszymi, dają im trochę szczęścia, a człowiek szczęśliwy jest człowiekiem lepszym. Zależy mi więc na zainteresowaniu społeczeństwa polskiego takimi np. rzeczami jak stroje ludowe, oryginalne — nie żadne imitacje (zespoły taneczne na emigracji nie często mają prawdziwe stroje ludowe), jak kilimy, jak ozdoby z kutego żelaza. A poza tym rzeczy te stanowią jakby pomost do sztuki. O tym wszystkim wciąż za mało się mówi.

Pytanie :

Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę, że aby galeria sztuki mogła zacząć przynosić dochody, musi ona najpierw dać się poznać, zdobyć sobie stałych odbiorców, jak i pewną markę. A to zwykle wymaga dłuższego okresu czasu. O ile dobrze ro-

zumiem, to wystawa, np. wyrobów artystycznych, ma służyć jako pewnego rodzaju podpora finansowa galerii?

Odpowiedź :

No nie. Podporą finansową galerii jest ta druga strona — moja apteka. Ktoś pisząc o galerii dobrze napisał, że jest to galeria Grabowskiego i jego klientów. Gdyby społeczeństwo mnie nie poparło w wykonywaniu mego zawodu, nie mógłbym założyć galerii. To jest więc jakby moja odpłata dla ogółu. Będzie mi bardzo zależało na tym, żeby prace wystawiane u mnie były na dobrym poziomie. To oczywiście wypływa z mego doświadczenia z tą „drugą stroną” mojej pracy. Konieczność dobrej obsługi, troska o klienta, wysoki poziom. Tak żeby ten co tu przyjdzie wiedział, że jak kupuje obraz to jest to obraz dobry. A więc chciałbym, aby były to wystawy nie tylko jednej grupy i nie według czyjegoś osobistego gustu.

Pytanie :

A więc właśnie, jak pan rozwiązał sprawę selekcji i — że tak powiem — strony artystycznej urządzanych wystaw?

Odpowiedź :

Poprzez ścisłą współpracę ze Zrzeszeniem Polskich Plastyków w W. Brytanii. Kiedy zdecydowałem, że zakładam galerię, zwróciłem się przez prof. Szyszko-Bohusza, do Zrzeszenia Plastyków i uzgodniliśmy wzajemną współpracę, która polega na tym, że że do mnie należy strona techniczno-organizacyjna (no i wystawy sztuki ludowej i wyrobów artystycznych) a do Zrzeszenia dbanie o część artystyczną, a więc projektowanie wystaw, nawiązywanie kontaktów z malarzami, selekcja prac, wybieranie lub powoływanie jury. Ich więc zadaniem jest dbanie o poziom galerii. Za tę pomoc członkowie Zrzeszenia mają u mnie pewne materialne ulgi. Wydaje mi się, że plastycy skupieni w Zrzeszeniu chcieliby zrobić jak najwięcej dobrego dla wszystkich dobrych artystów, a szczególnie dla tych, którzy są w ciężkich warunkach. Galeria będzie więc platformą dla wszystkich dobrych artystów.

Pytanie :

Czy ma pan zamiar ograniczyć wystawy w galerii tylko do twórczości polskiej i jakie w ogóle są pańskie projekty na przyszłość?

Odpowiedź :

Nie zamierzam ograniczać się jedynie do twórczości polskiej; aby zainteresować galerią także i społeczeństwo angielskie, projektujemy urządzenie wystaw artystów i innych narodowości. Chciałbym aby galeria miała charakter jak najbardziej różnorodny, międzynarodowy, z tym, że nie polska przeplatałaby się jako ta główna. Jak już panu mówiłem, oprócz wystaw malarzy i w ogóle artystów polskich w Wielkiej Brytanii, planujemy także wystawy plastyki krajowej. Odpowiednie zaproszenie zostało już wysłane do Związku Plastyków w Polsce i obecnie oczekujemy na odpowiedź. Mam nadzieję, że będzie to odpowiedź pozytywna. Sądzę, że opinie o pierwszej wystawie i o samej galerii świadczą, że wystawianie w niej nie powinno przynieść nikomu ujmy.

Poza tym planujemy także urządzenie wystaw malarzom polskim przebywającym na Zachodzie poza Wielką Brytanią — czy to w Paryżu czy za oceanem. Chciałbym także pokazywać od czasu do czasu prace młodych, a może nawet ustanowimy jakieś nagrody.

Pytanie :

Jest więc pan optymistyczny co do przyszłości galerii?

Odpowiedź :

Tak. Widzi pan, wszystko zależy od tego by nie zakreślać sobie celów ponad możliwości. W tym względzie mam pewne doświadczenie, które, myślę, pomoże mi i w tej nowej imprezie. Oczywiście wiele zależy od mojej sytuacji jako „Grabowskiego”. Trzeba jednak do wszystkiego podchodzić spokojnie. Wiele zależy także od ludzi prasy: im więcej będzie się pisało o sztuce, tym lepiej. Tu zresztą mam pewne zmartwienie: o ostatniej wystawie i o galerii prasa pisała bardzo życzliwie. Ale właściwie nie było omówień krytycznych wystawionych prac. Dlatego bardzo chciałbym zainteresować galerią i wystawami ludzi młodych, studentów. Może dałoby się w ten sposób wychować krytyków artystycznych? To byłby także jeden z moich celów. A w ogóle im lepiej będą polscy malarze malowali, im więcej będą obcy wiedzieli o naszym dorobku kulturalnym w kraju i naszym wkładzie w życie kulturalne społeczeństw na Zachodzie, tym wyżej będziemy cenieni, tym łatwiej będzie nam utrzymać naszą polskość. Nie mówię tego z jakichś pobudek nacjonalistycznych, ale myślę że im więcej będzie się mówiło w W. Brytanii i w tym międzynarodowym mieście jakim jest Londyn o sztuce polskiej, tym lepiej.

— Jeszcze jedno pytanie, już ostatnie :
Czy jest pan zadowolony z pierwszej wystawy, która odbyła się w pańskiej galerii?

Odpowiedź :

Tak. Wystawa trwała miesiąc. Sprzedaliśmy 5 obrazów. Ponieważ są to pierwsze obrazy sprzedane w mojej galerii, chciałbym wymienić nazwiska malarzy-autorów: a więc Chojko, Dobrowolski, Turkiewicz, Znicz-Muszyński. Charakterystyczne, że zakupili je tylko Anglicy. Stąd taka potrzeba polskich krytyków. Co ważniejsze jednak — przez galerię przewinęło się przeszło 1000 osób.

Dziękując mgr. Grabowskiemu za informację i rozmowę, robię uwagę, że to rzeczywiście zupełnie niezły prognostyk na przyszłość. Wychodzę przez główne drzwi galerii i jeszcze przez chwilę patrzę przez szybę dużego okna na wiszące na ścianach rysunki polskich malarzy. A więc mamy w Londynie polską galerię sztuki. Grabowski Gallery. To jest fakt, o którym myślę ze wzrastającym zadowoleniem.

Wywiad przeprowadził — Bogdan CZAYKOWSKI

Rzeźby Aliny Ślesińskiej

Wystawa Ślesińskiej *) budzi radość nie tylko dlatego, że wśród pokazów rzeźby nie zabrakło nareszcie w Londynie dzieł powstałych w kraju i oby już nigdy tu ich nie brakowało. Sedno, pomnażające radość, leży w racjach, dla których prace Ślesińskiej można włączyć w najbardziej twórcze formy rzeźby współczesnej.

Artystce nie chodzi o zgodność z modelem zewnętrznym, ani nawet o daleko idące zmienianie rzeczywistości, które jednak łączy się z fizycznymi proporcjami człowieka i świata. Rzeźbiarka tworzy nowe formy, nie mające nic wspólnego z portretem rzeczywistości, ale pokazujące jej sens za pomocą wyobrażeń. „Kain i Abel” to potężna bryła ze skośnym nachyleniem śmigiel, rąk czy maczug powiązanych z bryłą czy głową Abła. Jedno z „Macierzyństw” to złom z przeszłem ręki i ustawioną na niej figurą dziecka.

Są to metafory rzeźbiarskie i ta metaforyczność: zastępowanie formy rzeczywistości formą jej sensu, jest główną regułą dzieł Ślesińskiej. Tych form nie można jednak łączyć z abstrakcją, nie ma tam geometrii, która odczłowiecza, i retoryki, o której niedawno pisał Hostowiec, że pojawia

*) Rzeźbiarka otrzymała nagrodę plastyczną „Kultury” za rok 1957.

się wówczas, gdy plastyka zaprzestaje ufać treściom zewnętrznym. Metafora „Muzyków” dotyczy rytmu, ukazuje go poza osobami, ale jako ruch ciała i ten rodzaj ruchu nadaje oderwanym formom linie wyobrażeń o instrumentacie i figurze. Nieraz idzie to jeszcze dalej. Slesińska, pokazując w „Grupie rodzinnej” gest nie postaci, ale brył, czyni z nich ludzką scenę monumentalną. W tym jej klasycyzm, zwłaszcza, że podobnie jak u Moore’a, przebijają ona w niektórych pracach otwory na światło, co z takich kompozycji tworzy włączone w przestrzeń posągi.

Geometria Slesińskiej, będąc metaforą, nadaje bryłom treść jakby pierwszych projektów wybieranych dla ludzkiego kształtu. To formistyczne dłuto ma gest planujący architekturę stworzenia. Z tego powodu odkrywa, co jest rzadkością nawet u dobrych rzeźbiarzy, przejmujący sens materii w akcie budzenia jej kształtu i niemal biblijną powagę ciała jako kreacji. Taka cecha warsztatu odsłania także inną piękność, przyrodzoną rzeźbie, choć nie u każdego artysty obecną. Chodzi o to, co nazwałbym obnażeniem rzeźbiarskiego materiału, fizyczności drzewa i brązu, ich skaz i zacieków, zostawionych przez dłuto śladów roboty i przysłowiowej gliny.

U Slesińskiej zarówno wybrana forma jak i materiał ciągle nasuwają oczom pracownię i sztukę w jej momencie rzemiosła. Dowodzą na samej rzeźbiarskiej robocie, że w technicznym zabiegu artysty, w jego ślęczeniu nad formą, w przekreśleniach i poprawkach dokonanych przez pióro albo dłuto, tkwi ruch stwarzania, owej kreacji, o której była tu mowa. Tak rozumianą kreacją jest i „Mojżesz” złożony z grubo wykutych tablic i z maski stworu: człowieka czy samotnego zwierza pustyni. To utwór formistyczny, o wielkiej ascezie uproszczeń, ale i wzorcowo religijny, hebrajski.

Ograniczenia bryły idą tak daleko, że „Tristan i Izolda” robią wrażenie notatki rzeźbiarskiej, początkowej nieforemności słupów przed ich modelowaniem. Wynikają z tego jakby zniekształce kukły o zatartych przez powietrze śladach dłuta, ruiny rzeźb komponujące poza wolą twórcy ocalałe piękno fragmentu, czy nowej formy ułożonej przez działanie deszczu i słońca. Można to nazwać geometrią współczesnej eschatologii, bo w samej rzeczy te rzeźby mają znamiona wykopalisk mówiących o urodzie człowieka i nieszczyć epoki.

Należałoby gruntownie przebadać ile w regule fragmentu czy „ruinowości” sztuki jest rozbicia i ruin jako stylistyki naszego losu. Ta stylistyka streszcza obraz do linii elementarnych, bezprzymiotnikowych, i tak sądząc rzeczy w ich skupionej treści, próbuje zobowiązać je do znaczeń prawie naukowych, a więc nieodwołalnych. Dzisiaj rzeczowniki: chleb, spokój, praca, miłość ukazują się jak nowe ziemie w blasku odkrycia. przymiotnik je zabrudza. Nasze rygory są lapidarnością słabych, umiejących ocenić wartość w jej formie pierwszej, właśnie w zasadzie surowej bryły, a nie w kunszcie zdobniczego modelowania. Chleba się nie zdobi, na chleb mówi się chleb. To nie czasy portretu i biografii, ale prób usiłujących ocalić zarysy rodzaju ludzkiego i należnych mu rzeczy.

Idzie z tej słusznej powściągliwości niebezpieczeństwo prozy dla wiersza, i bryły bez rysunku dłuta dla rzeźby. Rzeźba, lecz ta, która najpracowiciej poszukuje teraz ratunku, staje się monumentalną, i podobnie jak prymityw, ograniczając formy do hieratycznych zarysów, ma przymioty sakry. Określa nade wszystko rozmiary ludzkiego dramatu za naszego życia i nowy typ współczesnej hagiografii.

Rozdarcie zwierząt i jeźdźców u Mariniego to kompozycje katastroficzne, rzec by się chciało — pasyjne, para królewska Moore’a może ilustrować Biblię, a nawet renesansowa Zuzanna u Manzu to nie erotyk, ale figura z niszy kościelnej. Z tych samych źródeł wynikają zainteresowania Strawińskiego dla muzyki gregoriańskiej i niemal pastisze ze starych utworów choralnych u Brittena.

Jeśli się mówi o zalewie kłęski, która nęka obecnie sztukę, warto dla sprawiedliwości zauważyć i ten wybijający się strumień odnowy, uspokojenia i porządku. Maria Dąbrowska w studium o Steinbecku zanotowała powiedzenie Władysława Zawistowskiego, który srogość okupacji wojennej, a zatem i epoki nazwał „zdjęciem sakry z człowieka”. Nie ma istotnie dowodów, że literatura naszej doby przywraca duszy jej koronę. Czyni to rzeźba i stąd jej cechy monumentalne i sakralne, ograniczanie się do zasadniczych uderzeń dłuta, formującego nie szczegół i nawet nie podobieństwo, ale bryłę czy szkielet wiązania jako metaforę tajemnicy ciała i życia. Taki jest rodowód rzeźby Slesińskiej. Te na pozór abstrakcyjne formy pokazują starożytność i biblijność człowieka.

Studia u Dunikowskiego zostały w dawniejszych pracach Slesińskiej ciekawy i wzruszający ślad: ścinanie płaszczyzny typowe dla drzewa Dunikowskiego, szerokie i gładkie. Szkoda, że dla braku brązu wszystkie rzeźby robione są w gipsie albo patynowanym za pomocą grafitu, albo wiązany z opilkami żelaza. Nie rozwiązuje całkowicie sprawy i cement nakładany na konstrukcję metalową; te rzeźby muszą być powtórzone we właściwym dla nich materiale.

Tadeusz SUŁKOWSKI

Wystawa fotografii polskiej na uchodźstwie

CELEM WYSTAWY jest pokazanie najlepszych prac Fotografów Polaków, rozrzuconych w różnych krajach świata.

TERMIN I MIEJSCE WYSTAWY: uroczyste otwarcie Wystawy odbędzie się w dniu 31 maja 1959 r. w budynku Polskiej YMCA w Londynie-46/47 Kensington Gardens Square, London W. 2. Ekspozycje należy przysłać zaadresowane na podany adres najpóźniej do dnia 10 maja. Organizatorzy Wystawy zatrzymują sobie prawo wysłania wszystkich ekspozycji, po zakończeniu Wystawy w Londynie do Paryża, lub innego ośrodka na powtórne pokazanie.

TECHNIKE I TEMATYKE PRAC nadesłanych na Wystawę pozostawia się do decyzji P.P. Fotografów.

ROZMIARY I OZNACZENIE PRAC: fotografie mogą być dowolnej wielkości, umieszczone na passe-partout (mountingu), 12x15 cali (30x40 cm.) albo 16x20 cali (40x50 cm.). Kolor mountingów dowolny. Każda nadesłana praca ma być oznaczona na odwrocie imieniem i nazwiskiem autora, adresem, oraz nazwą pracy (do katalogu).

IŁOŚĆ PRAC NA WYSTAWĘ: każdy biorący udział w Wystawie, uprawniony jest do przesłania 6 prac na mountingach, oraz 6 szt. przezroczy kolorowych, lub czarno białych (od 35 mm. począwszy, w oprawie przyjętej na ogólnym rynku).

JURY: złożone z wybitnych fotografów, krytyków zakwalifikuje nadesłane na Wystawę prace oraz dokona wyboru.

NAGRODY: Autorzy trzech najlepszych prac otrzymają medale pamiątkowe, wszystkie zaś prace umieszczone na Wystawie okolicznościowe nalepki.

OPŁATY ZA UDZIAŁ w Wystawie wynoszą 5 sh. lub 1 dol. USA. lub równorzędne opłaty w innych walutach. Z obszaru British Commonwealth of Nations przesyłać należy w załączeniu Postal Order wystawiony na Polish YMCA, lub z innych krajów czek, albo międzynarodowy przekaz pocztowy równowartości 5 sh. w Anglii.

POLSKA YMCA WRAZ Z STOWARZYSZENIEM ROZTOCZY PEŁNĄ OPIEKĘ nad eksponatami nadesłanymi na Wystawę i po zakończeniu Wystawy zwróci je Autorom w należyтым porządku. Nie bierze jednak odpowiedzialności za zniszczenie, lub zaginięcie prac w drodze.

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l’Ile, Paris 4°

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Książki

Przemiany Grahama Greene’a

Graham Greene był zawsze adwokatem spraw człowieka. Ale adwokatem wobec wyższej, metafizycznej instancji, przy czym w tej instancji, w jej istnieniu i ostatecznych decyzjach pisarz widział jedyną szansę jednostki. Człowiek sam był bezradny, zgubiony i przestawał być ważny, jeśli nie byłoby nad nim Boga.

W dwóch ostatnich utworach Greene’a (sztuka „The Potting Shed” i powieść „Our Man in Havana”) zdaje się zachodzić coraz wyraźniejsza zmiana stanowiska w tym sensie, że ciężar przesuwają się na samego człowieka, niezależnie od jakichkolwiek władz i instancji.

„Spokojny Amerykanin” był punktem zwrotnym. Swoją recenzję z tej powieści zatytułowałem „Ślepy zaułek Grahama Greene’a”. Staralem się tam wykazać, że autor przeżywa w powieści kryzys swojej dotychczasowej postawy psychicznej, co wyraziło się chwilowym oderwaniem uczuciowym od spraw człowieka i niemal wstrzymaniem się od jakiegokolwiek osądu moralnego. Czołowa postać powieści, dziennikarz Fowler, ze swą zasadą, by nie angażować się po żadnej ludzkiej stronie i zachować stanowisko oderwanego obserwatora — zdawał się uosobieniem tej nowej postawy pisarza.

Pisarz tak żywy i gorący jak Greene nie mógł jednak długo pozostać w ślepych zaułku zubożenia. Już „The Potting Shed” (Szopa w Ogrodzie) wskazuje na kielkowanie nowych rozwiązań. Z pozorów sztuka ta była najsilniejszą z dotychczasowych afirmacji katolickiej prawowierności pisarza. Bóg zwyciężał w niej na wszystkich frontach, a ci, którzy Mu zawierzali, po raz pierwszy u Greene’a wychodzili obronną ręką z zapasów z życiem. Główny bohater sztuki, mimo tragicznych poplątań, odzyskiwał w końcu zdrowie, żonę i wiarę. Odzyskiwał ją również jego wuj, ksiądz pijaczyna, a nawet ojciec, apostoł ateizmu

uwierzył w cud, dokonany na synu-samobójcy i w skutku zaprzestał ateistycznej działalności.

Jednak cała ta afirmacja, poparta na domiar owym cudem wskrzeszenia samobójcy, wydawała się jakoś podejrzanie łatwa i mało przekonująca, nie przylegała do dotychczasowej, pełnej tragicznych pytań, twórczości Greene'a. Afirmacja może czasem być także formą rezygnacji: gładkim przykrojeniem trudno uchwytną prawdy, przynajmniej na użytek drugich, gdy przestało się samemu zmagać o nią z aniołem. Potwierdzenia takiej tezy można by szukać choćby w słowach Jamesa Callifera, bohatera dramatu: „Jeśli miałbym dziecko, nie broniłbym mu bajek. Bajki mogą rozwinąć poczucie nadziei”.

Co więcej, Greene wprowadza do swojej sztuki zastanawiającą postać doktora Kreuzera, lekarza i doradcy Jamesa. Gdy stara pani Callifer pyta go, co sądzi o prawdziwości cudów, doktor odpowiada: „Wszystko mi jedno czy jest tak czy inaczej. Pragnę tylko prawdy względnej, która uczyniłaby życie znośnym”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że właściwym *porte-parole* autora jest nie kto inny jak ów doktor Kreuzer, zwłaszcza gdy się pamięta, że jemu autor powierzył ostatnie ważne słowa dramatu: „Obawiam się, że będzie ona jedną z tych nieustraszonych istot, które wierzą w możliwość znalezienia prawdy”. — mówi doktor o podlotku Annie, przed samym zapadnięciem kurtyny.

Najbardziej szczerzy i gorący motyw tej efektownej lecz na ogół zimnej sztuki, to atak na brak tolerancji i fanatyzm niewierzących, na krzywdę odbierania ludziom wierzącym wiary, która jest im niezastąpioną pociechą. To, co zdaje się Greene'a najżywiej w tej sztuce obchodzić, to użyteczność metafizycznej wiary dla człowieka, nie jej istota: podmiot, nie przedmiot. Dlatego tę rzecz podkreślał, stanie się jasne przy rozborze następnego utworu Greene'a „Nasz człowiek w Hawanie”, który jest głównym przedmiotem niniejszego omówienia.

Większość krytyków angielskich powitała powrót Greene'a do powieści rozrywkowej („entertainment”) z uczuciem szczerzej ulgi, jak powrót marnotrawnego syna z bezdroży. Rodacy pisarza, ze swą wrodzoną niechęcią do zaglądania w przepaści, nigdy nie umieli się w swym sercu pogodzić naprawdę z ponurą problematyką jego wielkich powieści, jak „Moc i Chwała” a zwłaszcza „Sedno Sprawy”. Obecnie dostali, co lubią: *wild fun* — istotnie najzabawniejszy z „rozrywkowych” utworów Greene'a. Uważny czytelnik zorientuje się jednak szybko, że w powieści idzie nie tylko o zabawę.

Oto pokrótce jej treść:

Mr. Wormold, sprzedawca odkurzaczy w Hawanie i wiecznie zatroskany ojciec ukochanej córki, która na swoje rozrywki umie wycisnąć z niego każdy, nie łatwo zdobyty grosz, zostaje wciągnięty do służby w brytyjskim wywiadzie politycznym, jako agent na Hawanę. Ulega z niechęcią, przez szacunek dla władzy,

działającej w imieniu dalekiej ojczyzny, ale przede wszystkim by dorobić trochę pieniędzy na potrzeby córki.

Naciskany przez centralę wywiadu w Londynie o przesyłanie informacji, a nie mając pojęcia jak się do tego zabrać, zaczyna po prostu zmyślać treść swoich raportów. Zrazu wszystko idzie gładko, a konto córki w banku rośnie. Londyn zachwycony sensacyjnymi meldunkami przysyła Wormoldowi pomocników: technika radiotelegrafistę i uroczą rozwódkę Beatrice, jako sekretarkę.

Ale fikcje zaczynają złośliwie nabierać realnych kształtów. Wzięte na serio przez kontrwywiad innego mocarstwa prowadzą w prędko do dwu zabójstw (w tym jedyne go przyjaciela Wormolda) oraz do próby otrucia jego samego.

Niepozorny Wormold dorasta jednak niespodziewanie do sytuacji. Okazuje się wystarczająco sprytny, by uniknąć otrucia, a odważny i wierny, by, choć nieobeznany z bronią, wyzwąć na śmiertelną rozprawę zabójcę przyjaciela.

W miarę rozwoju akcji coraz bardziej kompromitują się i ośmieszają wielcy gracze u góry, dysponujący bez skrupułu losami ludzi dla swoich nierealnych i samolubnych kombinacji, a na czoło wysuwa się i zyskuje sympatię czytelnika zwyczajny, ale prawy i czujący człowiek Wormold. Jego też wybierze Beatrice, która miała dość swego byłego męża, intelektualisty i dyplomaty i znajduje w prostym Wormoldzie serce i szczerłość uczuć, jakich na próżno szukała w tamtym. „You are real — ty jesteś rzeczywisty”, mówi ona Wormoldowi zdumionemu, że ktoś mógł go pokochać.

Rzecz jasna, że na skutek burzy, jaką bajki Wormolda rozpełtały, wszystko w końcu wychodzi na jaw i naiwny sprawca musi uciekać z Kuby. Awantura kończy się jednak szczęśliwie mimo groźnego sądu nad Wormoldem w londyńskiej centrali. Na dodatek dostaje on od swego potężnego szefa nową posadę wraz z medalem zasługi, by zamknąć mu usta, co mogłyby zbawić wiele powiedzień o łatwości potężnych szefów. Numa zaś wychodzi za Pompiliusza (1).

Powieść Greene'a jest rzeczywiście dziko ucieszna i choć w uciechu tej wyczuwa się nastrój osiemnastowiecznej maksymy: „Śmiejmy się bo kto wie, czy świat potrawa trzy tygodnie” — autor z niezrównaną pomysłowością umie przetrwać cały swój urojony świat na głowie. Od ośmielonego karnawałowego tonu odbijają jednak co pewien czas bardzo wyraźnie powiedzenia o zupełnie innym brzmieniu — znamienne uparte w powtarzaniu jednej prostej tezy.

(1) Na marginesie ciekawostka dla polskiego czytelnika: Pomysł historii nieudolnego tajnego agenta, który naciskany przez swego mocodawcę figuruje zamach bombowy (z tragicznym rezultatem), jak również ironiczne potraktowanie mocodawcy razem z wmieszaną w to policją, przypomina uderzająco „Tajnego Agent” Conrada. Nawet nazwiska Verloc i Wormold brzmią podobnie.

Doktor Hasselbacher, ów przyjaciel, którego później zamordowano, mówi do Wormolda, namawiając go do zmyślenia sprawozdań dla londyńskiej centrali:

„Oni nie zasługują na prawdę.

— Co za oni?

— Monarchie, republiki, potęgi... Nie posiadają ani grosza, którego by nie zabrali ludziom takim, jak ty lub ja”.

Beatrice do Wormolda:

„Nic mnie nie obchodzi ci, którzy pozostają wierni ludziom, co im płacą, organizacjom, urzędowi. Nie myślę nawet by mój kraj był taki bardzo ważny. Czyż świat znalazłby się w obecnym bałaganie, jeżeli zachowalibyśmy wierność naszym miłośnikom a nie ojczyznom?”

I jeszcze słowa, które Beatrice rzuca sądowi, rozpatrującemu sprawę Wormolda: „Nie wierzę wam już ani trochę, gdy mówicie, że pragniecie pokoju, sprawiedliwości, wolności. Jakiego to rodzaju wolności? Obchodzą was tylko wasze kariery. Wołę francuskich oficerów z 1940 r., którzy troszczyli się o swoje rodziny; w każdym razie kariera nie była dla nich rzeczą najważniejszą. Ojczyzna to przede wszystkim rodzina, nie system parlamentarny. Nie potrafię już wierzyć w nic większego niż dom rodzinny, ani w coś mniej konkretnego od człowieka”.

To oblicze ideowe książki nie ujawnia się od razu. Autor zaczyna swą powieść od ukazania tego, co nazwałbym nie-spodzianką szarego człowieka. Przedstawia nam wpiern skromnego, nieporadnego, wodzonego za nos przez umiłowaną córkę i nie oczekującego już niczego od życia, starszego pana — niemal śmiesznego w tej swojej niepozorności i nieprzystosowaniu. Ale gdy życie wpędza naraz Wormolda w trudną, wprost niesamowitą sytuację, zaczynają wraz z trudnościami rosnąć jego energia, pomysłowość, inteligencja — do takiej granicy, że chwilami trzeba przypominać sobie o zapewnieniu autora z krótkiej przedmowy, iż „to jest tylko bajka”. W czym innym jednak tkwi istota rzeczy. Dopiero działanie odsłania w Wormoldzie to, co było ukryte pod niepozorną powłoką, i co może właśnie dzięki niej zdołało się nietknięte przechować: serce i charakter. Tym ludzkim cechem swego bohatera autor umiał nadać ciepło i wydźwięk prawdy i na nie przede wszystkim kieruje uwagę. One czynią Wormolda żywym człowiekiem wśród kukieł i jedną z nich rosnącą sympatię czytelnika, który w końcu skłonny jest przyznać, że Wormold postąpił słusznie zmyślając swoje raporty, że nawet oszustwo i kłamstwo stają się godziwą bronią w chronieniu jednostki przed wyzyskiem „monarchii, republik, potęg...”, których wszechwładni przedstawiciele zwykli bez skrupułu poświęcać swoich Wormoldów dla jakichś mniej lub bardziej absurdalnych racji stanu.

Jeżeli Wormold pozostaje żywym człowiekiem, na przekór wszystkim nieprawdopodobieństwom akcji, nie można tego powiedzieć o jego mocodawcach: inspektorze Hawthorne czy jednookim szefie politycznego wywiadu. Greene — bodajże celowo

— odbiera im prawie cechy ludzkiej realności, przesuwając w dziedzinę czystej groteski, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, że ci nieodpowiedzialni władcy losów matego człowieka wykreślili się właściwie z granic człowieczeństwa, stali się już tylko jakąś złośliwą fikcją. Wormold jest „real”, rzeczywisty, jak określiła Beatrice — tamci nie.

Jednak to przeciwstawienie maluczkich a „rzeczywistych” ludzi bezdusznym kukłom, które nimi rządzą, jest nie tylko przeciwstawieniem pewnego gatunku człowieka innemu, wskazaniem, gdzie w gromadzie ludzkiej należy jeszcze szukać prawdziwego człowieczeństwa. Z wypowiedzi osób powieści, które przytoczyłem powyżej, wynika znacznie więcej. Uderza w nich — i zastanawia — że autor ośmiesza i odcina się nie tylko od tamtych ludzi, lecz i od celów, którym tak niefortunnie służy, jak gdyby stawał pod znakiem zapytania także same ideologie, nie tylko sposób ich realizowania. „Co panowie rozumieją pod słowem ojczyzna? — mówi Beatrice na wspomnianym już przesłuchaniu — Sztandar, który ktoś wymyślił dwieście lat temu?” Tak to nadużyte i wytarte hasła idą do grobu na długo razem z ludźmi, którzy je splugawili. „Nie zostawili nam wiele rzeczy, w które można by jeszcze wierzyć — nawet niewiary”, kończy swe gorzkie oskarżenie towarzysza Wormolda.

W „uciesznej” powieści Greene'a poszły pod nóż w jednym szeregu rządu, racje stanu, ojczyzna (*country*; to słowo powtarza się za wiele razy, by było użyte tylko przypadkowo). Nasuwa się pasjonujące pytanie: — jeżeli w tym generalnym ataku jest choćby część własnych przekonań autora, co pójdzie z kolei w tej likwidacji nadbudówek ponad prostym ludzkim istnieniem? Czy po ziemskiej ojczyźnie także niebieska?

Greene nie tyka w ostatniej powieści swoich ulubionych religijnych tematów. Ale gdzie zbliży się do nich, dotknięcie nie jest życzliwe.

Córka Wormolda Milly, wychowanka zakonnice, niezłomna w przestrzeganiu form religijnych, to istota amoralna, godząc gładko swoje chętki i wykroczenia z zasadami, które głosi. Wormold jest niewierzący; ona modli się o jego pośmiertne zbawienie i wyzyskuje go bez skrupułów na ziemi.

„Milly wystrzegaj się formuł — mówi do niej Beatrice w dyskusji na temat ważności cywilnego małżeństwa. — Jeżeli istnieje Bóg, nie jest Bogiem formuł”.

Zaś Wormold, gdy Beatrice, zapytana przezeń, czy odmawia nowennie, nie pojmuje, co to znaczy, wdycha z ulgą: „Więc nie wiesz? Dzięki Bogu”.

Czyżby czołowy powieściopisarz katolicki Anglii zaczął odchodzić od największej pasji swego życia? Przytoczone przykłady mogą nie dowodzić niczego. Greene zawsze tępił formalizm religijny. Zastanawia jednak wyłączenie takich przykładów w powieści.

Na razie jest to zresztą tylko dyskretny znak zapytania. Co natomiast z całą pewnością da się stwierdzić w ostatniej

powieści Greene'a, to renesans zainteresowania człowiekiem, ponowne serdeczne zbliżenie się do jego spraw — chociaż, jak się zdaje, od innej już strony.

Okres „Spokojnego Amerykanina” ów zalew zubożenia, odsunięcie się od spraw ludzkich, należy do przeszłości. Jego pogłosy wyczuwało się jeszcze w „The Potting Shed”, sztuce, w której Greene zdawał się w gruncie nikogo nie lubić, z wyjątkiem może podlotka Anny. Poprzez głośny śmiech nowej powieści prześwieca znowu pasja i serce dla ludzi, o ile pozostali ludźmi. Greene „zaangażował się” na nowo. Natomiast zmienił się przedmiot jego współczucia i zainteresowań: już nie wybrańcy, wspaniałe i tragiczne wyjątki, półświęci czy giganci litości. Pisarz — jak gdyby po jakimś głębokim rozczarowaniu — zwrócił się ku zwykłym, prostym ludziom, bez wielkich problemów i ambitnych zadań, po prostu żywym, czującym istotom — to wszystko.

Rzeczywiście: wszystko. Wormold, planując pomstę na zabójcy przyjaciela myśli: „Jeślibym zdołał go zabić, to przynajmniej wiadomo za co. Nie zabiję go w imię mej ojczyzny, ani kapitalizmu, ani komunizmu, ani *welfare-state*. Zabiję go, ponieważ zabił Hasselbachera. Jeżeli kocham lub nienawidzę, niechże mi wolno będzie kochać lub nienawidzić jako jednostce”. Wormold odwraca się od wszystkich bez wyjątku społecznych systemów, jakimi go usiłowały uszczęśliwić jego czasy. Nawet imię ojczyzny straciło dla niego swoją odwieczną magię. Chce być sobą, żyć tylko dla siebie i swoich. Mrówka wyprowadziła się z mrowiska.

Taki jest chyba ostateczny morał powieści. Z pysznych konstrukcji, wzniesionych nad jednostką przez wieki rozwoju ostała się znowu tylko jednostka, jako jedyna realna wartość i miara. Generalne bankructwo, rozpaczliwe szukanie oparcia w czymś najprostszym. Prawie anarchizm; jakby dalekie, przestrojone echo buntu jednostki przeciw społeczeństwu z wczesnych powieści Greene'a. Paul Rostenne („Graham Greene, temoin des temps tragiques”) wskazywał bardzo trafnie na metafizyczne podłoże tamtej anarchistycznej postawy. Dziś nie trzeba tak głęboko sięgać.

Wysnuwanie tego rodzaju wniosków z fabuły lekkiego utworu może się oczywiście wydać nieuzasadnione, a w każdym razie zbyt dalekosiężne. Dla mnie jednak *entertainment* Greene'a posiada pod swoją iskrzącą powłoką wyraźny i ważki dźwięk przypowieści. Na razie co prawda dostaliśmy tylko żartobliwą wprawkę. Nie wątpię jednak, że po niej przyjdzie wypowiedź zasadnicza.

To odchodzenie pisarza od gołostłowa ideologii (czy tylko społecznych?) ku człowiekowi, jako jedynej rzeczywistości, zaczęło się już wcześniej. Dla doktora Kreuzera z „Szopw w Ogrodzie” nie istota głoszonych prawd była ważna, lecz ich użyteczność dla człowieka. Dlatego na początku mojego artykułu przypominałem tamtą sztukę Greene'a sprzed roku. Ale „Nasz

Człowiek w Hawanie” nie oznacza już tylko stopniowej przemiany poglądów; jest przewrotem. Jeżeliby sądzić jedynie z tekstu powieści: nie ma sprawy, dla której człowiek poświęcałby słusznemu szczęściu własne i swoich bliskich. Jedyną rzeczywistością i miarą stał się on sam. Wszystko inne — przynajmniej jak daleko sięgają oczy Wormolda — to skompromitowane fikcje.

Długa to droga od wielkich, metafizycznych powieści Greene'a, gdzie człowiek znaczył tak mało (i tak wiele). Za tak zasadniczym skreśleniem drogi muszą, rzecz jasna, kryć się dużej wagi przeżycia i dojrzwania osobiste pisarza. Ale tu na zakończenie chciałbym na coś innego zwrócić uwagę: na to, co jest ogólnoludzkiego, powszechnego w tej zmianie kierunku.

Trudno wyobrazić sobie dwa utwory bardziej przeciwstawne podłożem, z jakiego powstały, formą, nastrojem, treścią — niż ostatnia powieść Greene'a i głośna powieść Pasternaka „Doktor Żiwago”. A jednak, jeśli sięgnąć do samej esencji, cóż za zdumiewające podobieństwo wniosków. Tu i tam to samo rozpaczliwe uchwycenie się jednostki, rodziny, prawa do osobistego szczęścia — gdy zawiodły eksperymenty społeczne, załamały się systemy. „Nie mogę już uwierzyć w nic mniej konkretnego od człowieka” (Greene). „Od czasów Chrystusa nie ma już ludów, są tylko ludzie” (Pasternak). Jednakie wołanie rozlegające się w tym samym czasie, na dwu przeciwnych biegach naszego świata, głosem wielkiego Rosjanina i wielkiego Anglika. Zjawisko jest znamienne; i o nieobliczalnym zasięgu.

Wit TARNAWSKI

“Dom starej lady”

Swą pierwszą książkę (1) Danuta Mostwin nazwała powieścią. Trochę na wyrost. „Dom starej lady” można by złośliwie streścić w takim zdaniu: „Młode małżeństwo polskie kupiło dom w Londynie, wynajmowali umeblowane pokoje, potem im się to znudziło i wyemigrowali na drugą półkulę”. W książce dzieją się jeszcze różne inne rzeczy, jest w niej parę nowel i anegdot: o tajemniczym krzyku, o przynanym omyłkowo odznaczeniu, o złym lokatorze, o nieudanym małżeństwie węgiersko-belgijskim i udanym polsko-duńskim i in. — ale choć przeważnie

(1) Danuta Mostwin: *Dom Starej Lady* — powieść — nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas” w Londynie — str. 235 — obwolutę projektowała Janina Chrzanowska — druk ukończono w sierpniu 1958 r.

odbywają się one pod jednym dachem, nie składają się na jedną historię, na powieść.

Ktoś powie: Ależ autorce nie chodziło o wymyślanie jakiejś intrygi powieściowej, chciała dać obraz środowiska, a więc ważne jest tylko, czy to się jej udało. Zgoda. Nie najgorszą jednak metodą jest pokazywanie środowiska poprzez akcję. Obraz emigracji londyńskiej wkrótce po zakończeniu wojny, na ogół wierny i plastyczny, niechybnie by zyskał, gdyby był w zwyższym ruchu, gdyby się obracał wokół mocniejszej osi, gdyby nie składał się z samych epizodów. Balzac nie tylko dlatego wymyślał skomplikowane intrygi, żeby dogadzać czytelnik(cz)kom. Robił to przede wszystkim dlatego, że dawały mu napięcie płótna pod środowiskową panoramę.

„Dom starej lady” jest czymś więcej niż pamiętnikiem i więcej niż zbiorem obrazków. Jest zadatkami na powieść. Ale za ledwie — zadatkami. Ten niedorozwój książki jako powieści sprawia, że tylko zajmuje nas ona, a nie przejmuje. Bez szczególnego żalu można ją niemal w każdej chwili zamknąć, choć z przyjemnością otwiera się ją znowu.

Gdy jednak czytelnik przeboleje już rozczarowanie sprawione przez nie-powieściowość tej „powieści” bez wątku, bez konfliktu, bez głębszych przemian wewnętrznych jej zbyt licznych postaci — wzrok jego zaczyna się wyostreć na liczne zalety debiutu p. Mostwin. „Dom starej lady” jest nieszczerze zbudowany, ale budulec jest pierwszorzędny. Książka bardzo zyskuje w ponownej lekturze, a to o niewiele da się powiedzieć.

W pierwszym czytaniu, gdy zajmuje nas przede wszystkim myśl: co z tego wynika? — zauważamy jedynie, że książkę czyta się gładko. Wczytując się w nią później, odkrywamy z uznaniem i radością coś więcej niż łatwość pióra. Styl.

Proszę przeczytać bez pośpiechu taki np. początek VIII rozdziału:

„Było zimno. Ziemia w ogrodzie stwardniała, a wieczorami ścinały ją przymrozki. Ostatnie, poczerwieniałe liście dzikiego wina zagarnął wiatr i rozrzucił po parku. Poprzez niezastłonięte okna mgliste poranki spoglądały w głąb wyziębionego pokoju. Codziennie, zaraz po obudzeniu, trzeba było prędko włączyć elektryczny grzejnik. Kotek ostrożnie zeskakiwała z tapczanu i układała się przed piecykiem przeciągając się i mruczając chrapliwie. Ale kapryśne, cieniutkie druciki rękały, a kamionka wygasła szybko. Dzień, w obramowaniu okien, błękitniał; jego chłodna przezroczystość wypełniała pokój. Otulona kocem, zaparałam lodowatymi rękami herbatę, a Staś niezmiernie i codziennie reperował grzejnik”.

Gdyby tak jeszcze skreślić w trzecim zdaniu „poczerwieniałe”, „zagarnął” i zbyteczne po takiej operacji „i”, w czwartym „poprzez” poprawić na „przez”, a dalej wyrzucić „chrapliwie” i „cieniutkie” — byłoby to doskonałe! Peiner powiedział kiedyś celnie: „Proza nazywa, pozycja pseudonimuje”. Uzupełnić to trzeba uwagą, że proza jest wtedy artystyczna,

gdy zawiera element poetycki. A tym jest lepsza, im mniej zauważalny jest ten element, im bardziej „pseudonimy”, czyli to, co staromodna stylistyka nazywała „figurami retorycznymi”, wyglądają na zwykłe nazwy rzeczy, zjawisk, czynności. Tak jest w przytoczonym urywku, który pospolitymi słowami opisuje pospolite rzeczy. Wydaje się, że każdy by to potrafił, że to żadna sztuka. A to właśnie jest sztuka. Weźmy dla przykładu to proste powiedzenie o „Kotku” *ostrożnie* zeskakującej z tapczanu. Robi się coś ostrożnie, gdy grozi jakieś niebezpieczeństwo, poślizgnięcie się, nieudanie. Kotkowi nic tu nie grozi. „Ostrożnie” jest więc użyte przenośnie. I jest to przenośnia niepospolita mimo że... a raczej: dlatego że tak niepozorna. Odkrywa i obrazuje naturę kociego skoku najtrafniej i najwziężej, jak to jest tylko możliwe.

Tu małe wyjaśnienie gramatyczne dla czytelnika, który nie zna „Domu starej lady”: „Kotek” jest imieniem własnym kotki. Tak ją właściciele nazwali nie znając jeszcze płci kociej przybłądy i tak już zostało. „Ta Kotek”, dziwnie to brzmi, ale takich drobnych nieznaczących dziwności pełno jest w życiu i chwali się autorce, że ma na nie oko. To jeden z uroków książki.

Od ustępów opisowych nie gorsze są dialogi. Aż dziw, jakie są potoczne i potoczyste, naturalne, jak się roją od dobrze podsłyszanych powiedzeń i powiedzonek. A przecież zamieszkała w Ameryce autorka w swojej pracy zarobkowej i życiu towarzyskim częściej chyba niż żywą mowę polską słyszy język angielski. Używa go zresztą obficie w książce, czasem w nadmiarze, często w sam raz, tyle, ile trzeba dla pożądanego efektu. Na przykład — humorystycznego, jak w tym oto dialogu (znowu o... kotku):

„ — Pussy, pussy — zaczął Jeff (lokator).

Kotek nie reagowała. Zeskoczyła z tapczanu i zaczęła ocierać się o nogi Stasia.

— Ona nie rozumie po angielsku — tłumaczyłam.

— O ?!

— *You have to call her* : kici, kici.

— *I understand*”.

Proszę też przy tej sposobności zwrócić uwagę, jak dowcipne są znaki pisarskie po tym *angielskim* „O ? !”

Te przykłady wystarczą, by stwierdzić, że p. Mostwin umie pisać. A to o niewiele pisarzach da się powiedzieć.

Umiejętność pisania, to nie tylko: *jak* pisać, ale też *co* pisać. I pod tym względem pierwszy krok pani Mostwin (wole formę: „Mostwinowej”, jak „Orzeszkowej”, ale idę posłusznie za kartą tytułową) jest obiecujący. Brak nam dziś zwyczaj, współczesnej, obyczajowej powieści polskiej. W kraju zabija ją cenzura, a na emigracji... nie wiem co. Faktem jest jednak, że się prawie wszyscy boją opisywania dzisiejszego, powszedniego życia emigracji. Jednym z paru chlubnych wyjątków był Janusz Kowalewski, ale i on się dotąd nie zdobył na powieść.

radeusz Nowakowski po kilku świetnych opowiadaniach współczesnych dał nam powieść raczej historyczną. Niepowszednia powieść Straszewicza nie wypełnia tej luki, bo w swej pierwszej części jest bardziej powieścią egzotyczną niż obyczajową, a w drugiej zadziwiająca, telepatyczną niż *wizją*. Czyżby tylko powieści rozrywkowe Napoleona Sądka miały mówić późnemu wnukowi, jak wyglądał dzień powszedni państwa Kowalskich, Pawłowskich i Nowaków na emigracji? Pani Mostwin weszła pewnym krokiem na ziemię ciągle jeszcze nie odkrytą. To dało jej duże możliwości i można mieć nadzieję, że z czasem wykorzysta je pełniej niż w tym debiucie.

Do naszej wiedzy o emigracji utwór p. Mostwin wnosi niewiele. To znaczy: ktoś, kto nie zna emigracji londyńskiej, nie jednego się o niej dowie, ale czytelnik z Wyspy ma tylko przyjemność sprawdzania, że tak istotnie było czy jest. Tą przyjemnością nie należy zresztą gardzić, stanowi ona szczególny dar powieści współczesnej. Jedną z pierwszych powieści naprawdę współczesnych, którą przeczytałem przed wojną, była „Zazdrość i medycyna”. Do dziś dnia pamiętam zadowolenie z tego, że dr Tamten nie nosi togi, kontusza czy tużurka, ale, tak jak ja wówczas, jasno szare flanelowe spodnie i granatową marynarkę, i że nie pije miodu, absyntu czy szampana, ale koniak i wodę sodową. Podobną radość sprawiają mi u p. Mostwin znajome wyziewy pokojowych gazowych kuchenek, bąble na tapetach, „łzy” lakierni, stare wojskowe spodnie, w które się przebiera do prac domowych, zatkany zlew w kuchni, imbryk z gwizdkiem czy zapach smażonego bekonu... Chętnie bym posłał „Dom starej lady” swym bliskim w Polsce, opowiedziałby im o naszym życiu londyńskim to, na co w listach nie starcza miejsca. A ma on przy tym właśnie ten bezpośredni, serdeczny ton listów pisanych do rodziny.

Gdybym miał jednym słowem ocenić książkę p. Mostwin, wybrałbym chyba określenie: sympatyczna. Bardzo sympatyczna książka. Już tylko pospiesznie mogę wyliczyć, czym szczególnie ujmuje:

Jest w formie, a zapewne i w genezie, pamiętnikiem, ale nie ma w niej śladu egocentryzmu; i narratorka, i jej mąż, i w końcu synek są tylko jednymi z wielu ludzi, obejmowanych ciekawym i życzliwym spojrzeniem. Godny pochwały jest przy tym „internacjonalizm” tego spojrzenia. Państwo Mostwinowie, czy raczej: państwo Narratorostwo, nie prześlepiają zdraźnień we współlistnieniu nieproszonych gości uchodźczych z tubylcami, ale nie mają kompleksu ślimaka, chcą i potrafią współżyć, a nawet przyjaźnić się z obcymi. Dzięki temu zjawiają się nareszcie w polskiej książce Anglosasi z krwi i kości, nie z anglofilskiego snobizmu czy anglofobskiej karykatury.

Podobna równowaga cechuje podejście do wielu innych spraw. Nic tu nie jest tylko czarne albo tylko białe, tylko gorzkie albo tylko słodkie. Może nieco przesłodzony jest patriotyzm w scenie filmu o Warszawie i w zakończeniu z jego westchnie-

niami do Bałtyku (wyjątkowo brzydkie morze) i Wisły (znam ładniejsze rzeki). Za to w dwu innych sprawach autorka osiąga bardzo trudną równowagę wprost bez zarzutu. Duże wyczulenie na smutki, te zwłaszcza podlenkie, małe, brzydkie, zbyt codzienne, żeby były aż „tragedią” — godzi świetnie z radością życia, z jakimś bardzo miłym i bardzo dojrzałym zadomowieniem się w doli człowieczej, którą trzeba brać taką, jaką jest. I tak samo bez zarzutu rozwiązuje problem mówienia o sobie, o który już potrafiłem powyżej.

Mówić o sobie — powiada św. Franciszek Salezy — jest równie trudno jak chodzić po linie. Może jeszcze trudniej jest mówić o tych, których się kocha: o rodzicach, mężu, żonie, dzieciach... Albo się wpada w ekshibicjonizm czy sentymentalizm, albo w udaną skromność i urażliwą dyskrecję. Pani Mostwin uniknęła szczęśliwie tych niebezpieczeństw. Mówi sporo i śmiało o sobie i swym Stasiu, ale doskonale wie, co i jak przemilczeć. I dokazała nielada sztuki: mimo tych przemilczeń, ma się po skończeniu książki wrażenie, że się z parą jej głównych bohaterów zjadło beczkę soli. Stali się bliscy, szczerze się ich lubi, czuje się, że się kochają, choć to słowo nigdzie nie pada.

Życzę zasłużonego powodzenia tej miłej książce i żeby następna była więcej niż dobrze napisana i więcej niż sympatyczna. Autorka ma ku temu wiele danych.

Michał SAMBOR

Filozofia w Ameryce

Żyjemy w okresie wzrastającej przewagi filozofii anglosaskiej w świecie. Tendencja ta zaznaczyła się szczególnie silnie w okresie ostatnich trzydziestu lat, gdy w wyniku znanych wydarzeń twórcza i wpływowa niemiecko-austriacka szkoła logicznego pozytywizmu uległa likwidacji na kontynencie europejskim i stała się jednym z kierunków filozofii amerykańskiej. Jednocześnie hitleryzm zniszczył filozofię niemiecką, a ideologia marksizmu-leninizmu wstrzymała na wiele lat rozwój myśli filozoficznej w krajach, w których ideologia ta stała się filozofią oficjalną. Ostatni międzynarodowy kongres filozoficzny w Wenecji nasuwał smutne refleksje o stanie filozofii we Włoszech, we Francji i w Niemczech. W krajach tych kwitnie obecnie to, co w okresie międzywojennym określano w Polsce nazwą „filozofii tradycyjnej”. Filozofią tradycyjną nazywano tę koalicję kierunków myślowych, które z różnych względów ustosunkowały się wrogo do prób wprowadzenia do filozofii metod wzorowanych na metodach nauk empirycznych i dedukcyjnych oraz zachowania ścisłego związku między nauką a filozofią.

Egzystencjalizm nie ratuje sytuacji w zachodnich krajach europejskiego kontynentu. W sensie metodologicznym, egzystencjalizm należy również do

filozofii tradycyjnej i stanowi potężną siłę sprowadzającą filozofię na płaszczyznę literatury, publicystyki i rozważań ideologicznych.

Jedynym ośrodkiem filozofii naukowej, pracującym twórczo i promieniującym na zewnątrz, który ostał się połączonym siłom niszczycielskim polityki, ideologii zbrojnej w przemoc państwa, oraz spekulatywnym tendencjom umysłu ludzkiego, jest chyba ośrodek holenderski, założony przez Brouwera, szkoła matematyków i logików, jakiej dał on początek. Świadczy o tym chociażby piękna seria publikacji „Studies in Logic and Foundations of Mathematics” pod redakcją Brouwera, Betha i Heytinga.

Filozofia angielska jest lepiej znana polskiemu czytelnikowi niż filozofia amerykańska. Składają się na to czynniki historyczne i większa przejrzystość filozoficznej sceny angielskiej. Z grubsza rzecz biorąc, od początku tego wieku w Anglii panuje wszechwładnie filozofia analityczna. Istnieją dość znaczne różnice między filozofią analityczną kształtowaną ręką Moore'a i Russella a współczesną filozofią analityczną, wzbogaconą przez Wittgensteina i Koło Wiedeńskie. Istnieją dalej znaczne różnice między analityczną szkołą w Cambridge, reprezentowaną przez uczniów i następców Moore'a i Wittgensteina — J. Wisdoma i C. Lewy, a szkołą oksfordzką, której przewodzi Ryle. Lecz są to różnice „wewnętrzne”, jakie nie zakłócają jednolitego nurtu angielskiej filozofii analitycznej. Wszyscy mówią bowiem tym samym językiem filozoficznym, przestrzegają tych samych rygorów myślowych i językowych. Myśliciele, którzy nie są „analitykami” i stawiają na pierwszym miejscu filozoficzne zagadnienia nauk szczegółowych, również stoją solidarnie na stanowisku, iż „filozofia języka” jest dyscypliną, bez której nie można uprawiać epistemologii (w pierwotnym i właściwym tego słowa znaczeniu). To stanowisko podziela z jednej strony Popper, metodolog i epistemolog nauk przyrodniczych i społecznych, który w Anglii osiągnął pozycję jednego z najwplywowszych i najznakomitszych współczesnych filozofów, a z drugiej Sir Isaiah Berlin, myśliciel o humanistycznych i politycznych zainteresowaniach, którego wykład inauguracyjny „Two Concepts of Liberty” rywalizuje głębią przemyśleń i formą wysłowności z „On Liberty” Johna Stuarta Milla. Sir Isaiah Berlin jest także w pewnym sensie oksfordzkim „analitykiem”.

Współczesna filozofia amerykańska nie ma tak jednolitego oblicza, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, iż pragmatyzm jest „filozofią narodową” Stanów Zjednoczonych. Jest to opinia z różnych względów błędna. Pragmatyzm Peirce'a to rzecz całkowicie różna od pragmatyzmu Jamesa i od pragmatyzmu Dewey'a, których tylko ignorancja może wkładać do tego samego kotła. Santayana, Hiszpan z pochodzenia, w ogóle nie mieści się w ramach pragmatyzmu. Wpychać go w te ramy można z równym powodzeniem, z jakim udaloby się to uczynić ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem (wspomnienia o S.I. Witkiewiczu prof. R. Ingardena podsunęło piszącemu te słowa porównanie Witkiewicza i Santayany). Gdy przejdziemy do czasów nam bliższych nie wystarczy przeprowadzenie różnic w obrębie „pragmatyzmu”. Bezpośredni następcy „wielkiej czwórki” filozofii amerykańskiej — C. I. Lewis, znany w Polsce głównie jako współautor sławnej „Symbolic Logic”, T. Veblen, R.B. Perry, H.M. Sheffer, C.J. Ducasse — reprezentują wielką różnorodność nie tylko zainteresowań, lecz również stanowisk i metod badawczych. Wreszcie w chwili obecnej, częściowo również na skutek napływu myślicieli uchodźców z krajów europejskiego kontynentu, filozofia amerykańska ulega dalszemu zróżnicowaniu. Można w niej dostrzec różne ośrodki krystalizacji, słabsze i silniejsze, lecz jest rzeczą niemożliwą podciągnąć je pod jedną formułę i opatrzyć odpowiednio dobraną etykietką.

Cenną pozycją przeto w polskiej literaturze jest zbiór rozpraw i szkiców historycznych „Filozofia Amerykańska”, zebranych przez Jerzego Krzywic-

kiego, wychowanka polskich uniwersytetów, przebywającego od wielu lat w Stanach Zjednoczonych (1). W zbiorze tym czytelnik nie znajdzie pełnego przekroju współczesnej filozofii amerykańskiej. Zbiór jest wyraźnie selektywny. Selekcja jest oparta na dwóch zasadach. Po pierwsze, w „Filozofii Amerykańskiej” znajdziemy tylko to, co nazwać by można rodzimą tradycją amerykańską. Po wtóre, zbiór nie zawiera rozpraw z dziedzin wymagających bardziej wyspecjalizowanej wiedzy, z zakresu logiki, metodologii ogólnej, filozofii nauki lub języka. Ograniczenie było niezbędne biorąc pod uwagę rozmiary książki oraz jej odbiorcę. Jest ona bowiem przeznaczona dla szerszych kół czytelników zainteresowanych zagadnieniami filozoficznymi i ich rozwojem w różnych krajach.

W „Filozofii Amerykańskiej” reprezentowane są trzy pokolenia. „Wielka Czwórka” — Peirce, James, Dewey, Santayana — znaleźli się w części pierwszej, historycznej. Ze względu na ekonomię miejsca była to decyzja słuszną. Ci najstarsi myśliciele amerykańscy są stosunkowo najlepiej znani polskimi czytelnikom, bądź z dzieł oryginalnych, szeroko rozpowszechnionych w Europie, bądź z tłumaczeń. Wiele dzieł Jamesa ukazało się po polsku, a jeden z tych przekładów, mianowicie „Pragmatyzm”, był ponownie wydany w 1957 roku (w tym samym roku wydano bodaj pierwsze polskie tłumaczenie Dewey'a „Jak myślimy”). Pokolenie średnie reprezentują nade wszystko B. Blanshard, C.I. Lewis i Ducasse. Najliczniej występuje pokolenie najmłodsze, działające obecnie w pełni swych sił twórczych. Nazwiska niektórych z nich — S. Hook, E. Nagel, A. Pap, W.V. Quine — mają szeroko i zasłużenie ugruntowaną międzynarodową reputację.

Jak Krzywicki podkreśla, wybór materiału nastęrczał sporo trudności. Czy był najszczęśliwszy? Każdy gotów jest zgłosić w takim wypadku własne preferencje i sugestie, których trafność byłaby z kolei przez innych poddana krytyce. Bodaj niesłuszną jednak było rzeczą zamieszczenie dobrze skądinąd znanego artykułu Hooka „Materializm dialektyczny a metoda naukowa” z pominięciem przedstawiciela krytykowanego przez Hooka kierunku, np. J. Somerville'a. Należy również ubolewać nad tym, iż zabrakło miejsca dla Alonzo Churcha i Nelsona Goodmana. Jeśli chodzi o te dwa ostatnie nazwiska, nie wchodzi w grę różnica zdań lub osobistych preferencji. Górzą oni zdecydowanie nad olbrzymią większością współczesnych amerykańskich filozofów, a także niemal nad wszystkimi, którzy znaleźli się w „Filozofii Amerykańskiej”. W ich opublikowanych pracach znaleźć można pozycje, które nie są trudniejsze aniżeli esej Quine'a, zasługujący w każdym wypadku na zamieszczenie w antologii. Miejsce można by znaleźć dla nich bez trudu. Albowiem konstrukcja antologii nie ucierpiałaby, gdyby dwa lub trzy rozdziały tego zbioru były pominięte, zawartość jej zaś zyskałaby na zamieszczeniu artykułów Churcha i Goodmana. Obaj należą wreszcie do rodzimej tradycji amerykańskiej.

Notując te uwagi krytyczne, trzeba raz jeszcze podkreślić niewątpliwą i rzetelną informacyjną wartość antologii, którą nadto podnosi starannie opracowana bibliografia i noty biograficzne. W swej przedmowie Krzywicki pisze, iż Peirce i Dewey zasługują na odrębne antologie w języku polskim. To samo co o Peirce i Dewey powiedzieć można o kilku innych filozofach amerykańskich. Dobrą byłoby rzeczą, gdyby udana próba własnie wydanej wstępnej antologii stanowiła zachętę do kontynuowania wysiłków i urzędywystąpienia tych sugestii.

(1) *Filozofia Amerykańska*. Wybór rozpraw i szkiców historycznych. Wybrał i przełożył Jerzy Krzywicki. Wydane staraniem East European Institute przez Boston University Press, Boston, 1958, 322 str.

Jako tłumacz Krzywicki doskonale wywiązał się z swego zadania. Natomiast korekta pozostawia coś niecoś do życzenia. Wśród błędów drukarskich spotykamy również błąd w nazwisku Russella (p. 298), niemal z reguły popełniany w publikacjach polskich wymieniających nazwisko tego filozofa.

Zbigniew JORDAN

Nadesłane nowości wydawnicze

- Spotkanie.** Jednodniówka wydana z okazji Zjazdu Koleżeńskiego Kobiet Żołnierzy P.S.Z., Str. 76 (Wyd. Komitet Organizacyjny Zjazdu Koleżeńskiego Kobiet Żołnierzy P.S.Z. — Redaktor: Stanisława Kuszelnicka, Londyn, 1959). *Do nabycia w restauracji „Daquise”, 20, Thurloe Street, London, S.W.7 w cenie 4 sh.:* z przesyłką pocztową 4 sh. 6 d.
- POTOCKI (Alfred Count).** *Master of Lancut. The Memoirs.* Str. 336. (Wyd. W.H. Allen, London, 1959, cena 25 sh.).
- VLACH (Robert).** *L'exil et le Poète.* Essai sur la psychologie de l'exil dans l'oeuvre d'Adam Mickiewicz. Pp. 138. (Ed. Slizef Svobodné Tvorby, cena dol. 3).
- ZWICZAJNA (Olga).** *Strach.* Powieść w dwóch tomach. T.I. str. 360. (Nakł. Ukr. Wyd. Spilki, Londyn, 1957).
- Lektion der Stille. Neue polnische Lyrik.* Ausgewählt und übertragen von Karl DEDECIUS. Str. 84. (Wyd. Carl Hanser München, 1959).
- HLASKO (Marek).** *Le huitième jour de la semaine.* Roman traduit du polonais par Anna Posner. Pp. 161. (Ed. Julliard, col. Capricorne, Paris, 1959, frs. 540).
- MAŁANIUK (Eugene)** *Ostannja wiosna (Last Spring). Poezje.* Str. 100. (Wyd. Wisnyk, New York, 1959).
- MIRTSCHUK (Ivan).** *Geschichte der Ukrainischen Kultur.* Str. 284. (Wyd. Isar Verlag, München, 1957. Tom XII Wydawnictwo Osteuropa-Institut, München).
- TUREK (Victor).** *Polonica Canadiana.* Str. 138. Pozycji 779 i 10 dodatkowych. Bibliografia druków polsko-kanadyjskich za lata 1898-1957 ze wstępem Roberta H. Blackburna. Nakł. Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Instytut Polski w Kanadzie, Toronto 1958).
- DZIEWANOWSKI (M.K.).** *Communist Party of Poland.* Str. 369. (Wyd. Harvard University Press, 1959. Cena dol. 7.50).
- Meesters der Poolse Vertelkunst.* Bijgebracht en vertaald door Willem A. MAIJER. Str. 218. Obejmuje utwory: B. Prusa, H. Sienkiewicza, St. Żeromskiego, Wł. Reymonta, K. Makuszyńskiego, J. Kaden-Bandrowskiego, M. Dąbrowskiej, J. Parandowskiego, J. Mackiewicz, M. Rusinka, K. Pruszyńskiego, J. Andrzejewskiego, i T. Nowakowskiego. (Wyd. J.M. Meulenhoff, Amsterdam, 1959).

Polemiki

Odpowiedzi

NA ZARZUT PIERWSZY: ŻE NIE LUBIĘ ROSJI

W poprzednim numerze „Kultury” p. Barbara Toporska wyraziła opinię, że nie umiem pozbyć się nienawiści do Rosji, czego dowodem są według niej niektóre moje zastrzeżenia pod adresem powieści „Doktor Żiwago” Borysa Pasternaka. Jest to zarzut ciężki, bo jeżeli jest słuszny oznacza, że ulegam ślepyemu odruchom i nieświadomie oddaję się w niewolę pewnych automatyzmów. Nie trzeba chyba dowodzić jak taka niewola jest niebezpieczna i do ilu błędów zwykle prowadzi. Nie uważając siebie ani za polityka ani za publicystę, widzę w tym jednak niebezpieczeństwo dla każdego piszącego po polsku, muszę więc traktować zarzut bardzo poważnie.

Każdy z nas rodzi się znacznie wcześniej niż dzień jego narodzin. Skrawek ziemi, na którym formował się uczuciowo i myślowo przeka w niego ze wszystkimi historycznymi nawarstwieniami, z całą atmosferą przywiązań, niechęci, drobnych odcieni głosu, obyczajów. Stamtąd też pochodzi wrażliwość na słowo, na związki słów, na takie a nie inne tworzywo języka. Gwałtownie zaprzeczać, utrzymywać, że potrafimy wznieść się nad taką przyziemność, że kierujemy się tylko rozumem, nie zda się na nic, a nawet jest najlepszym sposobem zepchnięcia całej sprawy w głąb i utrzymania kompleksów. Tylko starając się uświadomić sobie co nas określa, wynosząc to na powierzchnię, a więc wyznając jawnie, możemy spodziewać się, że zamiast przeszłości tylko podlegać, będziemy nad nią panować. Dlatego dzisiaj w Polsce uraz anty-rosyjski jest beznadziejny. Potęguje się przez każde przemilczenie.

Z grubsza biorąc, znajduję dwa czynniki determinujące. Jednym z nich jest odczucie historycznej klęski. U ludzi wychowanych na polskich obszarach etnicznych bywa ono słabsze niż u ich kuzynów znad Niemna czy Dniestru, bo nie ogarniają ogromu przegranej. Dzisiejsi Polacy wielbią Antoniego Malczewskiego, Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego, trudno im jednak pojąć, że nie są to *ich* poeci, ale poeci bardzo dużego państwa, które, choć wtedy kiedy pisali nie istniało już prawnie, istniało jeszcze faktycznie, a na pewno istniało jako stały element świadomości. I ży-

cie jego było dość uparte, o czym dzisiaj za często się zapomina. W 1848 r. Karol Marks twierdził, że rewolucja w Europie będzie niemożliwa, dopóki nie rzuci się na kolana rosyjskiego imperium i nie odbuduje się Rzeczypospolitej w granicach z 1772 roku. Państwo to zaczęło się rozpyływać dopiero po 1863 r. Anty-polskie wiersze Puszkina nie powinny być rozpatrywane w dzisiejszych kategoriach nacjonalistycznych, bo są one jeszcze rozprawą z rywalem o władzę nad całą wschodnią Europą, już pokonanym, ale buntującym się przeciwko losowi. To co mówię, nie ma nic wspólnego z koncepcjami politycznymi jakie ktoś może mieć w XX wieku. Próbuje tylko dotknąć determinant „uczuciowości politycznej”, jak to nazwałem, gdzie indziej.

Drugim czynnikiem są tradycje postępowo-demokratyczne. Ponieważ zmiana stosunków społecznych mogła się dokonać tylko za cenę buntu przeciwko autokratycznej Rosji, demokraci i postępowcy byli anty-rosyjscy, natomiast skłonności do współpracy z Rosją występowały na prawicy — czy był to generał Wincenty Krasiński, czy hr. Wielopolski, czy wuj Józefa Conrada — Bobrowski, czy Roman Dmowski. Gdyż władza imperatora gwarantowała *status quo* czyli „ład”. Ten paradoks działa w całej pełni dotychczas, tym większy, że podręczniki szkolne chętnie nazywają reakcjonistów zdrajcami i szereg kultu ruchów rewolucyjnych, daremnie próbując obcinać ich anty-rosyjskie żądło. Tradycje postępowo-demokratyczne są niewątpliwie jadowite, bo przenoszą w czasie stereotypowy pogląd na Rosję jako kraj niewolnictwa i opresji, pogląd właściwy nie tylko wrogo usposobionym do caratu Polakom, ale europejskiej lewicy w ogóle — na którą silnie może niż się przypuszcza wpływała polska emigracja ubiegłego stulecia. Nie przesądzam, czy Karol Marks miał rację, zapewniając, że „W Europie nie ma nic prócz rosyjskiego absolutyzmu i rewolucji z demokracją”, czy nie szedł zbyt daleko dostrzegając w Rosji, od Iwana Kality, tylko barbarzyństwo, nie będąc się też zastanawiając, czy ładnie jest posuwać nienawść do słowianofilów aż do tego stopnia, że na wschodzie Europy znajduje się tylko trzy narody godne istnienia; Polaków, Węgrów i Serbów, a poza tym obrzydliwą miązę. Ani czy nie przeczy się samemu sobie, w teorii uważając ekonomię za motor dziejów, a w praktyce, w pismach o polityce międzynarodowej, przyznając decydującą rolę dyplomatycznym intrygom i atakując Palmerstona jako rzekomego rosyjskiego agenta. Tak jednak było. I ku tym większej ucieście potomnych, nie zabrakło wśród obrońców samodzielną prawicowego Polaka. Co Marks w swoich korespondencjach do „New York Herald Tribune” przeciwko Rosji napłatał, to hr. Gurowski, nawrócony na prawosławie i przekonany o misji dziejowej Słowian, odplątywał. Wspominam o tym dlatego tylko, że czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci i im ktoś bardziej był czuły na polską literaturę postępowo-demokratyczną, ze wszystkimi jej europejskimi rozgałęzieniami, tym więcej wchłaniał anty-rosyjskiego bakcyła. Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy nie chciała lżyć się z tym tak trudno wymiernym, nieuchwytnym czynnikiem i za ten błąd poniosła karę.

Uciekając od złudzeń i wykrzywień perspektywy powinniśmy jednak strzec się, żeby nie wpaść z deszczu pod rywnę. Jeżeli pogląd na Rosję, mocno ugruntowany wśród Polaków, był naznaczony urazą, nie znaczy to, że wręcz przeciwny pogląd był rozumny i nie miał swojej podszewki. Mieszkaństwo zachodniej Europy hodowało troskliwie miłość do Rosji bo

fascynowała je potęga, a niemało dopomogła egzotyka, oddalenie, podziw dla literatury, baletu etc. Skoro jednak dbamy o jaką taką trzeźwość, za aberrację musimy uznać i sąd Voltaire'a o państwie Katarzyny Wielkiej jako nowych Atenach, siedzibie tolerancji, łagodności, swobody i liczne podręczniki historii Rosji pisane po to, żeby zaskarbić, brzęczące nieraz, względy carskich ambasad, i traktaty o „âme slave”, i nawet podziw dla Dostojewskiego, którego wyrwało się z kontekstu, interpretując go dowolnie, wycinając jego całą historiozofię.

Ponieważ carat był wspaniały, chętniej dawano zwykle wiarę świadectwu uciskających niż świadectwu uciskanych — jednak, niezależnie od miejsca i czasu, zawsze to drugie powinno więcej dla nas ważyć. Przeszłość ciąży na Polakach, ciąży jednak również na ludziach Zachodu i niemal patologiczna miłość do wszystkiego co rosyjskie, na jaką natrafiamy u tyłu z nich, da się wytłumaczyć tylko rutyną uczuciową, dziedzictwem kilku pokoleń. Byłem świadkiem odrzucenia przez firmę wydawniczą paryską wybitnego dzieła o stosunkach polsko-rosyjskich w XIX wieku, z powodu „nacionalizmu”. Ale wydawcom tym, dbającym o swoją nieskazitelną mieszczańską postępowość, nie przyszłoby do głowy oskarżyć o nacionalizm Hindusa piszącego o stosunkach pomiędzy Indiami i Wielką Brytanią.

Takie są „obciążenia”. Czy jednak dzisiaj wolno nazywać Związek Sowiecki Rosją? Mnie mam, że tak. Używamy częścię słowa: „Ameryka” niż dwóch słów: „Stany Zjednoczone”. Poza tym językiem panującym jest w państwie rosyjski i to wystarczy. Teza, że dobra Rosja została podbita przez złych bolszewików nie wytrzymuje krytyki. Rosja została podbita ale przez samą siebie, podobnie jak niegdyś przez samą siebie została podbita Francja w swojej rewolucji. Oczywiście zwolennicy *Ancien Régime'u*, rezydujący na dworach ościennych monarchów, nie mogli swojej Francji poznać. Wolno nie zgadzać się z historykami sowieckimi kiedy zapewniają, że Iwan Groźny, Piotr Wielki i Katarzyna II byli „postępowi”, bo pracowali dla przyszłej rewolucji (Czyżby Kolumb wybrał się w podróż do Indii Zachodnich po to żeby wybudować New York?). Niemniej, jak okazało się, pracowali. Rewolucja rosła powoli w łonie Rosji w ciągu całego stulecia, przygotowywana bardziej przez rosyjskich pisarzy i myślicieli niż przez Marksa. Aż nastąpił szczególny poród i matka znikła, przekształciła się w dziecko przekazując mu jednak niemal wszystkie swoje rysy. Nie tutaj miejsce na wylizanie jakie instytucje i jakie pomysły miały później owocować. W każdym razie jeżeli politycy chętnie przyciskają do piersi „narod” innego mocarstwa, a piorunują na „ustrój” — bywa to zwykle wybiegiem w międzynarodowej rozgrywce, zwłaszcza tam gdzie ustrój stanowi produkt rodzimy. Jest to jakby próba interpretacji procesów historycznych przy pomocy mechaniki, podczas kiedy są one raczej chemią.

Każda cywilizacja nosi w sobie pewną ilość możliwości i tylko niektóre z nich się realizują. Obracając się wstecz, łączymy przyczyny i skutki w ciąg konieczny, tj. dla nas wszystko co było, być musiało. Wiemy, że jest to w pewnym stopniu złudzenie, bo nie uwzględniamy różnych *contingences*, niemniej tak nasz umysł jest urządzony. Jeżeli któraś z możliwości nie zrealizowała się, to znaczy dla nas, że była za słaba. Nie możemy odgadywać, co by było, gdyby obecne Stany Zjednoczone kolonizowali nie protestanci ale Hiszpanie posuwający się od południa, ani jak potoczyłyby się wypadki

gdyby nie zatrzymano karety Ludwika XVI-go. Błąd zaczyna się, kiedy ten nasz nałóg rozpatrywania przeszłości jako koniecznej rzutujemy na dzisiaj i paralizujemy swoją wolę. Bo możliwości realizują się przez nas i dzięki nam. Dlatego pisarz rosyjski czy polski czy jakikolwiek inny wywiera wpływ odnawiając nieraz możliwości niewykorzystane i nadając im żywotność. Tak np. Miriam wskrzesił Norwida — żeby użyć przykładu z węższego, czysto literackiego, zakresu.

Dzielenie ludzi na lepszych i gorszych z powodu ich narodowości, rasy, wyznania etc. jest absurdem, tak jak absurdem jest odpowiedzialność zbiorowa. Zupełnie czym innym jednak jest ocena pewnych cywilizacji. Simone Weil uważała cywilizację rzymską za podrzędną i okrutną, znacznie niższą niż wiele innych cywilizacji, które Rzym podbił. Ten jej sąd, wydaje mi się, uprawniony, nie oznaczał wcale, że rozciągała go na jednostki ludzkie. Mogę czuć więcej pokrewieństwa (lepiej rozumiem od środka jego psychiczny mechanizm) z Rosjaninem niż np. z Niemcem, biorąc jednak cywilizację rosyjską jako całość, od Iwana Kality, nie znajduję powodu, żeby sugerować się jej niezwykłymi osiągnięciami czy potęgą, bo jedyną miarą nam dostępną jest szczęście albo nieszczęście ludzi. Miara ta jest względna, jednak o Rosji świadczą dotychczas nie świetne fasady dwóch jej stolic, ale prowincjonalne miasteczko, obraz nędzy i apatii. Za dużo dzisiaj rozprawia się o ustrojach a za mało uwzględnia się to co je ulepiło. Marks nie przewidywał ustroju który skoncentruje wszystkie swoje siły na potęgę państwowego aparatu, wpadając w starą koleinę. Życze Rosjanom żeby każdy z nich mieszkał w swoim domu z ogródkiem i żeby każda rodzina rozporządzała jednym przynajmniej samochodem. Choć wtedy ogłosiliby, że są już w niebie i zaraz przegryzłaby im pępek okropna chandra. Ich *pendulum* zdaje się wahać pomiędzy „wszystko albo nic”, pomiędzy politycznym absolutyzmem i chaotyczną pogonią „ludzi niepotrzebnych” za Absolutem, jak w XIX wieku — a dzisiaj już daje się obserwować ponowne tego objawy. Po prostu żyć — to im zagraża, i kto wie czy przesadzał Apollo Korzeniowski, zdaniem którego, gdyby byli wolni „poszliby w dym jak sucha mierzwa” — co właśnie teraz jest ich głównym problemem.

Socjalistyczny realizm jest odpowiednikiem „kultury masowej” w krajach zachodnich i łączy się z uprzemysłowieniem. To jednak coś znacznie więcej niż kwestia smaku. Co do jego rosyjskich korzeni, odsyłam do znakomitego studium pióra sowieckiego autora, które ukazało się anonimowo w lutym numerze paryskiego miesięcznika „Esprit”. Pismo to nie może być posądzone o anty-komunizm i zapewne starannie sprawdziło autentyczność źródła, zresztą nikt z zewnątrz nie potrafiłby tak napisać. Jest to utwór łodowatej, spokojnej ironii i z pewnych szczegółów można wywnioskować, że autor należy do młodego pokolenia. Wykazuje, posługując się licznymi cytatami, jak głód Celu u pisarzy dziewiętnastowiecznych przygotował nową doktrynę, która pojawia się około r. 1901 w utworach Gorkiego. Po okresie burzy i naporu, kiedy przeważały elementy romantyczne, nastąpił skok wstecz, do klasycyzmu ód Dzierżawina. Obecnie doktryna socjalistycznego realizmu (równoznaczna z wiarą w powszechną szczęśliwość) leży w ruinie: „Śmierć Stalina zadała nieuleczalny cios naszemu systemowi religijnej estetyki, a trudno go zastąpić wskrzeszając kult Lenina. Lenin jest zbyt podobny do zwykłego człowieka; ma zbyt realistyczny wygląd: mały, łysy, po cywilnemu. Stalin natomiast był specjalnie stworzony do hiperboli jaka go cze-

kała. Tajemniczy, wszytkowiedzący, wszechpotężny, był żywym pomnikiem naszej epoki i brakowało mu tylko jednego, żeby stać się Bogiem: nieśmiertelności. Ach, gdybyśmy byli inteligentniejsi, gdybyśmy otoczyli jego śmierć cudami! Nadalibyśmy przez radio, że nie umarł ale wstąpił do nieba, skąd patrzy na nas, cichy, ze swoim mistycznym wąsem. Jego relikwie leczyłyby paralityków i opętanych przez diabła. I dzieci, przed pójściem spać, modliłyby się w okienku, obracając oczy ku błyszczącym gwiazdom niebieskiego Kremla...”

Co najciekawsze jednak, to studium, napisane z logiką taką, że mucha nie usiądzie, kończy się słabo, wyznaniem ogólnego impasu. Czyli tylko negacja jest dobrze przemyślana. „Podobieństwo”, „realizm” są według autora skazane na fiasco i dlatego to powieść taka jak „Nie samym chlebem żyje człowiek” Dudincewa musiała artystycznie przegrać. „Ale czy to możliwe, żeby tylko marzenie o dawnym, dobrym i uczciwym „realizmie” było jedyną ukrytą herezją jaka kusi literaturę rosyjską?” — zapytuje młody pisarz. I dość naiwnie powiada dalej: „Obecnie pokładam nadzieję w sztuce fantasmagorycznej, z hipotezą zamiast celu, w sztuce, gdzie groteska zastąpi realistyczny opis codziennego życia. Taka sztuka najlepiej odpowiadałaby duchowi naszej epoki. Oby przejęskrawione obrazy Hoffmana, Dostojewskiego, Goyi, Chagalla i Majakowskiego, najbardziej socjalistycznie realistycznego ze wszystkich, jak również obrazy wielu innych realistów i nie-realistów nauczyły nas jak być prawdomównym przy pomocy absurdalnej fantazji. Tracąc wiarę, nie straciliśmy entuzjazmu dla metamorfoz Boga, jakie dokonały się przed naszymi oczami, dla potwornego skurczu jego wnętrza i jego zwojów mózgowych. Nie wiemy dokąd iść, ale zrozumiawszy, że nie było innej rady, zaczynamy myśleć, że trzeba tworzyć zagadki, wypowiedać przypuszczenia. Może wynajdziemy coś zadziwiającego? Ale to nie będzie już socjalistyczny realizm”.

W jednej przynajmniej sferze, humoru, rzeczywistość zawsze prześciga fantasmagorię. Równocześnie z artykułem sowieckiego pisarza ukazał się w paryskich „Temps Modernes” artykuł Izaaka Deutschera o Borysie Pasternaku. Namiętność jak wiadomo, zaślepia, a pycha może być namiętnością. Popadłszy w jej szpony Deutscher wyżył się taktu, zapomniał, że od krytyka literackiego wymaga się odrobiny przynajmniej kompetencji, i ze swojej cichej Anglii, jak niedawno pouczał pisarzy polskich co to znaczy być komunistą, zaczął pouczać pisarzy rosyjskich. Taki paszkwil na twórczość i osobę Pasternaka każdy z nas, trochę oblatanych w tej problematyce, mógłby napisać bez trudu. Ćwiczenie szkolne w wulgarnym socjologizmie, palcówka. Tylko że komu się zechce? Pasternak jako przedstawiciel liberalnej burżuazji, zatrzymany w rozwoju ok. 1922 r., jako skamielina, jako człowiek przepojony tęsknotą za „Ancien Régime’m, jako emigrant wewnętrzny dławiony przez nudę swojej moralnej kłęski. „Tylko po wszystkich doświadczeniach ery stalinowskiej czuje się moralnie uzdrowiony i roztacza swój faryzeizm”. Deutscher sporządza akt oskarżenia wyliczając czego nie ma w powieści „Doktor Żiwago” (wielkości Rewolucji, wielkości wojny domowej, pozytywnego bohatera, całą argumentację znamy). Pogarda dla „cipłonka”, dla „bezkostnego inteligenta” — w tej ćwiczonej się, od czasu ukazania się powieści Gorkiego „Życie Klimy Samgina” nieskończoną ilość razy (jak zauważa wspomniany wyżej rosyjski autor, powieść ta stała się wzorem socrealistycznych rozpraw z moralnymi skrupułami inteligencji).

Jurij Żiwago (zidentyfikowany z Pasternakiem przez Deutschera) „nie jest potomkiem Piotra Bezuchowa ale Oblomowa, tej postaci Gonczarowa, która, nie nadając się do niczego, spędziła całe życie w łóżku, symbol niemocy i bezwładności dawnej Rosji. Tutaj Oblomow buntuje się przeciwko nieludzkości rewolucji, która wyciągnęła go z łóżka. Jednak Gonczarow w Oblomowie stworzył wielką figurę satyryczną. Pasternak robi z niego męczennika i przedmiot apoteozy”. Że utwór jest romansem, i to w podwójnym znaczeniu, bo również romansem poety z ojczyzną, że pominięcia scen heroicznych są celowe, Deutscher w ogóle nie zauważył. Zmiażdżwszy poezję i prozę Pasternaka, poucza również cenzorów w Moskwie. Popelnili błąd zakazując drukowania „Doktora Żiwago”, gdyż trzeba mieć pobłażliwość dla nieszkodliwego maniaka. „Kolosalna, olbrzymia, coraz większa struktura nowego społeczeństwa sowieckiego nie przestanie rosnąć. Czyż wzrok poety skierowany ku sobie i ku przeszłości, medytującego o jałowiznach swojej pamięci, może rzucić zły urok?”. Mam nadzieję, że dosyć tych cytów, aby się przekonać, że Deutscher słusznie postępuje rozsyłając swoje listy pasterskie z Anglii. Gdyby znalazł się (sam na sam) z sowieckimi pisarzami, takimi jak autor studium w „Esprit”, spotkałaby go zapewne przykre: za brak rozgarnięcia.

Czyż więc moje zastrzeżenia co do „Doktora Żiwago”, które naraziły mnie na zarzut anty-rosyjskości, są podobne? Niektórzy kochają Rosję i ucieleśniony w niej proces historyczny, nie szanują Rosjan. Lepiej chyba jest nie kochać Rosji, natomiast szanować w Rosjanach ludzi, przede wszystkim za to, że wiele cierpieli, że musieli szukać sposobów jak stawić czoło nieszczęściu. Brakiem szacunku jest robienie z „Doktora Żiwago” politycznej hecy, czy piętnując książkę jako kontr-rewolucyjną czy obnosząc ją z triumfem jako dowód „nastrojów opozycyjnych”. Dla milionów ludzi rewolucja rosyjska (jak każda chyba rewolucja) była kosmicznym kataklizmem, tylko nieliczna mniejszość wyraźnie opowiadała się za albo przeciw. „Proces włączenia jednostki jakby była pakunkiem czy trupem i wciskania jej w jakiś źle dopasowany kontekst ideologiczny — oto co delikatnie nazywa się historią” — powiada niepoprawny spadkobierca amerykańskich indywidualistów, Dwight Macdonald. Potem, po zwycięstwie, cudownie rozmnażają się zastępy tych, co od początku okazywali ofarność i wszystko zostaje pokryte brązem. Pasternak pokazał ludzi uwikłanych, niezdecydowanych, próbujących ratować swoje szczęście i życie swoich rodzin, ludzi rzuconych między Białych albo Czerwonych nieraz przez zwykły przypadek — i to gniewa jego oskarżycieli, bo są przyzwyczajeni do patosu, do pomników i drżących z oburzenia dowiadujących się, że dla niektórych mężczyzn i kobiet podczas Takich wydarzeń ważną była miłość. Ale dla Pasternaka poezja zawsze kryła się w „prozie życia”. To jest treścią jego przemówienia na I kongresie pisarzy sowieckich w 1934 r. (Znów humor rzeczywistości. Tekst został ostatnio podany, jako załącznik do artykułu K.S. Karola, w tym samym numerze „Temps Modernes”, w którym czytaliśmy artykuł Deutschera, i całkowicie przekreśla epitet „wewnętrzny emigrant”). Temu założeniu pozostał wierny pokazując rewolucję od dołu nie od góry, a zarazem odnawiając zagubioną możliwość — prozy rosyjskiej XIX wieku.

Tym niemniej ośmielię się powtórzyć, że filozofia „Doktora Żiwago” jest mi obca. Postawa reprezentowana w tej książce jest zapewne jedyną jaką może obrać człowiek w pewnych warunkach, jeżeli chce zachować

uczciwość: żelazny walec zgniata i tych, co biegną przed nim, ulegając złudzeniu, że nim kierują, i tych, co próbują mu się opierać. Ocalenie jest w bierności rośliny, układającej swoje liście płasko na rodzinnej ziemi, w duchowym oderwaniu od czynu. Ale jest znana prawda, że człowiek zgnieciony ma skłonność do ubóstwienia siły, która go zgniata, bo może ocalić swoją dumę tylko nadając tej sile cechy nadprzyrodzonej niemal konieczności. Bywają warunki historyczne, w których wszystkie opcje są złe, również bierność, ponieważ przystają historię w kolory Apokalipsy, choć te jej się nie należą. Terror w dotychczasowych rewolucjach był krótkotrwały, w Rosji rozciągnął się na dziesiątki lat, a w dwudziestym wieku dziesięć lat to tyle co dawniej stulecie. Kto jak kto, ale my wiemy jak zbyt duże nieszczęście destyluje się w różne pociechy i jak powstała wiara w Polskę-Chrystusa narodów. Mając to za sobą, z jakimś sceptycyzmem musimy się odnieść do upartego mitu Rosji-Chrystusa narodów. Być niezmienne aktorami w „Rewizorze” Gogola i pocieszać się, że stanowi się częstkę ciała mistycznego — smętny to ratunek.

Wcale nie ukrywam, że wylazi ze mnie tutaj pra-typ uczuciowy, tak wyraźny np. w powieści Józefa Conrada „Under Western Eyes”. Conrad nie godził jednak w Rosjan, sondował ich ze współczuciem i z większą sympatią niż ludzi zachodnich, godził w cywilizację rosyjską wykrzywającą własnych synów. Przyznanie się do tej conradowskiej wizji nie hańbi, jeżeli równocześnie umiemy przyznać, że Polska, z innych przyczyn, jest szkodliwa dla Polaków.

NA ZARZUT DRUGI: ŻE POSTAWIŁEM KIEDYS FAŁSZYWĄ DIAGNOZĘ

Ponowna dyskusja o „Zniewolonym umyśle”, do jakiej prowokuje Gustaw Herling-Grudziński, wcale mnie nie uszczęśliwia. Odrywamy się zwykle od swoich dawnych utworów i to przecięcie pepowiny jest zbawienne, bo w przeciwnym wypadku ciągle musielibyśmy dreptać w miejscu. Napisałem tę książkę w 1951 roku i przyczyniła mi wielu zmartwień, przede wszystkim dlatego, że sterczała, tzn. większość czytelników nie mogła jej włączyć w tło innych moich prac, mało im znanych. Została przyjęta na ogół nieprzychylnie przez Polaków mieszkających za granicą, przy czym nigdy nie umiałem odkryć, czy zbrodnicość treści autora nastroja do niej wrogo czy zbrodnicość treści nastroja wrogo do autora. W każdym razie Polacy nieraz błagali cudzoziemców, żeby tym bredzeniem nie dawali posłuchu. Argumenty były następujące. Nie ma żadnej Nowej Wiary, doktryny itp., jest obca okupacja, szlachetny naród polski trwa w psychicznym oporze, a ci, co ogłaszają się za marksistów, grają cyniczną komedię. Argumenty te były całkiem ważne — ale tylko w ustach ludzi dla których marksizm w każdej postaci jest od początku do końca bzdurą. Podobnie kilka lat temu przybysz z Polski powiedział o mnie: „Taki inteligentny człowiek i żeby tak dał się nabrać”. On jednak z musu wkuwał popularne broszurki, odmawiając nawet zastanawiania się nad ich prawdą czy nieprawdą. I na pewno takich było najwięcej.

Książka jednak ma za przedmiot określoną grupę ludzką, w określonym czasie, w kraju (czy w krajach) gdzie w spazmie wojny nastąpił koniec świata, jednego przynajmniej świata. Poza potrzebą emocjonalną czy pasją (książka nie jest niczym innym niż rozwinięciem w prozie „Traktatu moralnego” ogłoszonego w Polsce w 1948 r.) wpłynęły na nią moje zainteresowania, skrótowo to ujmując, antropologiczne, a sekret chłodu i dystansu łatwo wytropić w „Podróżach Gulliwera” Jonathana Swifta, bardzo wskazanej lekturze. Warto zauważyć, że przedmiotem mojego ataku jest Nowa Wiara, stalinizm, socrealizm a nie „komunizm”. Bronilem się już wtedy, jak umiałem, przed wrobbieniem mnie w „anty-komunizm”, z kilku powodów. Przede wszystkim zjawisko jest za duże, zbyt proteuszowo zmienne, na każdym kroku czatuje tu mętność uogólnień i „anty-komuniści” nie mieli właściwie prawa pochwałać zamiarów Imre Nagya, komunisty. Po raz pierwszy słowo „komunizm” pojawia się w literaturze polskiej, a być może europejskiej, w roku, jeżeli się nie mylę, 1569. Jak wyszperał niestrudzony prof. Stanisław Kot, delegacja polskich Arian udała się wtedy na Morawy do wspólnot Hutterytów (od przywódcy, Huttera), spodziewając się tam znaleźć wcieloną w życie Ewangelię, ale zastała tylko spółdzielnie produkcyjne, jej raport daje więc wyraz grozie: „To nie komunistowie są ale ekonomistowie”. (Gdybyż to samo dało się powiedzieć o późniejszych komun. stach...). Po wtóre, „anty-komunizm” prowadzi prosto do manii i obłędu, ma dwa worki i wszystkich musi wpychać do jednego z nich, a każdy sojusznik będzie wtedy dobry, nawet Goebbels. Po trzecie świat jest zbyt interesujący i złożony, żeby bez ustanku babrać się w tej samej brei. Czasu szkoda.

Dlaczego Gustaw Herling-Grudziński, pisarz wrażliwy i utalentowany, raz jeszcze podejmuje prawicowe argumenty przeciwko „Zniewolonemu Umysłowi”? Wytłumacz mu na przykładzie czemu się myli. Na wyspie Haiti jest religia Vudu, czy, jak piszą Francuzi, Vaudou, mieszanka wierzeń afrykańskich pod przykrywką chrześcijaństwa. Wielka ilość bóstw — i te bóstwa wstępują w ciało wyznawców podczas zbiorowych obrzędów, tak że „opętany” zachowuje się jak dane bóstwo, ono nim rządzi, on jest tylko cielesną powłoką wypełnioną przez inną moc. Socjologowie, którzy to badali, przyznają, że nauka nie znalazła dotychczas wyjaśnienia tego fenomenu, natomiast kategorycznie odrzucają naiwnie-sceptyczne, wolteriańskie teorie o ludzeniu wiernych dla korzyści itp.

Tak samo nie trzeba upraszczać skomplikowanych smażeń się psychicznych, jakie odbywały się w Polsce. Jeżeli uzna się je tylko za komedię, popełni się błąd wolteriański, to jest zlekceważy się napięcia między-ludzkie, sprowadzając wszystko do psychiki indywidualnej. Wtedy też, konsekwentnie, komedią tylko będzie rzeczywisty wstrząs, jakiego doznały w 1955/1956 niektóre środowiska, zwłaszcza młodzież. Ostatecznie nie zapominajmy, że szamaństwa miały za pożywkę marksizm. Własnego stosunku do marksizmu chyba Herling też nie określa jednym słowem, bo nie da się to zrobić, jest to dla ludzi współczesnych pierwsza, bądź co bądź, próba całościowego ogarnięcia historycznych współzależności, mniejsza z tym w ilu punktach słuszna, w ilu mylna. Ze nie wziąłem rozmyślań o Nowej Wierze z własnej głowy nie trudno się przekonać. Ukazała się niedawno w Polsce piękna książka Witolda Kuli pod niepozornym tytułem „Rozważania o historii”. Na jej końcu umieszczony jest zdumiewający dokument, „Gusła”, rodzaj

pamiętnika w formie wymiany listów pomiędzy dwoma Rzymianami z VI wieku po Chrystusie. Ten pamiętnik powstał między 1947 i 1953. Czy przyjąć Nową Wiarę, mimo jej absurdów, czy pozostać poganami — to dylemat Rzymian i wreszcie skłaniają się do chrześcijaństwa, bo „pomimo wszystko...”. Alegoria jest tak przejrzyta, że każdy opis jest po prostu opisem stalinowskich obrządków. Ale nie znam Kuli i czegoś chyba dowodzi równoczesne niemal pojawienie się u nas tych motywów, dość powszechnych wtedy w kołach intelektualnych. Co do „przejść” między szczerością i maskaradą to były one płynne i dwa razy warto podumać, zanim wytknie się sprzeczność.

Gwałtowne załamania się jakiegoś prądu należą do tajemniczej chemii historycznej. O załamaniu się doktryny w Rosji mówi cytowany wyżej pisarz sowiecki („Tracąc wiarę...”), choć tam jest to wiedza prywatna, fasada została utrzymana. W Polsce doktryna umarła i jej kadaver leżał długo na ulicy. Nie powinno to skłaniać do optymistycznych przepowiedni, ale być może dopiero teraz zaczyna się tam okres świadomego cynizmu czyli mechanika władzy jest naga.

Niechęć do walkowania tych spraw jest chyba uzasadniona, bo doktrynalne gusła są już przeszłością. Kilku amatorów drętwej mowy próbuje galwanizować trupa ale zabieg nie może się udać i słyhać tylko nieartykułowany bełkot. Dzisiaj moje poglądy na ustrój w Polsce są bardzo szare i pospolite tj. myślę, że ten importowany towar jest bardzo niepraktyczny, że odznacza się wyjątkowym niechlujstwem i niedołęstwem gospodarczym. Prawdopodobnie żółć i wątrobą prędko wykończyłyby mnie tam nad Wisłą, bo dziwne to zajęcie, pisać wiersze, kiedy o parę kilometrów od Warszawy zaczyna się melancholijna dzicz, rodzaj afrykańskiego buszu. Wykończyłyby mnie moje uczucia socjalistyczne, tj. solidarności z zwykłymi ludźmi. Na pierwszy plan wysuwają się dla mnie dzisiaj zagadki ekonomii, ale literat nie może być omnibusem i niech zajmują się tym ekonomiści. Rzecz jasna, nie wierzę im nic a nic. Zawsze czarują się statystykami, ale żadna statystyka nie uchwyli np. takiego kosztu obciążającego wiele następnych pokoleń jak całe miasta rozpadające się w kawałki albo rozebrane na cegłę, czy nieodnawiane (gdzie są, jak w Poznańskim) od czasu zaboru pruskiego instalacje wodociągowe i sanitarne. Podobnie jest z figlami statystyki w wielu innych dziedzinach.

Żeby skończyć ze „Zniewolonym umysłem”. Książka ta zyskała wśród obcych renomę „klasycznego studium” i może coś w tym jest, bo np. artykuł rosyjskiego pisarza w „Esprit” pokrywa się z jej tezami „toczka w toczku”. Ale w naszej epoce stoimy w każdej chwili przed bardzo trudnym wyborem, bo łapią nas za frak i ogłaszają za „swoich” ci, których my wcale nie uważamy za swoich. Śmiałem się, kiedy jeszcze w erze przedpaździernikowej gazety w Polsce proklamowały mnie „agentem” i napomykały o zrzućaniu „Zniewolonego umysłu” na spadochronach, przestałem się śmiać, kiedy ktoś przywiózł mi po Październiku egzemplarz, arcydzieło sztuki drukarskiej, na papierze biblijnym, o formacie większego pudełka od zapalek. Sporządzili to piraci, a w dodatku ciemni piraci. Bo trzeba łobuzerstwa, żeby korzystać z cudzego trudu bez wiedzy wydawcy i autora, trzeba też niezwykle tępoty, żeby dziełko będące analizą intelektualną ekspediować między żaby, wiewiórki i wsie w lasach, zajęte bimbrem oraz rozłupywaniem sobie nawzajem głów na weselach. Poszedłem do sławnego

paryskiego adwokata, Maurice Garçon'a, członka Akademii Francuskiej. Obejrzał, porównał: w offsetowej odbitce wycięta jest firma wydawnicza („Kultura”), wycięty jest też jeden fragment z przedmowy. Falszyfikat. Dobrze, możemy wytoczyć proces. Tylko przeciw komu? A gdybyśmy próbowali odgadnąć, gdzie dowody? Wygrywając proces zgarnąłbym może kupę pieniędzy. Żal.

Sunt lacrimae rerum. W opowieści tej tkwi głębszy morał. Jakikolwiek wysiłek twórczy jest dzisiaj marszem po linie, między dwoma rządami czyhających. Starają się nas ściągnąć. „Ty z nam...” „Nie, ty z nami”. Herling jest zbyt dobrym pisarzem, żeby nie odgadł mojego skurczu szczęki, mojej woli ograniczenia się do wybranego fenomenu, który musiał być niejako obroniony przed powierzchowną interpretacją z zewnątrz. Stąd niekiedy sztuczność. Zresztą podejrzewam, że co Herlingowi bardziej się w tej książce podoba, mnie podoba się mniej (ustępy gdzie wybucha zbyt ludzki żąd) i odwrotnie. Jeżeli mam być szczerzy, to zauważam u niego ślady zbyt długiego przebywania w polskim emigracyjnym środowisku. To szkodzi. Zbyt wiele wtedy pozornych oczywistości bierze się „for granted”.

NA ZARZUT TRZECI: ŻE NIE UTRAFIŁEM W UKRAINE

Tragiczny los pisarzy ukraińskich powinien zawsze być przypominany, bo nie należy katom zostawiać monopolu mówienia o ich ofiarach. Artykuł J. Ławrynenki w poprzednim numerze „Kultury” jest wstrząsający. Jeżeli jednak „Kultura”, drukując go, chce nas przekonać o podobieństwach pomiędzy Ukrainą 1931-1936 i Polską po 1945 r. („bo i tu i tam komunizm”), to się myli. Ukraiński autor, o ile można odgadnąć z toku jego wywodów, ma raczej monolityczny obraz terroru, różnice miejsca i czasu niepokoją go tylko jako odstępstwa od „normy”. Nic dziwnego, że „Zniewolony umysł”, który wymienia, nie może przylegać ani na „tak” ani na „nie”, jako że inne były nasze kłopoty i rozterki. Kluczem do sytuacji w Polsce była II wojna światowa, nawet jeżeli pominąć wszelką „specyfikę”, która sprawia, że łatwiej porównywać Polskę z Węgrami, Czechosłowacją czy Rumunią niż z Ukrainą. Literatura polska odnotowała bardzo wczesnie przełom czy skurcz protestu równoznaczny z pożegnaniem struktury społecznej i mentalności sprzed 1939 r. Przełom ten zaczyna się już w 1943 r., potem przychodzą straszliwe wypadki 1944 r., potem otwiera się okres obolałości, furii, samo-ironii, przetrąconych kręgosłupów, wyrzutów sumienia. I na tej spustoszonej ziemi pieców krematoryjnych pokonany hitlerizm przedstawia się jako ostatni wyczyn konającego zachodniego Rzymu, a „poganie” z pokorą choć i ze wstrętem gotowi są pokłonić się przed „chrześcijanami”, których błogosławi niezłomne prawo historii. Towarzyszyć temu będzie (ale tylko jako jeden z niezbędnych składników) cenzura i od 1949 r. *rigor mortis* obrzędu. Byłoby jednak niesprawiedliwością zlekceważyć ogrom wewnętrznych doświadczeń jakie stały się udziałem pisarzy i temperaturę zbiorową a także cały splot ambicji i uraz. Zadawniony konflikt pomiędzy lewicą i prawicą transformował się i przybierał kształt opozycji wobec opozycji; ta czekała na bombę atomową i wjazd wodza na białym koniu.

Wypadek Tadeusza Borowskiego, który popełnił samobójstwo w 1951 r., może to zilustrować. Podczas wojny Borowski w jednym górował nad swoimi rówieśnikami, dwudziestolatkami: miał większy zmysł historyczny, bo poprzednio otałał się o zjawiska, których oni, rosnąc w Warszawie, nie znali. Wychowywał się na Ukrainie sowieckiej i przyjechał do Polski jako duży już chłopiec. Dlatego też do anhelliczno-prawcowej ideologii, pospolitej wtedy wśród młodzieży, nic go nie ciągnęło. W 1943 r. znalazł się w Oświęcimiu, potem w Dachau. Wrócił do Polski z Monachium (osobiste pobudki nie są nigdy możliwe do oddzielenia od politycznych), bo anhelliczno-prawcowej emigracji nie cenil. Jeżeli w kilka lat później nawrócił się na stalinizm i zniszczył swój talent, to wcale nie dlatego, że jakiś policjant stał mu nad karkiem. Nawrócenie nastąpiło w Berlinie wschodnim, gdzie Borowski przebywał jako korespondent, pod wpływem jego przyjaciół, pisarzy wschodnio-niemieckich, a przede wszystkim wspomnień z Oświęcimia i Dachau: niemieckich komunistów obierał za sojuszników przeciwko innym Niemcom, oskarżonym przez niego o zamazywanie odpowiedzialności. A kiedy otworzył kurek od gazu to nie dlatego, że gdyby się zbuntował spotkałaby go deportacja czy więzienie, ale dlatego, że *sprzeczności pomiędzy tym co konieczne i tym co dobre nie umiał rozwikłać*: nowy porządek był dla niego koniecznością historyczną a zarazem był beznadziejnie zły.

Nie doceniając „situacji skrajnej”, w jakiej od tak dawna są Ukraińcy, popadlibyśmy w demagogię. Co innego jest jednak podać fakty, a co innego zadowolnić się nimi jako czymś rozgrzeszającym nas z wysiłku odcyfrowania ich przyczyn. Faktem jest, że jeden z omawianych przez Ławrynenkę poetów, Teodozj Osmaczka, publikował oficje w pismach ukraińskich, wydawanych pod hitlerowską okupacją we Lwowie. Decyzje takie, indywidualne czy zbiorowe, miały w sobie zbyt wiele aspektów błędnej politycznej rachuby, żeby dało się orzekać o ich jakości w jednym czy w dwóch zdaniach. W każdym razie to co je poprzedziło musiało być zasadniczo inne niż dzieje np. Borowskiego, inne we wszystkich psychicznych komponentach.

Co wyrasta z innej przeszłości zawsze jest inne. Stosuje się to też do obecnych losów pisarzy w Polsce. Rząd, układając listy proskrypcyjne niewygodnych, którym wolno będzie tylko nędznie wegetować, potrafi zapewne wielu z nich nagiąć. Ale nagiąć do czego? Metafizycznych zasłon już nie ma, tym mocniej nie ma, im gęstsze były poprzednio. I właśnie opozycja wobec prawcowej opinii, która poprzednio popchnęła wielu pisarzy w objęcia stalinizmu, dzisiaj obraca się swoim ostrzem przeciwko zamrożeniu. Stąd wszystkie perypetie lat 1945-1956, kiedy to schemat „ucisk contra naród” byłby za prosty, okazują swoje niespodziewane skutki. Na ogół władza bez doktryny, oparta jedynie na represji, jest słaba, nawet posyłając na śmierć i skazując na więzienie, jak na Węgrzech, dokonuje zmian tylko powierzchownych. Kto trzyma się schematu, wszędzie i zawsze sądząc po zewnętrznych objawach a pomijając treść tj. ruch, musi popaść w abstrakcje i dopasowywać minione wzory do układów niepowtarzalnych. Były kiedyś podstawy do pesymizmu, ponieważ myśl więziła samą siebie, dzisiaj są podstawy tylko do pesymizmu umiarkowanego, ponieważ myśl jest wobec samej siebie wolna i o jej wyższości są w głębi serca przekonani również ci, co walczą przeciwko niej bronią palną czy gospodarczą. Niepostrzeżenie, poprzez cynizm, może ona znów się uwikłać, ale za wcześniej na takie proctwa. Wypada chyba ostrzec przed analogiami.

NA ZARZUT CZWARTY: ŻE JESTEM ZŁYM TŁUMACZEM

„Cztoż wy k'moim briukam przistali!”, jak wykrzyknął w „Przedwiosniu” Żeromskiego rosyjski dorożkarz do polskiej damy. Jeżeli moja recenzja o antologii „Czas niepokoju” pod redakcją Pawła Mayewskiego była drażniąca, wolno odplacić mi się pięknym za nadobne i przeprowadzić rzeczową krytykę moich przekładów z poezji angielskiej i amerykańskiej. Krytyka taka jest zawsze pożyteczna i przyjąłbym ją z należytą uwagą. Nie tak jednak w liście do „Kultury” postępuje Waław Iwaniuk. Zadawałnina się tzw. pchłarskim przyczynkiem i zarzuca mi, ni mniej ni więcej, tylko nie-dosłowność. Ale do dosłowności obowiązany jest jedynie tłumacz przysięgły przy sądzie a i to w pewnej mierze, bo obowiązują go prawa języka na jaki tłumaczy. Sensu zdań wypaczać nie wolno, poza tą jedną regułą poezja współczesna nie jest Pismem Św. i nikt z dobrych tłumaczy tak jej nie traktował. Lojalnie zresztą zawsze podaję, że niektóre wiersze są w ogóle nieprzetłumaczalne. Proszę was, jeżeli macie złość do mnie, weźcie od razu grubszą palkę, ale szpilki są tylko śmieszne i poniżające.

Czesław MIŁOSZ

DOLARY DO POLSKI ZAMIAST PACZEK

Za pośrednictwem szwajcarskiego banku dostarczamy do rąk odbiorcy w każdej miejscowości w Polsce amerykańskie banknoty dolarowe w każdej ilości. Dostawa trwa do 14 dni i jest w pełni gwarantowana. Otrzymywanie i posiadanie dolarów jest obecnie w Polsce najzupełniej dozwolone. Odbiorcy uzyskują oficjalnie około 95 złotych za dolara. Posiadając dolary, krewni Wasi zakupują sobie co zechcą i kiedy zechcą, po cenach o wiele niższych niż te, które musicie płacić wysyłając paczki. W ostatnich 18 miesiącach wysłaliśmy już ponad \$ 2.000.000. — i zadowolenie gwarantujemy.

Wysyłamy do Polski z dostawą do siedmiu dni, najnowsze lekarstwa amerykańskie. — Sprowadzamy do U.S.A. krewnych na pobyt lub z wizytą ze wszystkich części świata.

Katalogi i informacje wysyłamy na żądanie
POLISH AMERICAN AGENCY, INC.
 799 Broadway, New York 3, N.Y.

Listy do Redakcji

Warszawa, dn. 11 marca 1959

Szanowny Panie Redaktorze!

Po lekturze marcowego numeru „Kultury” poczułem kategorię imperatyw, nakazujący mi schwycić za pióro i popolemizować z różnymi napotkanymi tam rzeczami niestrawnymi czy zgola zakalcowatymi.

A więc, po pierwsze, nie rozumiem zgola, o co znów przyczepił się do mnie (inaczej trudno to określić) Witold Gombrowicz. Wydaje się, że ten wybitny skąd inąd pisarz ulega ostatnio wyniszczającym atakom egocentrycznej hysterii. Stan ten uniemożliwia mu, jak się zdaje, rozumienie jakichkolwiek pisanych tekstów poza swoimi. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć jego atak na moją ostatnią notatkę o nim w „Tygodniku Powszechnym”. Sens notatki był dlań pochlebny, zresztą dotyczyła ona zagadnień szerszych — nie w każdym artykule osoba p. Gombrowicza stanowi pępek świata. Chciałem po prostu wykazać, że Francuzi nie są w stanie zrozumieć istoty problematyki polskiej, jako przykład podałem bzdurną notatkę o „Ferdurke” w paryskim „L'Express”. Fakt, że była to notatka od wydawcy, wzmacnia jeszcze moją argumentację: nawet wydawca nie wie, co wydaje, a jeśli wie, to przypuszcza, że czytelnicy nie rozumieją. Pan Gombrowicz również nie rozumiał pochlebnego dlań sensu mojej noty i tak to się sprawdza przysłowie: „Za twoje myto jeszcze cię obito”.

Wobec histerycznej reakcji p. Gombrowicza postanowiłem jednak złożyć na ręce Pana Redaktora pewną obietnicę. Przyrzekam solennie nigdy już w życiu nie pisać nic o książkach i osobie p. Gombrowicza: ani w prasie krajowej, ani w emigracyjnej, ani w ogóle żadnej. Żal mi trochę, bo to ciekawy pisarz, ale pisarz pisarzem, a człowiek człowiekiem. Przypominam słynne powiedzenie Krasieńskiego o poecie, przez którego przepływa strumień piękności, ale który sam pięknnością nie jest. Niech więc spoczywa w spokoju i w swoim własnym, ulubionym sosie.

Następna, inna oczywiście sprawa, to artykuł Wiesława Wahnouta o Stanisławie Rembku. Mam stary i głęboki sentyment do kol. Wahnouta, takiz jednak sentyment mam i do Rembka, więc muszę sprostować szereg nieścisłości i pomyłek, które wkradły się do wymienionego artykułu. A więc: powieść „W polu” bynajmniej nie była debiutem literackim Rembka, ani jego jedyną książką. Debiutował on poczynając od roku 1922 szeregiem drukowanych w „Robotniku” nowel o tematyce historycznej i batalistycznej (powstania, wojna 1920). W roku 1927 drukował w „Robotniku” powieść „Nagan”, która następnie ukazała się w książce. Niedługo potem Rembek jako stypendysta PEN-Clubu wyjeżdża na półroczny pobyt do Algieru. Tak więc „W polu” jest jego drugą książką — wyszła dopiero w roku 1937. Po wojnie spędzonej w Milanówku pod Warszawą wydaje Rembek w roku 1947 powieść okupacyjną „Wyrok na Franciszka Kłosa”, uprzednio

drukowaną w odcinkach tygodnika „Dziś i Jutro”. W roku 1956 wydaje powieść „Ballada o wzdorliwym wisielcu” — osnutą na tematyce powstania 1863 roku. Wreszcie w przygotowaniu ma zbiór esejów historycznych zamieszczanych na przestrzeni lat w „Dziś i Jutro” oraz powieść o Powstaniu Warszawskim.

Przepraszam mocno, Panie Wiesławie, ale prostuję nie z przekory tylko ku pamięci, czyli *pro publico bono*.

Z kolei idzie artykuł p. Wacława Zbyszewskiego „O pisarzach i redaktorach”. Tu już gorzej. Nonszalancja i nierzetelność umysłowa autora wymagałyby sprostowań przy każdym niemal zdaniu. Ograniczam się do paru przykładów.

Jak może domagać się poprawnej polszczyzny człowiek, który popełnia następujące zdanie: „Nie mając pieniędzy, możliwości polskich redaktorów na obczyźnie są niezmiernie małe”. Więc możliwości nie mają pieniędzy? ! Ha, cóż — tym gorzej dla nich.

Co sądzić o publiczności, który daje do zrozumienia, że w Polsce nie buduje się żadnego przemysłu, że to tylko komunistyczna bujda? Przecież pisanie takich rzeczy jest zgola humorystyczne, nie mniej niż cytowany przez p. Zbyszewskiego przykład z biednym Doboszyńskim. Można się nie zgadzać z marksizmem i jego ekonomiką (sam się z nią nader często nie zgadzam), można krytykować kierunek inwestycji, zwłaszcza przed Październikowych, ale nie można pisać ośmieszających bredni. To po prostu żałosne.

Z kolei Pan Zbyszewski potępia w czambuł pisma krajowe, kwalifikując je niemal jako najgorszą prasę kuli ziemskiej. Hm. Nie wiem, czy czytuje on np. „Przekrój”, „Twórczość” lub „Świat”, pisma redagowane pomysłowo i starannie, mające rzeszę odbiorców i wielbicieli również poza granicami Polski? Obawiam się, że nawet o nich nie słyszał, a zadowala się schematyczną, ukutą kiedyś przed laty sztaampą, nie próbując jej wcale zweryfikować. Dalszy to więc przykład nieodpowiedzialności i niechlujstwa.

Mógłbym mnożyć przykłady — ale na razie wystarczy. Dodam jeszcze, że zamieszczone w tymże numerze „Kultury” dwa artykułki o Polskim Słowniku Biograficznym roją się od nieścisłości. Nie będę ich prostował — może zrobi to ktoś bardziej powołany.

W tym samym numerze „Kultury” przeczytałem znakomity artykuł Aleksandra Kawalkowskiego o Francji de Gaulle'a. Przeczytałem i smutno się zamysliłem. Dlaczego Polak, pisząc o obcym kraju, poczuwa się do obowiązku rzetelnej znajomości tematu, a dlaczego o swoim kraju można bez żenady napisać każdą, zmyśloną na poczekaniu bajkę i brednię? Że trudniej dostać materiały? Przecież to właśnie powinno pobudzić ambicję sumiennego i odpowiedzialnego publicysty, za jakiego pragnie uchodzić p. Zbyszewski.

Tyle jest zrządzenia na niedzielę dzisiejszą.

Stefan KISIELEWSKI .

London, marzec 1959

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdyby nie to że „Kultura” dociera do kraju i poważnie przyczynia się tam do kształtowania poglądów na emigrację, można by przejść do porządku nad wywodami p. W.A. Zbyszewskiego o pisarzach i redaktorach. Czytelnik emigracyjny na pewno potrafi ocenić jak bardzo niesłuszne i krzyw-

zące są zarzuty p. Zbyszewskiego przeciw redaktorom emigracyjnych czasopism literackich. Ale niedobrze byłoby aby przypadkowo czytelnik w kraju, który nie był w stanie czytać „Kultury” czy „Wiadomości” regularnie na przestrzeni lat i stwierdzić, że nie ustępują one, a może nawet przewyższają analogiczne pisma wielkich i bogatych krajów Zachodu, uwierzył w poszczególne tezy tego artykułu.

Przynajmniej kilka fragmentów wymaga kategorycznego zaprzeczenia.

Przede wszystkim groteskowe jest twierdzenie, że redaktorzy emigracyjni „są despotami, cenzorami”, którzy pilnują „linii” w gruncie rzeczy „w sposób analogiczny do metod stosowanych przez biura prasowe rządu czy partii w Warszawie, może tylko z większym przekonaniem”. Teza zresztą nie nowa u p. Zbyszewskiego; przed paru miesiącami nie wahał się napisać, że nikt z pisarzy na emigracji nie marzy o takiej swobodzie pisarskiej z jakiej korzysta w Polsce Mackiewicz. Wszystko to opiera się bodaj na fakcie, że dr Grydzewski odmówił wydrukowania jakiegoś artykułu czy listu p. Zbyszewskiego. Nie wiem jakie miał po temu powody, być może niesłuszne, ale wiem, że żadnej „linii” w jego piśmie nie ma, że udziela miejsca zwolennikom najbardziej sprzecznych tez. Tak np. drukuje artykuły p. Pragiera czy p. Zbyszewskiego potępiające w czambuł ruchy wolnościowe w Afryce i w Azji i swój liberalizm doprowadza tak daleko by pozwolić p. Zbyszewskiemu nazywać powstańców algierskich „bandytami”, a jednocześnie drukuje artykuły moje krytykujące ostro tych Polaków, którzy sami walcząc o niepodległość, odmawiają prawa do niej innym narodom i z każdego, który na tle problemu kolonializmu nie popiera mocarstw zachodnich, robią agenta bolszewickiego. Czytając stale „Kulturę”, też nie mogę dopatrzeć się w niej braku swobody wypowiedzenia oamiennych poglądów.

Z podobną fantazją powraca wciąż p. Zbyszewski do tezy, że pisarze emigracyjni umierają z głodu. Oczywiście faktem jest, że pisarom w świecie wolnym nie tylko emigrantom, trudno jest na ogół żyć tylko z książek (o ile nie są filmowane) a tym bardziej z pisania do czasopism literackich. Muszą sobie dawać radę w inny sposób i na ogół dają sobie radę. Jeśli komuniści powiedzą „inteligencji i ludziom pióra w Polsce: Widzicie jaki los, jaka nędza są udz aleń waszych kolegów na Zachodzie? Chcecie uniknąć śmierci głodowej? No to do nogi, i ani mru-mru!”, jak to w ich imieniu czyni p. Zbyszewski, to skłamią. Nawet oni jednak kłamią przeważnie w sposób zręczniejszy i takich argumentów nie używają.

Byłoby też niedobrze gdyby ktoś w kraju uwierzył w „ZASZCZUCIE Stanisława Mackiewicza na emigracji”. Zaszczucie tak straszne, że aż wielkimi literami wydrukowane. Gdzie, kiedy, jak? Mackiewicz w osobliwym plebiscycie „Wiadomości” proklamowany został „naulubięszym pisarzem emigracji”. Jeżeli kiedyś dr Grydzewski stosował w „Wiadomościach” cenzurę, którą mu zarzuca p. Zbyszewski, to właśnie w stosunku do krytyk pod adresem też głoszonych przez Mackiewicza. Rzeczywiście osobiwe „zaszczucie”!

Rzekomemu prześladowaniu Mackiewicza na emigracji przeciwstawia W.A.Z. jego karierę i honoraria krajowe, z czego wyciąga wniosek, że władcy komunistyczni świetnie się orientują „w HIFERACHII talentów”. Czy naprawdę sądzi że komuniści za to płacą Mackiewiczowi, że ma talent? Chyba nie jest taki naiwny!

Komuniści płacą Mackiewiczowi bo robi dla nich brudną robotę, której nikt inny zrobić nie może. Bo gdy Mackiewicz przedstawia np. Wielką Brytanię jako wroga Polski i winowajcę wszystkich naszych nieszczęść, gdy szerzy nienawiść do Zachodu, to ma to zupełnie inny wydźwięk niż jeśli to czynił jakiś komunistyczny skryba. Bo Mackiewicz nie jest komunistą, bo był na emigracji, a nawet był emigracyjnym „premierem”. Trudno

zas oczekiwać by w Kraju wiedziano w jakich to okolicznościach p. Zaleski, opuszczony przez wszystkich, tym „premierem” go mianował.

Może największą usługą, jaką Mackiewicz oddaje władcom komunistycznym, to systematyczne szerzenie wśród czytelników kompleksu niższości. Tłumaczy ciągle jak głupi byli różni polscy mężowie stanu, jak się dawali ustawicznie nabijać w butelkę Anglikom, jak łatwo zawsze Polaków oszukać itd. Wyszydając i przedwojennych i wojennych polityków polskich, wychwala jednocześnie Mackiewicz pod niebiosa Rapackiego. Czytelnik jego ma wierzyć, że dopiero narzucony przez Sowietów reżym dba o polską rację stanu. Za to warto zapłacić wysokie honorarium!

P. Zbyszewskiego nie rążą być może tezy Mackiewicza, bo niektóre z nich podziela. Pisze np. w swym artykule: „Nasz nieszczęsny kraj nie miał dobrych oficerów, nie miał wybitnych polityków, nie miał mężów stanu, nie miał dyplomatów, nie miał administratorów, nie miał finansistów, nie miał przedsiębiorców, nie miał nic i nikogo”. Po prostu: nic i nikogo — z wyjątkiem oczywiście Mackiewicza. Nie trzeba chyba wykazywać absurdalności tego twierdzenia; gdyby je przyjąć to musielibyśmy dojść do wniosku, że nadajemy się tylko na kolonię — zapewne kolonię wymarzoną przez p. Zbyszewskiego państwa francusko-niemieckiego.

Zbyszewski pokazał emigrację, a zwłaszcza pisarzy i redaktorów emigracyjnych w jakimś krzywym zwierciadle, dał fantastyczną, cudaczną karykaturę. Chyba jednak sam fakt, że redaktor „Kultury” mu to wszystko wydrukował wystarczy, aby zaprzeczyć jego tezie o despotycznych cenzorach redagujących pisma emigracyjne!

Łączę wyrazy poważania

Aleksander BREGMAN

Cupar-Fife, 1959 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Serdecznie dziękuję za umieszczenie w Jego poczytnej „Kulturze” mojego listu z dnia 2.10.1958 r.

W odpowiedzi na ten list pp. Czaykowski i Sulik, dziękując mi za naświetlenie sprawy Domu Inwalidów w Edynburgu (Kultura Nr. 12/134 str. 154), nadal starają się przekonać czytelnika, że ich pierwszy reportaż oparty na przypuszczeniach jest słuszny, a zwłaszcza co do konkurencji z Domem SPK i „posmaku” politycznego naszego Domu.

W liście moim częściowo wyjaśniłem powód kupna Domu Inwalidów i obecnie pragnę dodać, że głównymi przyczynami kupna domu były:

a) ulokowanie w nieruchomości społecznych pieniędzy, przeznaczonych wyłącznie na ten cel.

b) posiadanie własnego „kąta” dla inwalidów i ich pracy (poprzednio, za mały pokój w Domu SPK, płaciliśmy £ 48 rocznie).

c) znalezienie stałego źródła dochodu na pomoc dla tych najbardziej pokrzywdzonych b. żołnierzy, dziś w wielu wypadkach pozostających bez środków do życia.

Jeżeli mimo tych wyjaśnień autorzy reportażu uważają, że Dom nasz stał się konkurencją Domu SPK, to życie dowiodło, że każda uczciwa rywalizacja czy konkurencja w większości wypadków przynosi korzystne rezultaty i prawdopodobnie również i w tym wypadku, przyczyni się do ożywienia (widać już tego rezultat) zamierającego w ubiegłym roku życia polskiego, o czym wspominał w swoim sprawozdaniu p. St. Maj, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Rady Stowarzyszeń Polskich w Edynburgu.

Argument autorów listu „że przeniesienie się do Domu Inwalidów z chwilą jego otwarcia, niektórych organizacji uznających zwierzchność „Zamku” SŁUSZNIE CZY NIE SŁUSZNIE, nadać musiałoby naszemu domowi posmaku politycznego”, również nie przemawia do przekonania, albowiem na ponad tysiąc Polaków w Edynburgu i 23 organizacji społeczno-zawodowych, tylko jedna organizacja przeniosła się z Domu SPK do naszego domu a to: *Związek Ziemi Wschodnich*.

Znalazły pomieszczenie w naszym domu także Rada Stowarzyszeń Polskich i Towarzystwo Szkocko-Polskie, lecz organizacje te, odbywały swoje zebrania w lokalach prywatnych od paru lat.

Pytam się, czy ten stosunek może nadać naszemu domowi posmaku politycznego? Wyczuwa się pewną intencję mówienia nam *zmyślonych rzeczy*, do których się nie poczuwamy, a tym samym obniżenia wysiłków ludzi dobrej woli, pragnących przyjść z pomocą inwalidom w oddaniu im własnego domu.

W liście moim nie twierdziłem, że Kierownik Domu był osobą niekompetentną do udzielenia informacji, lecz zaznaczyłem, iż „żałuję że autorzy reportażu nie nawiązali kontaktu z bardziej kompetentną osobą, odnośnie spraw inwalidzkich”. Moje określenie „z bardziej kompetentną osobą” to samo za siebie mówi, że Kierownik Domu był *kompetentnym*, lecz z uwagi na jego krótki okres pracy, nie mógł on dać właściwego obrazu odnośnie domu i spraw inwalidzkich.

Autorzy listu nie dali mi odpowiedzi na czym polegała ich ocena, że dom nasz został urządzony „w *wulgarnym stylu*”, natomiast żądają ode mnie *jasno widzą* w ocenie, czy „otwarcie Domu Inwalidów przyczyniło się do wzbogacenia polskiego życia w Edynburgu i czy na dłuższą metę rywalizacja paru Domów wyjdzie im na dobre!

Zapewniam autorów reportażu, że czynimy wszystko co jest w naszej (inwalidzkiej) mocy aby oba Domy przyczyniły się do używania polskiej pracy społeczno-charytatywnej. Roczne istnienie dwóch społecznych domów dało pozytywne rezultaty, co stwierdza wielu doświadczonych społeczników, lecz co przyniesie przyszłość trudno przewidzieć.

A. BIESZCZAD

Prezes Koła Terenowego Związku Inwalidów Woj. PSZ w Edynburgu

Commencing the publication of quarterly digests of KULTURA in English, we feel that we owe it to our readers to explain our reasons for doing so. Were KULTURA a purely emigree magazine then even the fact that it sells in 58 countries of the world, would not justify the publication of multilingual digests. Emigree affairs are of little interest to anybody outside the emigrees themselves. But KULTURA is not only an emigree publication — it is also a Polish monthly published abroad.

At the XII Plenum of the Central Committee of Polish United Workers Party (KC PZPR) which took place in October last year, prof. Adam Schaff, eminent Polish marxist, delivered a speech directed against revisionist trends in Poland.

Main attacks and accusations of prof. Schaff's speech were aimed at KULTURA. Plenum of the Central Committee listened to his polemics with articles published in our magazine, and prof. Schaff took it for granted that his audience was well acquainted with those articles as well as with names of their authors.

There would be no exaggeration in saying, that many discussions, polemics and decisive actions of Polish regime, connected with its anti-revisionist policy, cannot be fully understood without the knowledge of political publications which appeared in KULTURA. The article on „Polish Djilases” has been answered and attacked, on definite instructions issued by regime authorities, by chief editors of all communist papers in Poland. To understand their meaning — in some cases very illuminating indeed — it is necessary to know what was the subject of their attacks, in other words, what was KULTURA's article about.

KULTURA's influence on young people and on Polish intelligentsia has been repeatedly noticed and pointed out by Warsaw correspondents of western papers, particularly „Le Monde”, „The Manchester Guardian” and „The New York Times”.

In spite of communist authorities doing their utmost to prevent it, KULTURA penetrates into Poland and is a part of the struggle towards democratization of Poland's structure and towards the enlargement of personal freedom. Since the liquidation of „post-October” publications („Po Prostu”, „Europa” and others) the burden of this struggle rests almost entirely on our magazine.

KULTURA also publishes articles, essays and literary works of writers living in Poland, whose work has been refused publication by political censorship. In the „Library of KULTURA” series we have published „Cemetaries” by Marek Hlasko, and the widely discussed book by Czeslaw Milosz — „The Captive Mind”. Commentaries, facts and news — some of them unique in their kind, appear regularly in KULTURA. The correspondence of Obserwator is an excellent example of this feature.

We feel confident that the Digest of KULTURA will prove interesting and valuable for those English readers who seriously study the evolution of political and social situation in Eastern Europe.

And now — let us tell our readers something about ourselves. KULTURA, although in close friendship and collaboration with many Western cultural institutions — is politically and financially independent. Our first monthly issue was published in 1947 in Rome. The same year we had moved to Maisons Laffitte near Paris. We have subscribers in almost every part of the world and it is subscription money that gives our magazine its independence from any public or political institutions. The close contact with our reading public is best illustrated by an example from our own history. In 1954 we had suddenly to vacate our rented premises. We published an appeal to our readers stating plainly the difficulties of our position. Our readers reacted immediately. Like good friends in time of need they helped us by collecting enough money to buy a house in Maisons Laffitte. Donations poured in from all countries of the world and even from sailors of Polish regime ships visiting foreign ports.

Our housing problem concerned mainly our editorial library, unique perhaps in the world, for we have in our possession all the Polish publications which have appeared abroad since 1939 and in Poland since 1945. Many of those books and periodicals, recording difficult moments of Polish history, and unobtainable any longer even in the biggest reference libraries of Warsaw and Cracow. Multilingual Western literature is also extensively represented in our library, which at the present moment numbers just over 16.000 volumes and is being added to continuously. Apart from the book library, we have a reference library with complete sets of daily and weekly papers published in Polish, Ukrainian, Lithuanian, Czechoslovakian, Roumanian and all western languages.

It is difficult to say how it was possible for us to develop from a small editorial office into a publishing house. We do not know ourselves how we managed, but manage we did, and to-day the „Library of KULTURA” has a list of over 40 titles published during the past few years. The need for publishers who would accept a book refused in Poland has been long felt. There are so many excellent manuscripts which would never pass political censorship, whether for reasons of their unorthodox ideology or because the names of the authors are on the communist „black list”. The same applies to translations from foreign languages. Political censorship makes it practically impossible to publish a translation other than a novel or other form of fiction. Philosophy, modern economical theories, all the wealth of contemporary thought cannot be published in Poland and that is where KULTURA and „Library of KULTURA” books step in.

That necessity for filling cultural gaps governs our publishing policy and it explains why our catalogue lists such widely different positions as Orwell's „1984”, „Selected Writings” of Simone Weil, James Burnham's „Managerial Revolution”, „New Class” by Milovan Djilas, „Power and Glory” by Graham Greene, „Politics and Reality” by Jeanne Hersch, „The Rebel” by Camus and others.

Our 1959 list features the publication of the first complete and up to date „History of Poland” by Pawel Zaremba, „Dr. Zhivago”, Pasternak's masterpiece translated from Russian by Pawel Hostowiec and a new series under collective title of „Documents”. In this series we propose to publish factual materials on questions and problems actually vital for Poland, or generally discussed in world's politics. The first volume of „Documents”, already

published, deals with the „Program of the Communist League of Yugoslavia” and contains the verbal translation of the Program and a selection of polemics and commentaries on the subject published in the Soviet press. The second volume, to be published shortly, will be devoted to the problem of „Mass Culture” now under discussion in the United States, (edited and translated by Czeslaw Milosz). Further volumes planned so far will bring an anthology of anti-stalinist writings by well know western marxists and a Polish anthology of the period 1955-57.

What is KULTURA politically? We shall try to give an answer to that question in our quarterly digests.

KULTURA No. 11/133, November 1958.

The opening article in this issue is an essay by J. Mieroszewski „Dialogue on Tigers and Deer”. Here are some fragments of this essay quoted in a slightly condensed form:

Theory of historical determinism, irrespective of whether it is true or false — works always in the interests of big powers. If the order of things is determined in such a way, that tigers will devour deer — it is not surprising that every tiger would give it's enthusiastic support to the determined regularity of this procedure. If however, deer act as apostles of that determinism — it is, to say the least, very strange indeed.

Political aspect of the problem in question is of capital consequence. Imre Nagy was a communist, like Khrushchev, and like Khrushchev he believed in regularity of historical process. But the difference between those two marxists consisted in the fact, that problems of social development in Hungary were decided not by Imre Nagy but exclusively and solely by Khrushchev. Because all determinism is decreed always by tigers — never by deer.

Every nation has a right to its own history and therefore to life in its own individual rythm of progress. Even in a much more democratic Poland people will not feel really free as long, as it is somebody else who directs their own historical development. A dentist has not much to do with agriculture, but even a dentist would not consider himself a free man if problems of agriculture in his country depended on directives and pressure exercised by a foreign power.

It is high time for us to realise that communism with its authoritative center in Moscow is a blue print of a world governed by big powers. Should communism ever win — Russia would not gladly share her power with anybody. Let us imagine a typical capitalist country of 30 years ago. Who were the people that preached socialism, democracy and freedom? Those were the battle-cries of the poor and the exploited. Let us now lift this picture a step higher: there are nations poor, proletarian and exploited and others rich, powerful and imperialistic. Poles belong to the proletariat of the world's family of nations. They are poor and exploited — but what happened to the proletarian ideology? That ideology which belonged to the exploited was taken over by the second biggest imperialistic power of the world and it was turned against us. Soviet communism is nothing but socialism taken away from the proletariat by the imperialists.

The revision of marxism undertaken in Poland after October 1956 had to fail, because real, honest socialism was needed only by us — the oppressed — whereas the oppressors and imperialists could do very well without it. Soviet armoured cars put Hungary back into the orbit of „regular” social development. I have no doubt that in the event of October winning its purpose in Poland — the Soviet army would have been there to help us regain the proper historical course.

For some people the words: humanism, democracy, honest socialism — mean heresy and dangerous western miasms, for others — just words to use in learned articles for anti-communist periodical, but for us Eastern Europeans they very simply mean life. We must fight for humane values, for humane socialism and international order. We have to go on fighting and we cannot afford to lose this battle, for this is all and no more — that is left to us.

Class Structure and its interpretation is a title of a book by S. Ossowski, reviewed by Zbigniew Jordan. Jordan considers Ossowski's work to be a major achievement of Polish sociology and social philosophy. He thinks that if it could be translated into one of western European languages it would prove to be one of the most important publications of this kind, and would add considerably to world's literature on this subject.

Jordan also notes that when Polish sociology was again represented at the International Congress in Amsterdam in 1956, its return was welcomed with much interest amongst the international circles. Effective results however, both in quantity and quality of work were rather disappointing. As far as publications are concerned Poland is represented in the international world of social science exclusively by people living and working in the western countries. Names like Andrzejewski, Gross, Grygier, Hertz, Zubrzycki, Zweig and Znaniecki are well know, To that list should be added two names of ethnologists. S. Stefaniszyn and J. Slaski, whose studies on the tribes of Northern Rhodesia were published in „Ethnographic Survey of Africa”.

Pius XII

In an editorial trying to review the activity of late Pope Pius XII we read as follows: „After the II world war Pius XII introduced several important changes in the Vatican. His decision to allow a non-Italian majority in the Cardinals Assembly changed a hundreds year old tradition. He also tried to give Vatican a more international character and was the first pope to make use of such modern technical facilities as radio, television and mass-propaganda.

Since his grave illness in 1954, Pius XII seemed to lose his ability for clear and purposeful leadership in the affairs of church politics. That decline of strength and creative thought was most noticeable in his attitude toward social problems in general, and in the matter of atomic aggression. His policy towards countries behind the iron curtain was inconsistent and in some cases rather unfortunate. Pius XII tried to find a *modus vivendi* with the communist world when the chances of it were practically nonexistent. After Stalin's death however, when possibilities in that direction became much more realistic, he seemed to lose interest and treat the question of

the „behind the iron curtain” countries with indifference almost as if those were problems of small importance secondary even to any Italian electionary considerations”.

„Realism and Collaboration”

„Londoner” (pseudonym of KULTURA’s London correspondent) replies to an article by Powislak which appeared in a students magazine „Merkuriusz” in London. (Powislak lives in Poland and has sent his article from Warsaw). Here are some fragments of this polemic:

„Difference between ourselves and Mr. Powislak is very simple. We believe that it is wrong to give passive acceptance to a political structure imposed against the will of majority of Poles, even if under the circumstances there was no possibility of an alternative solution.

Powislak shares his credo with all capitulants. He believes that right and morally justified is only that, which is actually possible, and only what lies within actual possibilities merits the label of realistic solution. If all Poles were of this opinion — hope for a more democratic Poland might as well be abandoned, because the first condition which would have to be considered would be whether or not the majority of Poles stand for democracy.

The majority of people in Poland do not accept communism as such, but it accepts political reasons which make abolition of the communist system impossible and impracticable at the present moment. And there is a vast difference between these two attitudes.

The collaborationists believe, that it is enough to prove that the policy of independence is at the actual moment unrealistic — to give their attitude a full moral and political justification.

We have never been guilty of basing our „independence” policy for Poland on hopes for atomic war. By independence — we have never meant return to pre-1939 forms of political and social structure of our country. We realise that in our times of great super-national organisations all small and medium countries will never be fully sovereign again. Under these circumstances independence must be a question of degree.

In a large number of articles which have appeared in KULTURA we tried to prove that it is possible to have socialism and democracy. Democratic socialism of Polish origin and of Polish brand would help to retain and strengthen those reforms which the majority of Poles considers valuable and advantageous. In spite of the fact that Polish emigres belong to many various political groups — it is safe to say that 98% of them are true believers in democracy. That is a high percentage, higher than we have ever had. What made those people change over and join the forces of democracy? Certainly not propaganda, but facts. Facts seen and accepted in the western way of life”.

Poles in Scotland

There are about 150.000 Poles living in great Britain. KULTURA has commissioned two young men, brought up, educated and working in this country to write a book which would illustrate the life of Polish people

in different walks of British life. Reports of B. Czaykowski and B. Sulik are serialized in KULTURA before publication in a book form. Below are some fragments from a chapter on Poles in Scotland.

„You go, I go, bus go, Glasgow” — that was the ungrammatically simplified method of dating Scottish girls 20 years ago, before our soldiers learned English.

It can be accepted as a rule that Polish national groups adopt the way of life of communities that surround them. It is a well known sociological truth and seems to work everywhere, with the exception of large Polish groups forming something of a ghetto within British community. Polish community in Glasgow, 800 or more strong, is one of the most interesting „little jungles” we have met.

As a group Glasgow Poles are energetic, confident and successful. Majority of them earn good wages in the municipal transport or in the dry docks, where the work is hard but money good. A relatively small percentage live by unskilled labour or work in factories, although we have met one social worker, a family man, earning only a little over £ 6 a week.

What did strike us as characteristic for Glasgow Poles was the large number of people who have their own businesses. Working on their own, owning their business seems to be a very popular idea and worth working hard and saving for. There are about five Polish watchmakers, several grocers, 3 delicatessen shops, one coffee house, ten or more leather goods shops and over 40 Polish laundries. This — according to local gossip gives the Poles a monopoly on washing Glasgow linens, coloureds and woollies — in the same way as monopoly of feeding Glasgow public belongs to the Italians. „Laundrette” owners state proudly that thanks to them Glasgow women live longer. One of them boasted to us about a customer, who going through her beautifully washed and ironed linen exclaimed: „Mister, you should get a medal from the Queen”.

Laundrette owners make £20 and more weekly. There is also in Glasgow a Polish company of dealers in washing machines, and a laundrette shopfitters business.

Jews in their new homeland

F. Torunczyk and Philip Ben report from Israel on the sad problem of Jewish emigres from eastern Europe.

„50 thousand Jews from Poland who arrived in Israel during the past two years are being called „Alijat Gomulka” (Alija in hebrew means emigration to Israel). This name, as is often the case, is far from accurate. The decision allowing for Jewish emigration to Israel was reached in Warsaw several months before October 1956, and it was not Gomulka (then in prison) but his opponents, people from the Natolin wing who were responsible for its realisation. Their motives were purely political and anti-Jewish rather than otherwise. Permission for Jews to leave communist Poland and emigrate to Israel was given at the time when communist party popularity and prestige were falling, and a dismissal of many Jews from party and administration executive positions seemed indicated, both as a popular gesture and as a way of finding a scapegoat for public dissatisfaction.

That decision was responsible for „emigration fever” amongst the Jews in Poland. During the memorable months following October this feeling formed one of the characteristic elements of the situation. In the atmosphere of sudden „almost freedom”, of loud criticism which reigned in Poland after the XX-th Congress of Soviet Communist Party, antisemitism reared its ugly head.

The stalinist period was remembered for the large number of Jewish high ranking officials in the communist party, industry and the dreaded security force (Bezpieka). Names of Minc, Berman, Romkowski and Rozanski were used to justify the old formula that „it is all the Jews' fault”. People from the Natolin wing, briefed by Moscow tried to save their faces and their power by riding on this wave of popular feeling.

Although October meant defeat for Natolin and victory of liberal trends over stalinism — it did nothing to mitigate antisemitic feelings. On the contrary. Comparative freedom allowed for vindictive persecution of „stalinists” in all walks of life, and very often the word „Stalinist” was used as synonym for „Jew”, whether the person concerned was guilty of stalinist sympathies or not. This unpleasant atmosphere helped to create the mass emigration of Jews from Poland.

Majority of the new Israeli immigrants belong to the 40-50 age group. They are very difficult to employ as most firms and institutions hesitate to employ men so near retirement age. People who were never idle before, find suddenly that they are too old to work. That is a most depressing fact that faced them in Israel. Those who found employment had to content themselves with jobs much beneath their qualifications.

Socially de-classed and worried, those people differ vastly from any previous Israeli immigrants who were mostly young people, ready to work hard and accept the rough with the smooth in their eagerness for the new life”.

Letters to the Editor

Amongst letters to the Editor we find an interesting and characteristic expression of views received from Stefan Kisielewski, Member of Polish Parliament (Sejm) in Warsaw and co-editor of catholic „Tygodnik Powszechny”.

Kisielewski's letter is a polemic with some articles which appeared in KULTURA.

„The main reason for the evolution of my views was the observation of shortsighted, narrow and particularly egoistical policy of the West. It is my firm belief that the western post-war policy did far more to convince us of the necessity for alliance with Russia than a hundred years of communist propaganda could have done to bring it about.

History proves that rational political alliances are not so much a result of sympathies or antipathies, or otherwise a matter of taste, but are brought about as a direct consequence of geopolitical, economical, strategic and other elements, whose particular arrangement allows for no other solution.

Alliance with Russia and the whole block of poor and economically underdeveloped countries is for us, at the present moment, the only solution

which guarantees survival. Warsaw uprising taught me that wisdom. The necessity of watching how a comparatively small German force turned Warsaw into a heap of smoking rubble and murdered thousands of our young people with complete impunity, while the rest of the world looked on absentmindedly — that experience was most instructive. It taught me the lesson which says that never again should Poland face a war alone, without strong political and military allies. As for allies — they are not always what we imagine and hope them to be, but what History and its companions — Geography, Economy and Politics will dish out to us, small nations, the last to be pampered or even considered”.

KULTURA No, 12/134, December 1958

Nobel Prize — Commentary

„Dr. Zhivago” translated from Russian by Pawel Hostowicz will be published in the „Library of KULTURA” in July 1959. Czesław Miłosz in his long essay on Boris Pasternak analyses that extraordinary literary event. Here, we quote the interesting prologue to his analysis:

„In Russia, as elsewhere, there were two types of culture: the elitary, for use of the select upper classes and elemental for uneducated masses. Here we come to a dangerous ground for generalisations and as it is impossible to say in a few sentences what would take volumes to analyse — let us just ask some questions: Russian intellectual elite — was it not less proud than elsewhere, more repentant, more troubled by the sense of guilt and therefore more likely to yield to the mass elements? And was it not to that yielding submissiveness, that willingness to merge (which in itself held already the seed of selfdestruction) — that Russian literature was indebted for its greatest achievements? And then, has not the complete, physical liquidation of the elite after revolution, changed Russia into a continent of swarming plebeian masses, somewhat similar to America at the time of industrialisation?

Has not the application of technics to culture (although adopted with different objects in view in America and in Russia) produced the same result in exploitation of the common and the average? Dwight Macdonald says on the subject of mass-culture that it is new, in as much as, it is not the work of artists, but a commodity mass-produced for the market by technicians employed and paid by the ruling classes. Its object could be profit-making and only subtly political as in America or wholly political and pedagogical as in Russia.

Let us imagine for a moment that Hollywood has a political omnipotence and it tries to mould literature to its own pattern. It could not have, say, a tailor represented as a bad character in a film, because the union of tailors would raise the roof. One tailor who is a rotter equals — in the language of mass-culture — all tailors. One tailor-blackguard exemplifies all and covers the whole trade with dishonour.

Hollywood brought up on mass culture would treat „wild” authors (and by that I mean artists, as opposed to technicians) in exactly the same way as Russian authorities treated „Dr. Zhivago”. The failure of one

leader of the civil war equals the failure of all revolutionaries. One Zhivago — melancholic represents 200 millions melancholics.

And it is not Pasternak's anti-communist tendencies that matter in this conflict. This is a hunt where beaters stalk and chase a man who dared to violate the rules of mass-produced culture of cheap trash, a writer who turned his back on slogans of the day, and picked up the pen of Dostojewski”.

Pax

What is Pax — the stronghold of stalinist „catholics” in Poland? J. Mieroszewski tries to answer this question in the light of „secret instructions” issued by Pax and smuggled from Poland.

„Pax is one of the biggest and best organised industrial and commercial concerns of eastern Europe. Its internal political and social organisation makes it a unique body in the so-called „camp of socialist countries”. The program and ideology of Pax have no precedent in any European political movements or in the history of Polish political and social doctrines.

Pax ideologists are in fact double-revisionists. They aim at the revision of Polish communism as well, as the revision of traditional catholic standards. What is so amazing about it, is the fact, that although Vatican has condemned Polish catholic revisionist movement, represented by Pax — Kremlin has not said anything about their communist revisionary tendencies.

Another characteristic point is, that Pax is the only organisation which, whilst it recognises the leadership of the communist party, makes it its political aim to change the party's ideological tactics. And this is an important point in which Pax differs from other concessioned groups such as the United Peasant Party, or the Democratic Party.

The basic assumption of Pax ideology is as simple as it is absurd. They try to make communism palatable for catholics, and the catholic doctrine palatable for communists. What they aim to achieve would be a „catholic communism” torn away from Rome, but closely affiliated with Moscow. In the secret Pax documents there is the following statement: „Unbiased knowledge of social and political reality makes it imperative to recognize both theoretically and practically the influence of socialist forces of non-materialistic outlook, on the life in our country. With the needs of socialism-building masses in view, Pax will strive to achieve a position of lawful ally of the Polish Communist Party, will accept and fulfill all duties resulting from that position and take advantage of all the privileges which this position entails”.

People from Pax do not want liberalization. They are far from any idea of evolution towards democratic socialism, they accept the „dictatorship of proletariat” and all its consequences. All they want, is a change of tactics which would enable them to engage the catholic masses in the process of communising Poland.

Pax does not try to reform the international communist doctrine. On the contrary, it represents the most conservative point of view in this matter. They are firmly against any form of liberalization, because every step towards democracy would weaken their position as allies and partners of the

communist party. Under the conditions of true democracy — Pax as a problem would cease to exist.

All Pax demands of the communist party is to be accepted as its ally and partner. Should the party agree to Mr. Piasecki's wishes — Polish model of communism would develop one more anomalous characteristic but in the communist world nothing would change. Communism would remain anti-religious and materialistic. Mr. Piasecki however, would gain a tactical point to prove that it is possible in Poland to be a communist and a catholic at the same time. The communists must have realized that they cannot break catholicism, but they can try to divide it into fighting groups if they employ catholics themselves to do it. Pax — the force of diversion within Polish catholics obviously has Moscow's blessing to help it in its activities.

Gomulka's Mistakes

„Political Diary” by Obserwator brings an interesting evaluation of political mistakes made by Gomulka in the course of his career.

Gomulka lost his popularity entirely through fault of his own and against the best interests of Polish socialism which he so gallantly represents. His major mistakes could be classified as follows: a) the suppression of the liberal wing of progressive intelligentsia, b) practical liquidation of Workers Councils, c) resignation from self-dependence on the international forum.

All these mistakes were made quite unnecessarily at the time when Poland was out of danger of Soviet intervention, nor was there any likelihood of restoration of internal party reactionary forces. On the contrary — if Gomulka had not endangered his own popularity, gained during the first months following October 1956, — he would have nothing to fear either from Natolin or from Poland's neighbours.

Dogmatism is the greatest fault in a statesman. Although his empiric brain distinguishes Gomulka from the ranks of old party members, it is not strong enough to let him break the chains of 19-th century dogma. His fear of revisionism does not mean that he is apprehensive of the dangerous repercussions that any daring thought could have on Polish-Soviet relations. He is really and truly afraid of all revisionists, of people who put the tape measure of rational thinking to all ideological and practical party activities. His attitude to the young men of „Po Prostu” was highly emotional and it reminded us very much of the attitude of the village vicar towards atheists, heretics and all who endanger the holy catholic church. Such people just cannot be forgiven — even if they should be right.

Polish-Russian Alliance

In his letter to the Editor, the former Polish Ambassador in Ankara, Mr. Michal Sokolnicki answers the letter of Mr. Stefan Kisielewski which appeared in the last issue of KULTURA. Here is an extract from the most important part of Amb. Sokolnicki's letter:

„If Poland was in a position to choose an ally to-day, it would with calm and calculation which should accompany such choice consider all pro's and contra's of an alliance with the Soviet Union. But Poland is not free, and therefore not in a position to choose.

The alliances are formed between those equally free in their choice of partners. An alliance was negotiated and concluded between Poland and France in 1921, and then again between Poland and Great Britain in 1939. Nobody forced us to negotiate them, nobody occupied our territory and imposed on us our government or dictated our internal or foreign policy. The situation of Poland defeated and occupied in years 1939-41 and 1944-45 was totally different. The structure and organization of the Polish State as well as its policy were decreed and directed from Moscow. Even the government was nominated in Moscow. Foreign relations were and still are shaped by Kremlin, the Polish October of 1956 changed nothing of this basic problem. The present Polish government is dependent on Russia in exactly the same way as it was ten years ago”.

KULTURA Nr. 1/135-2/136, January 1959

Eye for Eye

Maria Czapska comments on the case of Erich Koch, the Nazi Gauleiter who was tried for war crimes in Warsaw:

„For a Christian, every suffering, even the suffering of a worst criminal — has something of the agony of the Cross. Sun shines on the good and bad alike, Grief comes to saints as well as rogues, but a tortured human being deserves not only pity but also commands-respect.

Sight of the tortured and humiliated Gauleiter did not seem to bother anybody in Warsaw.

Is there no moral resistance against that kind of treatment of the man in the dock in Poland? Don't people object to false evidence, forced and unsigned statements and regression to physical torture even if the man on trial is Erich Koch? What do the lawyers think of the court procedure? Have Polish people forgotten the rights of man, and the fact that men have given their lives for those rights?

Too many laws — moral, civil, criminal and all others have been broken in the past years in such a general way, with not only complete impunity, but with a sense of heroism, of social and national duty well fulfilled. People have seen too much violence, too much outrageous disregard for human conscience and for human life. Anti-human deeds were their daily bread too often and for too long... What is the crime and what the punishment. What is revenge and what defence? Where lies merit and where fault? How many minds dwell on these thoughts to-day?

Claim for a lawful treatment of Koch — means a defense of a scoundrel for whom a hundred deaths would not be enough”.

Economic Future of Asia

Stanislaw Swianiewicz, eminent Polish economist deals in his long essay with the prospects of developing the backward countries of Asia.

„One of the main problems of our world is the growing discrepancy in the level of wealth and national income between different countries. What interests us, are the methods by which countries of low level of wealth and production could break tendencies to stagnate and stimulate the forces of development.

We can divide the countries of the world according to their economical standing into three main groups: 1) wealthy capitalist countries, 2) economically underdeveloped countries — mainly in Asia and Africa, 3) countries of the communist block. Analysis of statistics shows that the difference between wealth and connected with it the potential standard of living of the economically well off countries, and that of the backward countries does not diminish, but on the contrary, keeps growing. Statistically an Englishman is better off every year by about £25, while a Hindu only by about £15.

Under the circumstances economic development of Asian countries is a social as well as psychological necessity. The question is what should the governments of those countries do to achieve that development. Several ways lead to this object and there are several methods of economical policy to choose from.

I have to point out that I am leaving out of my considerations the capitalist models of development in Europe and America. I do not think that they could serve as a practical example for Asian countries. It would be difficult to imagine that conditions which brought about the industrial revolution in 18th century England could repeat themselves in Asia. The same applies to the pattern of industrialization of the United States, Canada, Australia and South Africa, because again the conditions prevailing in those countries in the past century have no similarity in Asia.

There are only two examples in contemporary economics that have any practical use for Asia. One is the industrialization of Japan under emperor Meiji, another — the industrialization of Russia under Stalin. The third example, still in the making, is the Indian industrialization which has still to prove itself and therefore cannot serve the purpose of this article.

The basic condition of industrialization must be the getting together of national capital in the form of buildings, factory equipment, electric power stations, transport facilities, communicational lines etc. These preliminary investments require adequate savings, especially if there is no money coming from abroad. It means that people have to save more and consume less. It has been observed that in our times it is easier to make people do that, and to agree to many self-denials if they have a myth of social revolution to help them along, rather, than if all the incentive remains in the sphere of tradition.

Psychologically therefore the Soviet pattern is more acceptable than the Japanese. Western economists studying the Soviet system agree that in Asia compulsory saving would bring comparatively smaller increase of the national capital than in Russia. The reason being, that the average income of a Russian peasant at the beginning of the revolution was much

higher than the average income of a Chinese or a Hindu is to-day. Soviet government has something to put the pressure on, whereas the physical possibilities of squeezing money out of Chinese or Hindu villagers are so much smaller. According to Colin Clark the average income per male head amongst the peasants in Russia in 1928 was 40% higher than in India and 100% higher than in China in the middle forties.

In consequence, it must be seen that rapid accumulation of national capital in Asia will require still worse privations than in Russia and that it will take much longer to bring it to the present Russian standard.

Stalin's method of financing economical investments resulted in re-creation of slave labour in the form of concentration camps. To-day — conditions which were economically responsible for slave labour camps have largely disappeared and it seems that Russia will now be able to reform the social structure partially based on slavery which had developed in the thirties.

If, however, the Soviet method should be adopted in Asia and the vast Asian countries should wish to equal the Russian pace of industrialization — slave labour will have to be used on a much bigger scale than it ever was in Russia. And also much longer a lapse of time will be needed before slavery could be abolished. And that is the reason why for civilization — the adoption of Soviet pattern in Asia would be much more dangerous than Stalinism ever was.

The most vital problem which faces the forward countries to-day is the finding of a solution which would save the backward countries from the necessity of adopting the Soviet pattern. The question of growing discrepancies between forward and backward countries cannot be solved by economical theorising alone. It requires moral and ideological consideration.

First World War ended on the note of idealistic hopes which were reflected in Woodrow Wilson's declaration. The second war reached its conclusion in the atmosphere of cynicism which resulted in a policy of pushing Central Europe into the Soviet orbit. The relationship between forward and backward countries requires positive ideas and cannot by any means be thwarted by tear of Soviet Russia”.

Polish Policy of to-day

J. Mieroszewski in his article „Twenty years later” analyses the main trends of contemporary Polish policy:

„There are two opposite conceptions of Polish policy at the present moment. Contrariness of these policies follows the pattern of conflicts between Russia and the United States. Pro-Russian orientation appeals to all communists as well as all officially recognized political groups in Poland. It should be stated at this juncture, that in Poland as well as amongst Poles abroad there are many who although anti-Russian themselves — consider the alliance with Russia as a necessity which guarantees Polish present frontiers.

The mainspring of both pro-western and pro-Russian orientations is the problem of Germany. In the pro-Russian sphere Soviet Union represents

the chief warrant of our Oder-Nysse frontier. In the pro-western orientation Germany is a very sore point. Germany grows into the most important American ally on the continent, but neither Washington nor Bonn recognize the Oder-Nysse frontier.

Poles abroad are all against communism and are inclined to identify any anti-communist action with the policy of independence. American policy is of course anti-communist but it does not follow that its objects are the same as the objects of Polish policy of independence.

Polish people are certainly divided ideologically but it would be sheer nonsense to divide them into communists and anti-communists. True communists are in such negligible minority that it would be quite safe to say that even the supporters of an alliance with Russia are anti-communist. Not every anti-communist policy furthers the ends of Polish independence. For example — the re-armament of Germany in itself, is a part of the anti-communist policy of the Western Powers, but does it help our Polish interests? In my opinion it does not. We can well imagine an ideally anti-communist world, with Russia defeated and atomic Germany triumphant — a world, where there would be no room for independent Poland.

It is our belief that no anti-communist crusade could form the basis of Polish hopes for independence, because such a crusade is most unlikely ever to take place, and even if it should ever be contemplated — the chief crusaders would have to be the Germans. To follow this absurd supposition we would have to assume that only the Germans would march eastwards. Their loyalty would then have to be well paid for and it would be German and not American troops who would liberate Wroclaw (Breslau).

Personally I do not doubt that should a possibility arise for the Americans to put a spoke in the wheel of any Soviet-German pact — they would pay any price in the form of granting German demands — to do so. Americans — unlike ourselves understand anti-communism as a part of their own political interests. They are Americans first and foremost and their anti-communist feelings are governed by America's politics. Therefore, from the American point of view no price would be too high to pay to prevent the chances of any Soviet-German agreement.

U.S.A. promotes the re-armament of Germany because Germany is a strong link of the Atlantic Alliance. But the terms of the Atlantic Alliance do not propose to change the status quo of Eastern Europe, on the contrary — they only wish to keep it intact. We are not against NATO, for we think that Eastern Europe should be defended to the last. But we are against a policy of keeping status quo intact, because what appears as an armoured fence on one side — looks very much like a prison wall on the other side.

In our opinion, the second version of Rapacki's plan qualifies for discussion. Rapacki represents the pro-Russian orientation and therefore his plan has two main objects: to neutralize Germany and to maintain status quo in Eastern Europe. We agree with the first object but reject the second. It would be in our interests to uphold the discussion of this plan, because any international initiative concerned with the restriction of German re-armament is of vital importance for Poland.

Present Economical Situation in Poland

Oberwator tries to explain the following paradoxical feature of Polish economical life: According to statistics Poland's economy underwent considerable change for the better, the population however, in disregard of statistics, still remembers pre-war period as „the good old times”.

If Poland's present economical situation should be assessed according to opinions prevailing among the population — one would come to a very sad conclusion. Few are the people who do not think that pre-war standard of living was higher. This opinion is responsible for general feeling abroad that our countrymen in Poland suffer under unbearable conditions of near-starvation.

Nevertheless — statistics speak differently and there is no reason to disbelieve them. Let us look at some figures chosen at random: In 1938 people utilized about 9 yards of cotton materials per head. Now they use 18 yards. Woollen textiles were used at a rate of 1 yard per head as compared with nearly 3 yards to-day. Figures illustrating the consumption of meat show that people eat now twice as much meat, as they used to in pre-war times. Cigarettes — 1000 a years per head, as compared with pre-war 700.

What is then the reason for general complaints? For one thing, demand for consumer goods grows faster than possibilities of its production. The so-called mass-culture has also its influence. Cinema, radio, television, books and papers show a better life and anybody who has sampled some comforts finds it difficult to do without them.

The increase in food consumption is a direct result of two factors: improvement in the financial position of peasants and an increased relegation of peasant population to factory work. It is a fact, that the peasant part of the population is now much better off than in pre-war times.

The answer to the question — whether or not Poland's economical situation has improved since pre-war times, is definitely — yes. Irrespective of what people think — the factual increase in consumer goods per capita speaks for itself.

Whether the present system of distribution is satisfactory or whether party efforts in the field of economics are all that could be desired — that is a separate question.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal: 2^e trimestre 1959

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	39 pesos	234 pesos	468 pesos
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kiełtńska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Jadwiga Swirska, rua Maranhao 213, Sao Paulo	4 dol. am.	6 dol. am.	
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 250 fr.	21 sh. 1.300 fr.	42 sh. 2.600 fr.
FRANCJA : « Libella », 12, r. St-Louis-en-l'Île, Paris-4			
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5, Amsterdam-Z, Tel. : 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.s. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
IZRAEL : Diffusion du Livre Français, Ltd, 35, rue Rashi, B.P. 3172, Tel Aviv	285 fr.	1.500 fr.	3.000 fr.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W., Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Av., N.D. de G., Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tél. : HY-0829; Vetra Trade, 277 Selkirk Av., Winnipeg 4, Man.; « Zwiastkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadaluajara, Jal. Tél. : 49855.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss, Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 fr. s.
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kalkskärgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor
U.S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 670-47 street, Brooklyn 20, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio, Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Av., Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St., Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; K. Trojanowski 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. T W 2.0890.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 200 frs półrocznie i 400 frs rocznie Przesyłka pojedynczego numeru : 35 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

BIBLIOTEKI " KULTURY "

TOM XXXV

JAMES BURNHAM

REWOLUCJA MANADŻERSKA

Przekład Jerzego Horzelskiego

Cena egzemplarza 1.000 frs. (18 sh., 2,50 dol.)

TOM XXXVI

TADEUSZ KATELBACH

ROK ZŁYCH WRÓŻB

(1943)

Cena egzemplarza 800 frs (15 sh., 2,00 dol.)

TOM XXXVIII

JÓZEF ŁOBODOWSKI

PIEŚŃ O UKRAINIE

wraz z przekładem na język ukraiński
ŚWIATOSŁAWA HORDYNSKIEGO

Cena egzemplarza 400 frs (7 sh., 1,00 dol.)

TOM XXXIX

TADEUSZ NOWAKOWSKI

SYN ZADŻUMIONYCH

Cena egzemplarza 500 frs (7 sh., 1,00 dol.)

TOM XL

DOKUMENTY — ZESZYT 5

PROGRAM ZWIĄZKU KOMUNISTÓW JUGOSŁAWII

Cena egzemplarza 800 frs (15 sh., 2,00 dol.)

TOM XLI

DOKUMENTY — ZESZYT 6

KULTURA MASOWA

Cena egzemplarza 600 frs. (14 sh., 1,50 dol.)